



Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

# Józef Ciski

## W szpiegowskim tyglu





J ó z e f   C i s k i

# W szpiegowskim tyglu





**W szpiegowskim  
tyglu**





J ó z e f      C i s k i

# W szpiegowskim tyglu

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej



Okladkę i kartę tytułową projektował  
JERZY ROZWADOWSKI

Redaktor  
WANDA WŁOSZCZAK

Redaktor techniczny  
DANUTA WADOWCZYK

Korektor  
KRYSTYNA SZCZERBACZUK

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa  
Obrony Narodowej, Warszawa 1983

3778



ISBN 83-11-06896-8



## Upadek idola

Nawet dla wielu osób znających Jerzego Pawłowskiego nie tylko ze sportowej niwy komunikat o wytoczonym mu procesie był niebywałym zaskoczeniem, mimo że już wcześniej wiedzieli o jego aresztowaniu. Niektórzy uważali go — zgodnie z famą, jaką rozsiewał wokół siebie — za człowieka wysoce ustosunkowanego, nietykalnego idola, toteż informację tę przyjęli z niedowierzaniem. Wszystkich zbulwersował ciężki zarzut postawiony oskarżonemu, zarzut działalności przeciwko podstawowym interesom państwa. Częściej słyszało się więc słowa oburzenia i potępienia, niż wątpliwości co do zasadności aresztowania czy postawionego zarzutu. Już sam fakt podania do publicznej wiadomości informacji o prowadzeniu śledztwa w tak poważnej sprawie wskazywał, iż organy ścigania muszą dysponować mocnymi dowodami.

Urosło wokół tej sprawy wiele mitów i legend, a poprzedzała je hydra — plotka, podsycana

w sposób niewybredny i prowokacyjny przez ośrodki wrogiej Polsce propagandy na Zachodzie.

Jerzego Pawłowskiego, który rzekomo miał być aresztowany na lotnisku Okęcie „podczas próby panicznej ucieczki i po nieudanej próbie samobójstwa”, awansowano do stopnia podpułkownika WP, doktoryzowano, kreowano na „przewodcę spisku antypaństwowego”, ofiarę reżimu bądź „superszpiega”. Przewidywano, że „jego wpadka może rozszerzyć się w jedną z największych aferszpiegowskich w Polsce”, twierdzono, że „aresztowano już wielu sportowców i artystów”, ba — że aresztowano go wspólnie z takimi to a takimi ludźmi — tu wymieniano fikcyjne (bo któż to przecież sprawdzi) imiona i nazwiska, stopnie wojskowe lub naukowe i stanowiska... Jeden z dzienników wydawanych na Zachodzie w języku polskim donosił nawet o śmierci Pawłowskiego „spowodowanej torturami bezpieki, podczas których miano mu z premedytacją połamać rękę”.

Większość poważnych gazet na Zachodzie, dbających o rzetelność informacji i szanujących swojego czytelnika, zupełnie przemilczała sprawę lub potraktowała ją z rozwagą i stosowną ostrożnością. Chociaż dla ścisłości trzeba dodać, że niektóre z nich nie oparły się pokusie wygrania pewnych jej aspektów, nie wyjaśnionych zwłaszcza, dla swoich celów. Na kilka tygodni przed wizytą prezydenta Francji w Polsce sugerowano na przykład, powołując się, jak



zwykle w takich wypadkach, na „dobrze poinformowane źródła w Warszawie”, że Pawłowski działał na rzecz... Francji. Cel tej grubymi niemi szytej prowokacji był aż nazbyt oczywisty.

W przytaczanych życiorysach „bohatera tej ciemnej afery” musiały się też znaleźć względnie obiektywne spostrzeżenia i oceny.

„Pawłowski — pisano — posiadacz willi i »Mercedesa«, stały gość ekskluzywnych polowań, żył jak kapitalista, miał ambicje nie tylko sportowe”.

„Ten krępy, raczej niezgrabnie poruszający się sportowiec o wysokim i łysawym czole, który żył według przypisywanej Moherowi dewizy: »szermierka to sztuka trafiać, nie dając się trafić samemu«, jak żaden inny w rozentuzjasmowanej w sporcie Polsce uważany jest za rozpieszczonego idola narodowego”.

Jeden z ukazujących się na Zachodzie tygodników w swym komentarzu sięgnął do polskiej gazety sportowej. „Podziwiamy ich — cytował za nią — nie wiedząc, jakimi są naprawdę w życiu, poza bieżnią i poza ringiem, planszą. Gonią za łatwym życiem, za zaspokojeniem wybujałych ambicji, za pieniędzmi.

Jakże wielu ludzi, dotyczy to również sportowców, ma dwa oblicza. Dla nas, dla społeczeństwa i kolektywów, w których żyją, to pierwsze, na pokaz, jest lojalne i przyjazne, wypielegnowane i uśmiechnięte. W rzeczywistości jednak co innego mówią, a co innego robią. Kryją się za podwójną gardą, za maską.

Odrzućmy przeto maskę i przyjrzyjmy się z bliska temu, kogo ona kryła. Prześledźmy, jakim naprawdę był Jerzy Pawłowski poza planszą. Co doprowadziło go do zdrady ojczyzny, do zbrodni szpiegostwa, do działania przeciw własnemu krajowi i narodowi. Bo zbrodnia szpiegostwa została mu bezspornie udowodniona.

W naszych środkach masowego przekazu ukazywały się na ten temat nader skromne relacje, by temat szybko puścić w niepamięć, sprawę Pawłowskiego zakryć wstydliwą kurtyną — bo to i sławny olimpijczyk, i oficer, i o to wreszcie intensywnie zabiegali kanałami dyplomatycznymi sami Amerykanie, obiecując za milczenie, za niekompromitowanie ich wywiadu życzliwą wyrozumiałość dla naszych potrzeb zbożowo-kredytowo-licencyjnych. Wkrótce także — właśnie za sprawą Amerykanów — temat został wyciszony na Zachodzie. Nawet „korowcom” mocodawcy zabronili wspominać o Pawłowskim w ich licznych, aranżowanych przez zachodnie służby specjalne, akcjach w obronie rzekomych więźniów politycznych. Czas jednak robi swoje. „Swoje” osiągnęli wpędzając nas w biedę, bo jarzmo spłacania łaskawych kredytów dźwigać nam trzeba będzie jeszcze długo, a ponadto widocznie doszli do wniosku, że czas zatarł pamięć. I że wyrosło i uaktywnia się pokolenie, które o sprawie Pawłowskiego nie ma żadnego pojęcia. Postanowili więc ją ożywić



Dwudziestego marca 1982 roku przed mikrofonami „Głosu Ameryki” wystąpił — jak go przedstawiono — „wybitny pisarz amerykański polskiego pochodzenia Jerzy Kosiński”. Część jego napastliwego wobec kraju, z którego pochodzi, wywiadu dotyczyła właśnie Jerzego Pawłowskiego. Jeszcze tego samego dnia te fragmenty powtórzyła, co nas nie dziwi, rozgłosnia „fraj-europa”.

„Jerzy Pawłowski — cytuję ze stenogramu tej audycji wypowiedź Kosińskiego — był jednym z moich najbliższych przyjaciół. Myśmy przyjaźnili się od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, a widzieliśmy się także w Stanach Zjednoczonych krótko przed jego powrotem do Polski. Ja nie mam żadnych wątpliwości, że Pawłowski został wplątany w intrygę zorganizowaną przez sam Związek Radziecki. Nie wiem, czy wszystkim jest powszechnie wiadomo, że Pawłowski razem z innymi atletami przeciwstawiał się metodom szkoleniowym narzucanym przez Pakt Warszawski armii polskiej. Był wobec tego jednym z członków, i to bardzo wybitnym, oficjalnej opozycji w stosunku do metod ćwiczenia. Być może, że towarzysze radzieccy doszli do wniosku, że początek tego typu oporu może doprowadzić do większego oporu. Ja nie mam żadnej wątpliwości, że Pawłowski jest ofiarą intrygi, prawdopodobnie sowiecko-polskiej w jakimś sensie. A pod tym względem — nie jest on inny niż Ali-

cja Wesołowska\* — znajoma z Nowego Jorku, która pracowała w Narodach Zjednoczonych... Nie ma kwestii, że i Alicja Wesołowska, i Jerzy Pawłowski nie uważali się za szpiegów. Wiedzieli dokładnie, że nie popełnili niczego, co postawiłoby ich w konflikcie z prawem polskim. I nie ma dla mnie, i dla setek innych Amerykanów, żadnej wątpliwości, iż Pawłowski i Wesołowska są ofiarami tej samej intrygi".

Wypowiedź tę pozostawiamy bez komentarza. Jesteśmy tylko winni przedstawić Czytelnikowi

---

\* Alicja Wesołowska, obywatelka polska, urodzona w 1944 roku. Magister filologii angielskiej (absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego). W 1970 roku wyjechała turystycznie do USA na zaproszenie poznanego za pośrednictwem czasopisma „RADAR” właściciela firmy samochodowej na Florydzie. W lutym 1971 roku przyjęta do pracy w siedzibie ONZ w Nowym Jorku w charakterze przewodniczki oprowadzającej wycieczki po gmachu tej organizacji. Od połowy 1975 do maja 1976 roku zatrudniona jako sekretarka Stałego Przedstawiciela Libii przy ONZ. Od lipca 1976 do czerwca 1979 roku sekretarka w Biurze Programu Pomocy Gospodarczej ONZ, skąd oddelegowano ją na okres 2 lat do pracy w terenowej jednostce ONZ w Mongolii. Pod koniec 1974 roku zwerbowana do współpracy ze służbami specjalnymi USA (FBI i CIA). Podpisała odpowiednie zobowiązanie, przeszła przeszkolenie, otrzymywała miesięczne wynagrodzenie w wysokości 200, później 250 dolarów oraz specjalne premie.

Jej zadaniem było rozpracowywanie zatrudnionych w ONZ obywateli różnych państw i innych osób wskazanych jej przez mocodawców oraz zapoznawanie z nimi niektórych z nich. W toku tej współpra-



jej autora. Jerzy Kosiński, magister socjologii i absolwent Uniwersytetu Łódzkiego, w grudniu 1957 roku wyjechał do USA jako aspirant Polskiej Akademii Nauk na 18-miesięczne stypendium, w czasie którego miał napisać pracę doktorską. Po upływie tego terminu uzyskał stypendium Fundacji Forda, które dwukrotnie mu przedłużano, potem zaś stypendium emigracyjnego Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. Po pięcioletnim pobycie w USA wniósł podanie o uzyskanie obywatelstwa Stanów Zjednoczonych, które przy poparciu CIA rozpatrzone pozytywnie.

Prawdziwą karierę rozpoczął dzięki małżeństwu z o wiele starszą od siebie wdową po liczącym się przemysłowcu, który zostawił jej w spad-

---

cy sporządziła dla amerykańskich służb specjalnych kilkadziesiąt charakterystyk znanych jej pracowników ONZ w tym obywateli krajów socjalistycznych, państw arabskich i afrykańskich, a także RFN, Francji, Włoch, Nowej Zelandii oraz przedstawiciela USA w ONZ, ambasadora Andrew Younga.

Przed wyjazdem do Mongolii odbyła szkolenie wywiadowcze, otrzymała zadania szpiegowskie oraz uzgodniono z nią sposoby i kanały łączności (m. in. za pośrednictwem dyplomaty USA w Hong Kongu). Aresztowana w sierpniu 1979 roku postanowieniem Naczelnej Prokuratury Wojskowej pod zarzutem zbrodni szpiegostwa, wyrokiem sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego została skazana na karę 6 lat pozbawienia wolności. W styczniu 1982 roku Telewizja Polska w serialu „Kto jest kto” nadała obszernie fragmenty jej wyjaśnień w śledztwie, w których potwierdza fakt i okoliczności werbunku oraz współpracę z amerykańskim wywiadem.

ku akcje koncernu „The United States Steel Corporation”. Mimo że po czterech latach małżeństwo to zakończyło się rozwodem, eks-żona uczyniła go przed śmiercią głównym dysponentem wielomilionowego majątku, który, przeznaczyła na cele filantropijne, kulturalne i naukowe. Warto na marginesie wspomnieć, że Kosiński i przed wyjazdem z Polski nie cierpiał na brak gotówki, gdyż był udziałowcem świetnie prosperującej wytwórni produktów chemicznych pod Warszawą, co przynosiło mu dochody rzędu kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Pracy doktorskiej jeszcze co prawda nie napisał, napisał za to (przy pomocy rodowitego Anglika, absolwenta anglistyki w Oxfordzie i nauczyciela języka angielskiego w jednej ze szkół średnich w USA) kilka skandalizujących (z pogranicza porno) książek quasi-politycznych, którymi zdobył rynek amerykański, zyskał sławę i to, co kocha najbardziej — pieniądze. Grube pieniądze, dzięki którym wiedzie żywot światowego playboya.

Oto co wówczas, wiosną 1976 roku, zanotowałem na gorąco: w czasie procesu na sali rozpraw, w kuluarach sądu, przy redakcyjnym biurku. Maszynopis — z przyczyn już znanych — został złożony do szuflady. Przejrzałem go teraz, po latach. Doszedłem do przekonania, że nie powinienem w nim czynić żadnych zmian. To też dokument czasu.



Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Koniec ulicy Nowowiejskiej, na uboczu śródmiejskiego ruchu. Ciszę przerywa tylko pisk skręcających w kierunku Filtrowej tramwajów. W szkole, po przeciwległej stronie ulicy, trwają lekcje. W czasie przerwy ożywi się wymarłe teraz boisko. Wiosna się opóźnia, kasztany ledwo puszczają pąki. Przed rokiem o tej porze było tu już zielono.

Tego dnia było w sądzie pusto. W ogóle zawsze tu inaczej niż w sądach powszechnych. Z sądami przy ulicy Świerczewskiego nie ma porównania. Tam jak w ulu: interesanci, strony, świadkowie, adwokaci, studenci, kibice... Zagubić się można.

Przed drzwiami sali okazują kartę wstępu. Sprawdzenie, gest kontrolującego: „Wszystko w porządku” Mogę wejść. Jak każdy szpiegowski, także i ten proces jest zamknięty dla publiczności. Zajmuję miejsce na jednej ze stojących pod ścianą ław. Twarde to i niewygodne. Będzie ciasno i duszno. Wiem, że ma przybyć jeszcze kilku dziennikarzy, na pewno zjawi się kilkunastu obserwatorów z ramienia zainteresowanych procesem służb i instytucji. Ekipa techniczna zakłada dodatkowe oświetlenie, ustawia mikrofony i filmowe kamery. Czasu do rozpoczęcia rozprawy zostało niewiele. Jak wojskowy sąd sądem, nigdy nie zdarzyło mu się żadne opóźnienie. Przynajmniej ja w swej wieloletniej pracy dziennikarskiej nie pamiętam takiego przypadku. Jeśli prze-

wodniczący ogłasza piętnastominutową przerwę, wiadomo, że w piętnastej minucie można wstać, nie czekając na sakramentalne wezwanie protokolanta. Dyscyplina? Tak, ale także coś więcej: kultura działania, szacunek wobec urzędu, stron, świadków, troska o czas.

Zbliża się wyznaczona pora godzina dziesiąta. Ławy dla publiczności są już pełne. Nastroj powagi i podniecenia. Witamy się bez słów albo wymawiając je szeptem, a przecież kurtyna nie została jeszcze uniesiona, pierwszej osoby, dramatu nie ma na scenie. Na sędziowskim długim, ciężkim czarnym stole złożone tomy akt w zielonej oprawie. Na ścianie orzeł biały. Surowa, skromna sceneria bije w oczy swą powagą.

Parę minut przed godziną dziesiątą wkroczył konwój.

Oskarżony rzucił przelotnym spojrzeniem po sali, wszedł za barierkę, siadł między dwoma żołnierzami WSW. Chyba w poczuciu przerażającej samotności i ciszy zdobył się na dość sztuczny uśmiech, rozpoczął rozmowę z opiekunami z konwoju. Odwrócił się nerwowo w lewo, potem w prawo, do drugiego. Wymienił kilka zdań ze swym obrońcą. Po chwili jakby poczuł się pewniej, poprawił sportowy garnitur, w którym paradował po Warszawie w ostatnich dniach swej wolności, pogładził łysinę. Nie widywałem go z bliska dawniej. Znałem go tylko ze zdjęć, z filmu i z telewizji. Przypatrywałem mu się uważnie.



I w tym momencie przed oczami wyobraźni przesunęła mi się taśma, na jakiej moja pamięć zarejestrowała wrażenia z tego sądu. Galeria zdrajców i szpiegów, która przewinęła się przez tę salę w ciągu wielu lat. Każdy portret z tej galerii był inny, ale teraz, gdy wspominam, wszystkie wydają mi się podobne. Dzisiejszy jest taki sam jak tamte.

Tak jego wejście było identyczne, to samo spojrzenie, te same gesty.

Wszedł prokurator. Wymienił pozdrowienia z mecenasem, spytał, jak czuje się oskarżony. Wchodzi sąd. Trzech ławników w stopniu starszych oficerów, dwóch sędziów, wybitnych prawników wojskowych. Po raz pierwszy widzę ich w takim składzie. Później dopiero — proces trwał przeszło tydzień — poznaję ławników. Na razie wczytuję się w rzędy kolorowych baretek. Odznaczenia tych ludzi — myślę — znaczyły drogę życia w służbie Ojczyzny. Dwóch z nich nosiło symbole przelanej za Nią krwi. Później dowiaduję się, że w latach wojny przemierzali tysiące kilometrów partyzanckich ścieżek i frontowych dróg. Jeden, ten całkiem siwy, w lotniczym mundurze z oznaką pilota I klasy — tysiące kilometrów powietrznych szlaków.

Głos ma oskarżyciel publiczny, prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej. Jego dobitne, żołnierskie słowa, zwięzłość i precyzja sformułowań aktu oskarżenia, całkowicie przykuwają na-

szą uwagę. Za spojrzeniami wszystkich kieruje wzrok na oskarżonego.

Siedzi nieruchomo z nisko opuszczoną głową.

Zasiadł na ławie oskarżonych w wieku lat 44. Ma wyższe wykształcenie prawnicze. Był starszym asystentem na wyższej uczelni i zawodnikiem sekcji szermierczej CWKS Legia. W barwach tego klubu oraz w narodowej reprezentacji przez niemal ćwierć wieku zdobywał sportową sławę. Właściciel komfortowego mieszkania kwaterunkowego w centrum stolicy, wyposażonego w antyczne meble, nowoczesne urządzenia i drogie obrazy. Posiadacz domku letniskowego położonego wśród lasów. Współwłaściciel majątku hodowlanego (bydło, barany), liczącego 11 ha ziemi i nowe zabudowania. Człowiek w pełni dojrzały, życiowo doświadczony. Popularny i świetnie sytuowany.

Zasiadł na ławie oskarżonych sam, w doskonałej formie fizycznej i psychicznej. Po niemal roku prowadzonego przez organa kontrwywiadu wojskowego i Naczelną Prokuraturę Wojskową drobiazgowego śledztwa. Przeciwko jednemu tylko Jerzemu Pawłowskiemu. Sprzeniewiercy, który podeptał honor i dobre imię Polaka, złamał wojskową przysięgę i olimpijskie ślubowanie, wykorzystał i nadużył zaufanie i życzliwość przełożonych, społeczeństwa, znajomych i przyjaciół.

Także tych, którzy stawali z nim do szlachetnej sportowej rywalizacji na szermierczych planszach w kraju i za granicą. Tych zwłaszcza, którzy torowali mu drogę do sukcesów i sławy.

W wydanej w 1973 roku, a więc gdy był już wieloletnim agentem wrogiego Polsce wywiadu, biograficznej książki zatytułowanej „Trud olimpijskiego złota” wspomina rok 1945.

Liczył wtedy zaledwie trzynaście lat. Kilka dni po oswobodzeniu spod okupacji hitlerowskiej jego rodzice wyruszyli do Warszawy. Miał czekać, aż po niego wrócą. Dłuży mu się niepomierne czas wypełniony tęsknotą za najbliższymi. W końcu podejmuje szaloną decyzję. Postanawia pojechać do Warszawy. Podróżuje na dachu pociągu głodny i umorusany. Obserwuje wojenne zniszczenia, zgłiszcza i rozwaliska, krajobraz znany mu już z powstania. Po powrocie do stolicy mieszka na Grochowie. Chodzi do szkoły. Sporo czasu spędza z kolegami nad Wisłą, gdzie łowi ryby, bawi się w chowanego, próbuje sportowych zabaw. Kiepsko mu idzie. Koledzy są wyżsi i silniejsi. „Mogłem z nimi rywalizować tylko w konkurencjach technicznych, tam mi szło najlepiej i dlatego najczęściej moją pierś zdobiły medale złotego słonecznika” — wspomina.

„Rok 1948 — pisze — przeżywaliśmy pod znakiem szczególnego zafascynowania londyńską olimpiadą i startem Polaków. W tym czasie przeżywałem w snach i marzeniach przygody sienkiewiczowskiej epopei. Pan Wołodyjowski, Skrze-



tuski i Kmicie byli bohaterami moich snów. W czasie wojny byłem niedużym chłopcem, nie brałem udziału w walce z hitlerowskim okupantem, chociaż pragnąłem walczyć o Polskę, tak jak inni młodzi ludzie. Próby przejścia na Starówkę w czasie powstania skończyły się burą w domu. Dzisiaj mamy wolność i wszyscy możemy uczestniczyć i uczestniczymy w odbudowie i rozbudowie zniszczonego przez okupanta kraju. Jakże wtedy żałowałem, że jestem taki mały! (...) Wracam, nie wiem sam po raz który, do »Trylogii«, odnajduję siebie na polach walk i w pojedynkach na szable Walczę w marzeniach i snach z wrogami Polski”.

Nie tylko w marzeniach i snach — o tym dowiedzieliśmy się także na rozprawie, kiedy w ostatnim swoim słowie dokonywał bilansu życia. Wtedy to — wspominał — była na Grochowie taka grupka piętnasto-, szesnastolatków z poakowskiego środowiska, pozostająca pod wpływem emigracyjnej propagandy. Zamierzali oni dokonać aktu dywersji, wysadzić pewien obiekt. Zostałem w to wtajemniczony. A ponieważ znałem mieszkającego po sąsiedzku funkcjonariusza milicji... oni nie zdążyli niczego wysadzić.

Dziś ten fakt przytacza, po trzydziestu latach, na swoją obronę. Bo takim przedstawiał się wszem i wobec, takim był na pokaz: na zebraniach, szkoleniach, pogadankach. Entuzjasta, oddany, czujny i „bezkompromisowy wobec wrogów Polski”.

Rok 1948, jak wynika z tych wspomnień, był dla niego przełomowy.

Ktoregoś dnia, na polecenie matki, kopie dół na śmieci i — jakie ma szczęście! — znajduje autentyczną, najprawdziwszą szablę. Przerywa kopanie, podziwia znalezisko, z trudem wyciąga lśniącą, miejscami tylko pordzewiałą stal z pochwy. „Zaczyna pracować wyobraźnia, przeistaczam się w bohatera walk z hitlerowcami. Moja szabla wzbudziła sensację wśród kolegów”.

Odrzucają kije, które dotąd zastępowały im prawdziwe szable. Pojedynkują się zapamiętałe, organizują konkursy sportowe, osiągają coraz lepsze wyniki. Ich grupa powiększa się o kilku zapaleńców. W walce na szable — do pierwszego trafienia — on oczywiście jest bezkonkurencyjny. „Mam jakąś smykałkę do zadawania cięć lub pchnięć. Wygrywam — wspomina z dumą — wszystkie konkursy. Obwieszam pierś kwiatami słonecznika, symbolizującymi złote medale”.

Za namową kolegi postanowił rozpocząć prawdziwy trening. W lutym 1949 roku po raz pierwszy zobaczył sportową szermierkę. Wkrótce znalazł się na treningowej sali. Uczyl się fechtunku. Szybko, bo już w kwietniu tego roku, wziął udział w zawodach szermierczych Pierwszego Kroku. Zwyciężył. W nagrodę dostał rękawice i nowy floret belgijski. Odtąd czas wyznaczały mu tylko godziny treningów — sala CWKS Legii, obozy, zawody.

Trafił wspaniale. Właśnie niezrównany mistrz

fechtunku, słynny i zasłużony dla polskiego sportu węgierski trener mjr Janos Kevey, wprowadzał naszą szermierkę na drogę światowej sławy i sukcesów. Odkrył w Pawłowskim prawdziwy talent i z całym właściwym mu oddaniem i życzliwością zajął się jego rozwojem. Prowadził go od sukcesu do sukcesu. Później, gdy jego uczeń — by nie nadużyć stosowniejszego może określenia pupil — obrósł w piórka i napęczył dumą, kiedy sięgnął po zagraniczną sławę, odpłacił się swemu wychowawcy niesfornością i intrygami (podobny stosunek miał również do innych trenerów). W żartobliwym tonie fakt ten również trafił do wspomnień Pawłowskiego.

„Pawłowski wygnał mnie z Polski — miał powiedzieć Kevey, kiedy po latach spotkał się z byłym uczniem we Włoszech. — A ja jestem mu wdzięczny, jestem teraz milioner i niewiele muszę pracować z tymi leniwymi Włochami”.

Warto, dla przypomnienia, naszkicować chociaż obraz sytuacji ogólnej w latach, gdy siedemnastolatek Jerzy Pawłowski stawiał na szermierczej planszy pierwsze kroki. Straszliwie wojną okaleczony kraj dźwigał się z ruin i nie wszystkie rozdzielone wojną rodziny zdołały się odnaleźć, połączyć. Nie wszystkie rany zostały wygojone i nie wszystkie lzy zdołały obeschnąć. Tymczasem w polityce krajów kapitalistycznych pojawiła się doktryna „powstrzymywania”. Zakładała ona długofalowe i zdecydowane przeciwstawianie się wszystkimi środkami rozwojowi ru-



chów rewolucyjnych i dążeń narodowowyzwoleńczych. Stanowiła początek zimnej wojny.

Zimna wojna wycisnęła swe piętno na stosunkach międzynarodowych powojennego dziesięciolecia, a jej relikty przetrwały do dnia dzisiejszego. 4 kwietnia 1949 roku podpisany został przez 12 państw zachodnich jawnie agresywny, przeciwstawiający się z pozycji siły polityce krajów socjalistycznych Pakt Północnoatlantycki (NATO). Te trzy zdania o wielkiej światowej polityce przy okazji sprawy karnej jednego szpiega są o tyle uzasadnione, że ukazują, jak losy jednego człowieka splotły się z dziejami epoki. Setki milionów dolarów przeznaczono dla „dobrych osób”, przebywających w krajach socjalistycznych lub zbiegłych z tych krajów, z których zamierzano utworzyć jednostki zbrojne i grupy dywersyjne wspierające NATO. Rozszalała się propaganda antysocjalistyczna, rozwinęły szeroką działalność ośrodki szpiegowskie i dywersyjne.

Tymczasem w kraju trwa junacki zaciąg do budowy Nowej Huty. Frontowi żołnierze nie zdążywszy zdjąć mundurów odwadniają Żuławy, zagospodarowują tysiące hektarów ziemi leżącej odłogiem. Odgruzowywana jest i odbudowywana heroicznym wysiłkiem całego narodu Warszawa. Od Bałtyku po Tatry trwa wytężona praca. Społeczeństwo ponosi również daninę na rzecz sportu, i czyni to chętnie, gdyż sport i sportowcy cieszą się zbiorową sympatią. Talent Pawłowskiemu miał więc doskonałych mecenasów.

Wspaniałe warunki i beztraskie życie zapewniał mu Centralny Wojskowy Klub Sportowy oraz budżet Obrony Narodowej, do którego każdy z nas dokładał swoją cegiełkę.

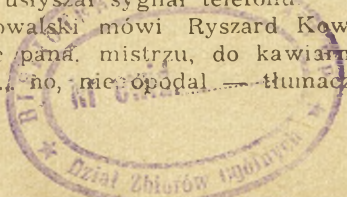
W 1950 roku Pawłowski zdobywa pierwsze klasy w dwóch broniach, trenuje w kraju i za granicą. Startuje w mistrzostwach Polski i zawodach międzynarodowych. „Przeżywa wspaniałe czasy i jest szczęśliwy”. I my jesteśmy dumni z tych jego sukcesów, widząc w nich część naszego trudu. W takim nastroju odbierają sympatycy sportu „Mazurka Dąbrowskiego” rozbrzmiewającego po zwycięstwach naszego szermierza.

\*

Po dziesięciu latach zagranicznych startów, już w blasku sportowej sławy, uczestniczy i zwycięża w kolejnych zawodach szermierczych w dalekim od Warszawy i bardzo tłumnym mieście za Atlantykiem. Stosunkowo długi pobyt na obczyźnie wypełniają mu spotkania z wielbicielami, ze starymi i nowymi znajomymi. Chwile wzruszeń splecają oni wystawnymi balami, zaproszeniami do luksusowych lokali rozrywkowych, grą w ruletkę i karty.

Któregoś dnia, gdy „nasz bohater” powrócił do hotelu, usłyszał sygnał telefonu:

— Kowalski mówi Ryszard Kowalski. Proszę zaprosić pana mistrza, do kawiarni Przy zbiegu ulic... no, nie opodal — tłumaczył. — Wiem,



że ma pan dzisiaj wolny wieczór. Kowalskich jest tysiące, Pawłowski tylko jeden. Będę na pana czekał przy szatni. Dziękuję, do zobaczenia.

Wymknął się z hotelu w obawie, żeby nie przyczepił się któryś z kolegów — unikał towarzysztwa swojej drużyny. Ów Kowalski przywitał go kordialnie, poprowadził do cichego stolika w samym kącie sali i przedstawił siedzącego tam kolegę. Zamówili koniak. Pierwszy kieliszek za pierwsze spotkanie, drugi i dalsze za co innego

— Znamy pana doskonale — mówił Kowalski w imieniu swego kolegi, który nie znał polskiego, niemniej potakiwał głową. — Od dawna panem się interesujemy, mamy wielu wspólnych znajomych, cenimy pana prozachodnie sympatie.

Ta przemowa go zaskoczyła. Ale nie speszyła. Przyjął ją jak oryginalny komplement.

Tamten podniósł kielich do ust.

— Obaj jesteście z wywiadu wojskowego Stanów Zjednoczonych i, jako takim, nic co ludzkie nie jest nam obce. Nawet ludzkie słabości. Pan rozumie, któż ich nie ma... Ważne tylko, kto o nich wie, jak je interpretuje i jaki chce z nich zrobić użytek. Sportową karierę pana również doskonale znamy. Naturalnie podziwiamy pana. Ale nas nie interesują pańskie słabości. Chcemy zaproponować panu współpracę. Pan nam, a my panu pomożemy. Żeby nie szukać daleko: my na przykład możemy pana uchronić przed niepotrzebnym skandalem. Pan się orientuje, co mamy na



myśli... Ma pan przed sobą jeszcze długą karierę. Wiemy, że forsa jest panu potrzebna. Płacimy za współpracę. Uprawianie przemytu i nielegalne transakcje są niebezpieczne. Nigdy nie będziemy żądali niczego, co przekraczałoby pańskie możliwości, co mogłoby panu zaszkodzić. Będziemy się spotykali tylko za granicą, wyłącznie na nasz sygnał. To gwarantuje dyskrecję i pełne bezpieczeństwo. Ma pan doskonałe alibi, często pan bywa za granicą. W kraju nikt się o naszych kontaktach nie dowie i nikt pana nie ruszy.

— Rozmiękczył mnie alkohol — tłumaczył się przed sądem

— Co oskarżony wówczas tym osobnikom odpowiedział?

— Zastanowię się, powiedziałem im. Być może wam się przydam.

Po dwóch miesiącach wyjechał na kilka dni za granicę, tym razem do Padwy, na zawody o Puchar Trofeo Luxardo. W kraju nikomu nie zwierzył się z tamtej propozycji, nikogo się nie poradził, co robić. Przez dwa miesiące zastanawiał się nad najniebezpieczniejszą decyzją swojego życia. I podjął ją.

W drugim dniu zawodów spostrzegł na sali Kowalskiego, który dyskretnym ukłonem dał mu znać, że jest na miejscu. Gdy tylko wrócił do hotelu, miał od niego telefon. Spotkali się tego samego dnia wieczorem i ponownie nazajutrz w jednym ze śródmiejskich hoteli. Brał w tych spotkaniach udział szef Kowalskiego, Lundgwist. Roz-

mowa była męska, krótka i konkretna. Pawłowski wyraził zgodę na współpracę i obrał pseudonim szpiegowski „Paweł”. Pod tym imieniem był zresztą znany w świecie szermierczym. Kibice wołali nań również „Paweł”. „Paweł”, nie Pawłowski. Kto śmiałyby mnie — rozumował — posadzić o naiwność w wyborze szpiegowskiego pseudonimu. Gdyby był jakiś przeciek na temat szpiega „Pawła”, nikt tego nie skojarzy ze mną. Gdyby ktoś wskazał na moją osobę, pomyślał, że mi świnię podstawia. A grunt to się pilnować. „Najgroźniejszy przeciwnik to ja” — powtarzał.

Tłumaczył przed sądem swoją zgodę na współpracę z wywiadem obawą o dalszą sportową karierę. W innym momencie rozprawy przekonywał, że zachodni sędziowie wielokrotnie krzywdzili go na zawodach. Nie był konsekwentny w linii obrony. Pracownikom wywiadu, którzy go zaangażowali, opowiedział cały swój życiorys. Mówił o rodzinie, przyjaciółkach, kontaktach, mówił, co wie, i co wiedzieć może. Otrzymał pierwsze zadania szpiegowskie dostosowane do jego możliwości. Uzgodniono, że informacje będzie przekazywał tylko za granicą. Każdorazowo nawiąże z nim kontakt jeden z rozmówców, za przywiezione informacje otrzyma odpowiednie do ich wartości honorarium. Dostał „kieszonkowe”, które musiał pokwitować na wywiadowczym blankiecie. Podpisał pseudonimem. Obiecano mu, że w przyszłości za przekazywane informacje będzie miał odkładane pewne sumy na konto ban-

kowe za granicą. Następne spotkanie umówiono w Tokio, podczas olimpiady. Nikt tam nie podszedł do niego, nikt go nie poszukiwał, otrzymał jednak przekaz pieniężny na swoje nazwisko, na adres wioski olimpijskiej. Pracownicy wywiadu dobrze go poznali i wiedzieli, jak mu się przypomnieć.

Istotnie. W jego autobiografii czytamy bowiem: „Po paryskich mistrzostwach wyjechaliśmy z Iwoną na dwa tygodnie na Lazurowe Wybrzeże. Zostaliśmy zaproszeni przez polskich i francuskich przyjaciół. Spędzamy czas na przemian w Juan-les-Pins, Nicei, Cannes i wreszcie w mieście rulety — Monte Carlo. Czas ten dzielimy na zwiedzanie, nawet próbujemy grać w Monte z małym co prawda powodzeniem, ale lekkie dodatki dewizowe są mile widziane. Bywamy też na różnego rodzaju przyjęciach i kolacyjkach... Czas ucieka nam szybko, tak samo jak skromne zasoby dewizowe, jakimi dysponowałem, i te dwa tygodnie zleciały niby piękny sen...”

Jest w tym opisie tylko pół prawdy. Prawda, że tam był, że się zgrywał w kasynach, że chętnie uczestniczył w proszonych przyjęciach i „kolacyjkach”, że „mile widział lekkie dodatki dewizowe”, nie bacząc, z czyjej kieszeni i jaka ręka mu je podaje. Zabiegał zresztą sam o nie, sprzedając „dyskretnie, aby nie plamić honoru polskiego sportu” — powie przed sądem — przemycane z kraju w sportowym ekwipunku poszukiwane na Zachodzie przedmioty. Na Lazurowe



Wybrzeże rzeczywiście pojechał po zawodach w Paryżu, ale na żądanie i koszt mocodawców z wywiadu. Uprosił kierownictwo sportowej ekipy o zezwolenie na pozostanie we Francji, gdyż pragnął podleczyć nadszarpnięte na skutek nadmiernego sportowego wysiłku i emocji nerwy.

Naprawdę udał się na Łazurowe Wybrzeże, aby przejść szpiegowskie przeszkolenie.

Treścią tego szkolenia, podobnie jak prowadzonego w trakcie wywiadowczych spotkań w różnych mieszkaniach konspiracyjnych oraz hotelach Brukseli, Wiednia, Paryża, Nowego Jorku, Meksyku i innych miast na obu półkulach, do których udawał się na zawody, była metodyka pracy szpiegowskiej, zbieranie i utrwalanie informacji, wykonywanie zadań i rozliczanie się z nich, zasady konspiracji i bezpieczeństwa. Za pomocą tablic poglądowych uczono go między innymi, jak ma odróżniać poszczególne rodzaje wojsk i uzbrojenia, zalecano wyjazdy w teren, nawiązywanie szerokich znajomości z oficerami i ważniejszymi osobistościami życia państwowego i społecznego, pozyskiwanie ich przychylności i zaufania, by móc wyciągać od nich interesujące wiadomości. Uczniem był pojętnym, bo na przykład — jak stwierdzono w jego charakterystyce szpiegowskiej — „szybko zapamiętał adresy i telefony kontaktowe, a podczas zajęć wyróżniał się dużą inicjatywą i zdyscyplinowaniem”.

Pracownicy wywiadu stopniowo zlecali mu coraz to nowe i trudniejsze zadania: rozpoznawa-

nie jednostek wojskowych, w tym zwłaszcza OPK i Wojsk Lotniczych, lotnisk i stref obronnych na terenie kraju, śledzenie ruchów wojsk i transportów wojskowych oraz transportów o ważnym przeznaczeniu gospodarczym. Miał ustalać struktury organizacyjne, obsady personalne, plany jednostek i instytucji wojskowych oraz cywilnych, śledzić sytuację polityczną i gospodarczą, zbierać dane o oficerach i niektórych osobach cywilnych, w tym o zawodnikach i działaczach sportowych. Miał zbierać informacje na temat ich stanowisk, wykształcenia, perspektyw awansu, „prezencji i nawyków” (czy nie nadużywają alkoholu, lubią kobiety, uprawiają jakiś hazard, czy są skłonni do przyjmowania prezentów, czy mają dostęp do tajemnic i byliby skłonni je ujawnić, jak można do nich dotrzeć itp.). Polecono mu, aby do nawiązywania kontaktów z tymi ludźmi wykorzystywał różne naturalne i aranżowane przez siebie okazje, na przykład polowania, okolicznościowe imprezy i uroczystości, spotkania, narady i wizyty. A on nie protestował. Jeśli tylko udało mu się zdobyć jakąś wiadomość, to bardzo dokładnie i bez żadnych skrupułów przekazywał ją pracownikom wywiadu: Kowalskiemu, Lundgwistowi, Jankowskiemu, Robertowi, Goryłowi i innym.

W składanych przed sądem wyjaśnieniach zasłaniał się kiepską tarczą — że szeregu poleceń pracowników wywiadu nie wykonał. To prawda. Ale nie wykonał tylko dlatego, że nie mógł! A nie mógł dlatego, że przeszkodził mu w tym

ofiarnie wspomagany zarówno przez mundurowych, jak i cywilnych obywateli nasz kontrwywiad wojskowy.

Na sali rozpraw tuż za moimi plecami siedzą pułkownik Kazimierz Z. i kapitan Stanisław K. z WSW.

Znam koleje ich życia.

Gdy Pawłowski stawiał swe pierwsze szermiercze kroki, zaledwie o kilka lat od niego starszy — wówczas porucznik — Kazimierz Z., który w 1944 roku wyzwalał między innymi Grochów, a potem lewobrzeżną Warszawę, wyleczył już wojenne rany i zameldował się w macierzystym, okrytym bojową chwałą pułku. Nie wrócił jednak do swego batalionu, dla którego wojna — już na wewnętrznym froncie — znacznie się przedłużyła. Został skierowany do szkoły kontrwywiadu.

Krótko trwała ta nauka. Takie były czasy. Intensywne zajęcia w dzień, długie nocne godziny samokształcenia, koleżeńskie konsultacje, egzaminy i skierowanie do nowej, niezwykle odpowiedzialnej i trudnej, niczym frontowa, służby. Bez treningów, zgrupowań, rekreacji i regeneracji. Do służby, która nie ogranicza się w czasie, nie daje wytchnienia, nie przynosi rozgłosu.

Wzdłuż granic państw socjalistycznych, od Ankary do Sztokholmu, centrale wrogich Polsce wywiadów tworzyły wówczas liczne ekspozytury, których zadaniem było werbowanie, szkolenie i nadsyłanie do tych krajów szpiegów i dywersantów. Powstawały wtedy w naszym kraju



siatki szpiegowskie, liczące po kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu agentów. Zakładali je z reguły ludzie przysyłani zza granicy nielegalnymi drogami. Ofensywne przedsięwzięcia polskiego kontrwywiadu, obliczone na dogłębne rozpoznanie przeciwnika i dezorganizowanie jego poczynąń, coraz doskonalsza organizacja pracy i ogromna ofiarność funkcjonariuszy, czujność i pomoc społeczeństwa, wszystko to tworzyło pomyślne warunki do skutecznego krzyżowania wrogich zamiarów i udaremniania planów przeciwnika.

W latach pięćdziesiątych aresztowano rocznie dziesiątki szpiegów państw NATO, wyposażonych w broń i truciznę. Aresztowano szpiegów przemycanych tajnymi kanałami przez granicę, zrzuconych z samolotów i balonów, wysadzanych na wybrzeżu z okrętów podwodnych. W tym czasie kontrwywiad uchronił jednocześnie wielu naszych obywateli przed niebezpieczeństwem wciągnięcia do szpiegowskiej działalności przeciwko ojczyźnie. Miał w tym swój spory udział również — wtedy kapitan — Kazimierz Z., który w zmaganiach z wrogiem na tak zwanym wówczas cichym froncie kolejne zwycięstwa okupić musiał dalszymi ranami i kontuzjami. „Ale dzięki temu chyba — mówi dzisiaj z uśmiechem — mogłem skończyć i Akademię Wojskową, i później — podobnie zresztą jak Pawłowski — zaoczne studia prawnicze. Ściągnięto mnie bowiem z pierwszej linii walki, na której nigdy nie ma wytchnienia i człowiek sobą nie dysponuje”.

Przychodzi moment refleksji. Jak różnymi drogami szli ci ludzie: prawda — fałsz, wierność — zdrada. Zetknęli się na krzyżówce, przy której trzeba zdać rachunek sumienia. Nagroda — kara. I wówczas okazuje się także, jak wielkie siły działają na los jednostki — dla jednych to ojczyzna, dla innych pieniądze z międzynarodowej kasy, opłacającej kampanię przeciwko krajom socjalistycznym.

Pawłowski wkroczył w lata sześćdziesiąte w blasku sportowej sławy. Przed nim była jeszcze długa kariera i wielkie możliwości. Lata te to również okres zdecydowanych poczynań niektórych zwłaszcza państw-członków NATO.

W myśl znanej dewizy zachodnich strategów w dobie broni rakietowo-nuklearnej, uruchamianej naciśnięciem guzika, wywiad ma do odegrania szczególną rolę. Ośrodki wywiadowcze zostały rozbudowane i ściśle sprzężone z ośrodkami wojny psychologicznej i dywersji politycznej. Jak działają? Starają się one coraz szerzej wykorzystywać możliwości, jakie stwarza proces międzynarodowego odprężenia. Interesują się kontaktami naszych obywateli wyjeżdżających do państw kapitalistycznych. Starają się wyciągać od nich — często w podstępny sposób — potrzebne informacje, werbować do współpracy, rozmiękczać politycznie. Prowadzą działania „systemem mozaikowym”, wykorzystując źródła tajne i legalne do zbierania informacji cząstkowych, które sukcesywnie wypełniają obraz zagadnienia, obiektu,

charakterystykę osoby itp. Starają się przenikać we wszelkie dziedziny życia i docierać do różnych środowisk.

Posługując się tzw. naganiaczami, rekrutującymi się najczęściej ze zdrajców i miejscowych lumpów, płatnymi „od łebka”, metodą drobnych kroków (różne świadczenia i grzeczności, stopniowe urabianie, wiązanie i uzależnianie materialne) starają się pozyskiwać upatrzone osoby do współpracy. Wykorzystują firmy handlowe, turystyczne i transportowe, instytucje naukowe, w tym wszelkie kontakty i współpracę uczonych i studentów (stypendia, seminaria itp.), a także wszelkiego rodzaju imprezy międzynarodowe (sportowe, kulturalne i inne), korzystają z ludzkiej lekkomyślności i gadulstwa, z braku zabezpieczenia i przestrzegania tajemnic, z niefrasobliwości.

Powagę sytuacji określa fakt, dowiedziony przez Służbę Bezpieczeństwa w trakcie licznych procesów szpiegowskich (m. in. na podstawie oryginalnych dokumentów, raportów i instrukcji wrogich wywiadów), że w planach strategicznych NATO nasz kraj stanowi centralny teatr przyszłych działań wojennych oraz rejon działania grup dywersyjnych w ramach wojny psychologicznej. Wysiłki wywiadów NATO zmierzają przede wszystkim do zdobycia danych potrzebnych sztabom tego paktu do planowania agresywnych działań i przygotowania akcji mających na celu zniszczenie lub uszkodzenie naszych obiektów przemysłowych i linii komunikacyjnych, likwidację zgrupowań



wojskowych, zagładę miast i ludności. Współczesny wywiad wojskowy państw NATO jest silnie sprzężony z wywiadem gospodarczym, naukowo-technicznym i politycznym, z ośrodkami wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej.

I oto w gronie tych, którzy czynnie pomagali wywiadowi NATO w realizacji wrogich i niebezpiecznych zamierzeń, skierowanych przeciwko naszemu państwu, jego bezpieczeństwu, obronności i dalszemu rozwojowi, znalazł się na początku lat sześćdziesiątych Jerzy Pawłowski.

Długo trwała ta jego droga, równoległa do sportowej, kariera, nim został zdemaskowany przez polski kontrwywiad wojskowy jako płatny agent wrogiego wywiadu. Następnie musiało upłynąć sporo czasu, zanim wezwano go do Szefostwa WSW i zażądano rozliczenia się z niej.

W kwietniu 1975 roku płk dypl. mgr Kazimierz Z. uzyskał od przełożonych zgodę na — jak się tę czynność określa w fachowym żargonie — „realizację sprawy”. Sposób jej przeprowadzenia opracował wspólnie ze swym pomocnikiem, młodym kapitanem Stanisławem K. Obaj od pewnego czasu, najogólniej mówiąc, śledzili obie kariery Pawłowskiego. Tę pierwszą pułkownik, przynajmniej początkowo, z konieczności i profesjonalnego obowiązku, kapitan zaś dla przyjemności, sam bowiem miał w ulubionej broni, szabli, sportowe sukcesy. Studiowali jego walki, analizowali styl, badali przyczyny porażek i sukcesów, rozbierali na czynniki pierwsze całą jego, niezbyt zresztą

złożoną, jak tego bezbłędnie dowiedli, osobowość. Najtrudniej — ze zrozumiałych względów — szło im ustalenie i rozszyfrowywanie charakteru jego kontaktów za granicą oraz powiązań z wrogiem wywiadem.

Za wszelką cenę starano się go uchronić, jako czołowego sportowca, ocalić dla chwały polskiego sportu jego zagraniczną sławę, odwieść od zdrady. Jak to robili, skoro mieli podejrzenia, a nie znali jeszcze prawdy, skoro musieli zbierać dowody, a więc działać niezwykle finezyjnie i ostrożnie? Gdy ich o to pytam, pytam o cienką grę.

— Co tu dużo mówić — reasumuje pułkownik. — Szpieg przez nas ujawniony, a jeszcze nie aresztowany, nie musi być szkodliwy. To pierwsze jest najtrudniejsze, często oznacza właśnie „unieszkodliwienie”. Czasem trzeba go trochę potrzymać jak rybę na haczyku, niekiedy wykorzystać do gry z wywiadem... Chociaż z „Pawłem” nie było to takie proste.

Kilkakrotnie w ciągu ostatnich lat po jego powrotach zza granicy i spotkaniach z pracownikami wrogiego wywiadu przeprowadzał z nim rozmowy oficer kontrwywiadu. W sposób taktowny i niezwykle subtelny, tak by nie zdekonspirować swoich informacji i zainteresowań, wypytując o zagraniczne kontakty, naprowadzał Pawłowskiego na pewne okoliczności, z których mógł on wywnioskować, że jego działalność nie może ujść uwagi kontrwywiadu, że „wpadnie”, a jedno-

częście zachęcał go i ośmielał niejako, by się ujawnił, oczyścić. Udzielano mu też wielu napomnień z powodu jego postawy i zachowania za granicą. Pawłowski reagował z nonszalancją. Nie wyczuwał dydaktycznej intencji. Więcej nie można było uczynić.

Na podstawie uzyskanych sygnałów zorientowano się, że czyni skrycie przygotowania do pozostania za granicą. Kontrwywiad był zmuszony spowodować wstrzymanie mu paszportu. I tutaj pryska któryś tam z kolei mit o Pawłowskim, o jego stosunkach i wpływach. Pawłowski nie mógł nic zdziałać — odwołania nie skutkowały. Szukał różnych określnych dróg, żeby dowiedzieć się, dlaczego nie może otrzymać zgody na wyjazd za granicę. Starał się uzyskać zmianę tej decyzji. Podejmował różne kroki. Zdobył się i na taki, że poszedł do jednego z bardzo wówczas wpływowych działaczy sportu, zostawił mu na pamięć i w dowód „żywionego dlań szacunku” jeden z pucharów, zdobytych podczas zawodów, i na koniec poprosił o interwencję w sprawie wyjazdu za granicę bądź też wyjednanie mu choćby osobistego przyjęcia przez ministra. Nie doczekał się ani takiej audiencji, ani zmiany decyzji władz w swojej sprawie.

To był dla niego ostatni dzwonek. Miał jeszcze ciągle szansę. Mógł się zgłosić do odpowiednich władz, do przełożonych, skorzystać z amnestii w 1974 roku (poprzednio w 1969 roku, również tego nie uczynił) albo przynajmniej z dobro-



dzieństwa artykułu 125 kk\*. Jako sportowiec i doświadczony działacz związku szermierczego (był jakiś czas jego prezesem), jako świadomy obywatel, w dodatku prawnik (studia prawnicze ukończył zaocznie na UW w latach sześćdziesiątych), wiedział, dokąd powinien się udać i gdzie szukać właściwego rozwiązania swego losu. Jak wielu innych naszych obywateli wpłątanych w zastawione na nich wywiadowcze sieci. On jednak nie uczynił tego, tłumacząc naiwnie przed sądem, że o amnestii... nie wiedział. Faktycznie zaś do końca ufał swoim mocodawcom zza oceanu. Przekonywali go o pełnym bezpieczeństwie, o niemożliwości zdemaskowania przez kontrwywiad jego działalności. Wszystko przecież działało się z dala od kraju. Wszyscy przy tym przestrzegali zasad konspiracji i tajności. Na każdym spotkaniu analizowano tok jego postępowania i uznawano go za doskonały. Układano plany i legendy, mające na celu jego bezpieczeństwo, ćwiczone różne warianty zagrożenia i sposoby ich unikania, wypłatania się z nich. Zawsze i na wszystko był przygotowany, miał opracowane alibi, wy-

---

\* Art. 125 Kodeksu Karnego (Ustawa z 19 IV 1969 r. Dz.U. z 14 V 1969 r. poz. 94, nr 13). Jeżeli sprawca przestępstwa określonego w art. 122, 123 lub 124 § 1 dobrowolnie poniechał dalszej działalności i ujawnił wobec organu powołanego do ścigania przestępstw wszystkie istotne okoliczności popełnionego czynu, sąd zamiast kar przewidzianych w tych przepisach wymierza karę pozbawienia wolności od roku do lat 10.

tłumaczenie, działał ściśle według instrukcji i rad. Wsączyli w niego złudną pewność siebie, a on im bez zastrzeżeń zaufał.

Zgłosił się na wezwanie do WSW punktualnie i nic nie wskazywało na to, żeby był nim przejęty. Przygotowując się do rozmowy, przypominał sobie być może położenie Raskolnikowa, który również otarł się o studia prawnicze. Zrazu — pomyślał — rozpoczną z daleka, od błahostek albo nawet od czegoś serio lecz całkowicie ubocznego, by ośmielić albo raczej zmylić badanego, uspić czujność, a później, raptem, najnieoczekiwanej, strzelą z grubej rury, ogłuszają jak ciosem w ciemność jakimś najbardziej decydującym i groźnym pytaniem. Już ja ich zażyję — postanowił.

Był nadal pewny siebie i jak zwykle układny i elokwentny, chociaż tym razem bardziej czujny, skupiony. Jak w ważnym barażu przy stanie trafień 4:4. Był gotów na atak i na kunsztowną obronę. Zaczął od ataku. Od żalu i pretensji za jakieś urojone do niego pretensje, które komplikują mu sportową karierę i mogą wywołać szkodliwe dla Polski reperkusje w świecie. Był gotów wyliczyć różne swoje grzechy — dewizowe, finansowe, przemyt, zastrzeżenia natury etycznej, moralnej, dyscyplinarnej... Gotów to wszystko wyjaśnić, naprawić, przeprowadzić samokrytykę, ponieść odpowiednie konsekwencje, byle szybko, honorowo i po cichu, bo czas każdemu jest drogi. Pawłowski jest tylko jeden.

Stało się zgoła inaczej. Bo i pułkownik Kazi-

mierz Z., i jego młody pomocnik mieli o wiele lepsze rozeznanie od swego załosnego klienta.

— Nie, panie „Paweł” — pułkownik spokojnie zareagował na jego wynurzenia — Mnie nie obchodzą „kryminałki” Chodzi mi o coś zupełnie innego, niech pan wyłoży swoje karty.

Słowa te poczuł jak ostre uklucie. To było właśnie to decydujące trafienie. Ale się rychło ocknął, złożył usta do uśmiechu zdziwienia. „Chyba mnie nie podejrzewacie, nie sądzicie, że ja...” I przyjął postawę obronną. Niczym na planszy szable, tak tu krzyżowały się pytania i wyjaśnienia, były pchnięcia i dramatyczne — bo walka toczyła się bez masek — uniki. Nie było tylko żadnej widowni i braw.

— Może przejdziemy — zaproponował pułkownik — do konkretów. Proszę odpowiedzieć co wtedy, ten, tam...

Przed tymi ciosami nie mogło być uników. Zapoznano go z zarzutem i z postanowieniem o tymczasowym aresztowaniu wydanym przez Naczelną Prokuraturę Wojskową

Nastał czas długiego rozliczania się ze zbrodni.

•

Trzy dni trwały przed sądem wyjaśnienia oskarżonego. Jego monolog zajął dwa procesowe dni, trzeci był już dialogiem. Z sędziami, z prokuratorem, z obrońcą. Jak mi się wydawało, z pokorą i należnym sądowi szacunkiem dokonywał



aktu skruchy. Nie szczędził siebie i nikogo, kto miał związek z jego zbrodniczą działalnością, nie kwestionował winy, rozliczał się z niej szczegółowo, walcząc tym samym o łagodniejszą karę, ba — o uratowanie głowy. Trzeciego dnia przekonałem się jednak, że jego wyjaśnienia, choć pokrywające się generalnie z ustaleniami śledztwa i tym, co wcześniej wyjaśniał do protokołu przesłuchania podejrzanego, tu i ówdzie miały się z niewygodną dla niego prawdą. Pomijały szereg istotnych szczegółów, różniły się w drobnych, jakby się wydawało, akcentach. Takie jest prawo oskarżonego i prawo to było w ciągu całego procesu w całej pełni i z dużym, powiedziałbym, taktem oraz wysoką kulturą respektowane przez sąd.

Wobec precyzyjnych pytań sadu i oskarżyciela, wobec dowodów znajdujących się w sprawie, powracała zagubiona pamięć, pojedynek toczył się fair play. Sąd rozważał, podawał do protokołu rozprawy wszelkie okoliczności, wyniki nieścisłości czy wątpliwości w ustaleniach, które by mogły przemawiać na korzyść oskarżonego.

Odtwarzam fragmenty przewodu ze swoich notatek.

— Jak wyglądały spotkania oskarżonego z pracownikami wywiadu? — pyta przewodniczący rozprawy.

— Początkowo odbywały się w kawiarniach, potem w pokojach hotelowych. Po raz pierwszy do lokalu konspiracyjnego zaprowadził mnie Ko-

walski. Tu pragnę jeszcze raz wyjaśnić, że polskie nazwiska niektórych pracowników wywiadu nie świadczą o ich polskim pochodzeniu. Zdawałem sobie sprawę, że mają polskie brzmienie tylko ze względów konspiracyjnych. A więc Kowalski najpierw mnie poinstruował, jak się to ma odbywać. Szedłem około stu metrów za nim, tak aby go nie stracić z oczu. Porozumiewaliśmy się wzrokowo. Do tego domu weszliśmy, jakbyśmy się nigdy nie znali, tylnym wejściem. Od strony kuchni, właściwie śmietnika, jak złodzieje. To była raczej skromna garsoniera. Kurz, umeblowanie stosunkowo prymitywne, tylko barrek nieźle zaopatrzony. Od razu się zorientowałem, że tam nikt nie mieszka. I były urządzenia do nagrywania rozmowy, ukryte, ale ja się domyśliłem. Również spotkania w hotelach odbywały się z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Zawsze skradałem się jak kot do podanego mi wcześniej numeru, do którego drzwi były otwarte i w którym oczekiwał pracownik wywiadu. Ten przysłuchiwał się jakiś czas, czy nikt nie siedł za mną, włączał radio lub spuszczał wodę w umywalce. O naszych sprawach rozmawialiśmy szeptem. Wychodziłem ze spotkań zawsze pierwszy. I jak wracałem do swoich, oddychałem z ulgą.

— Co było przedmiotem tych spotkań, jaki był ich przebieg?

— Najpierw pytano mnie, czy nie zauważyłem za sobą jakiejś obserwacji, czegoś podejrzanego.

Po kilku minutach rozmowy na temat mego samopoczucia i zamierzeń przystępowano do wysłuchiwania moich relacji, rozliczania mnie z postawionych na poprzednim spotkaniu zadań. Muszę przyznać, że nie dawali się zbywać byle czym, żądali konkretów. Zawsze te moje relacje albo notowali, albo nagrywali na taśmę. Posługiwali się przy tym mapami, na których wskazywałem tereny, o których mówiłem. Szkice wykonywałem sam. W trakcie i po skończeniu mojej relacji padały pytania dotyczące szczegółów poruszanych spraw. Żądali skrupulatnej roboty, ścisłych informacji i coraz większej ich liczby. Żądali, żebym robił postępy, krytykowali za niedopatrzenia. Szczególnie arogancko odnosił się do mnie Janowski. Wytykał byle co, ostro mnie strofował, nawet za jednorazowe, drobne spóźnienie na spotkanie. Czułem do niego cały czas głęboką antypatię.

— I oskarżony godził się z tym?

— W czasie każdego spotkania była część ideologiczna. Swoje stanowisko, stosunek do mnie, żądania motywowali zawsze jakimiś względami wyższego rzędu, urabiali mnie politycznie, przekonywali o słuszności tej współpracy, obiecywali wreszcie, że to się kiedyś skończy, że mi się odwdzięczą i wygodnie mnie urządzią. ...Kowalski, Wysoki Sądzie, był zupełnie inny. Imponował mi kulturą, wiedzą, mogłem z nim rozmawiać na różne tematy. Nie był takim zaślepionym służbistą, patrzył na wszystko realnie. Dowiedziałem się



od niego wielu niedyskrecji. On się nie zgrywał na ideologa, nie starał się mnie urabiać czy upolityczniać, traktował to wszystko rutynowo, jak zło konieczne. Narzekał na ciężki los oficera wywiadu, mówił, że musi wciąż jeździć po świecie, gonić za różnymi ludźmi i wyciągać od nich informacje, nie wiadomo komu i do czego potrzebne, a rodzina mu się rozpada, dzieci wymagają opieki, żona być może go zdradza. Bluźnił na swoich szefów, na nieustanny wzrost kosztów utrzymania...

— Co jeszcze było przedmiotem tych spotkań? — wraca sąd do rzeczy.

— Szkolenie w zakresie zbierania i utrwalania informacji, wykonywania zadań oraz zasad konspiracji i bezpieczeństwa. Posługiwali się przy tym tablicami poglądowymi, zdjęciami, np. uzbrojenia, mundurów. Przez cały okres współpracy miałem stałe zadanie zbierania informacji o ludziach i z tego musiałem się rozliczać na każdym spotkaniu. Interesowały ich zarówno osoby wojskowe, jak cywilne. Pytali o sportowców, zawodników i działaczy, między innymi i o moich kolegów. Żądali szczegółowych charakterystyk, nie tylko danych personalnych. Powinienem wiedzieć wszystko o wskazanych mi osobach. Znać ich słabostki, zapatrywania polityczne, nałogi, wypowiedzi, ocenić ich postawę moralną, możliwości wyjazdów do państw kapitalistycznych, dosłownie wszystko. W celu nawiązywania kontaktów z niektórymi osobami miałem wykorzystać

wać różne naturalne i aranżowane przez siebie okazje, jak polowania, imprezy, uroczystości, oficjalne oraz prywatne spotkania, różne narady, wizyty. Upowazniono mnie, bym wręczał niektórym prezenty, za co otrzymam zwrot poniesionych kosztów.

Oskarżony długo wyliczał przed sądem, kogo, w jaki sposób i za jaką cenę sprzedawał obcemu wywiadowi, oraz jak — z jego polecenia — zabiegał o dotarcie (na przykład zaproszenie go jako wybitnego sportowca) do interesujących wywiad jednostek wojskowych w celu ich osobistego spenetrowania.

— Czym jeszcze interesowali się pracownicy wywiadu, o co pytali oskarżonego? — beznamietnym tonem pyta sędzia.

— O sprawy społeczno-polityczne, sytuację wewnętrzną w kraju, o nastroje ludności.

— Skąd oskarżony czerpał te wiadomości? Jakże były ich źródła?

— Po prostu brałem je z ulicy. Były to różne plotki kawiarniane, podsłuchane rozmowy, czasem sprowokowane przeze mnie dyskusje ze znajomymi.

— A w jaki sposób oskarżony przekazywał te dane pracownikom wywiadu?

— Zawsze starałem się zorientować, czego oczekują, i spełniałem te oczekiwania. To znaczy, jak się zorientowałem, że chcieliby usłyszeć, że ludzie na coś narzekają, to im narzekałem. Jak im zależało, żeby o czymś mówić dobrze, to oczy-

wiecie chwaliłem. Mieli satysfakcję, że opinie ich potwierdzają się. Jeśli nie byłem zorientowany w jakiejś sprawie, bo nie miałem czasu pogadać z ludźmi, włączałem sobie radio, parę wieczorów przed snem słuchałem uważnie „Wolnej Europy” i miałem im wtedy bardzo wiele do powiedzenia. Informacje z tego źródła były dla nich zawsze ciekawe. Gorzej było z identyfikowaniem źródeł. Oni nie chcieli informacji anonimowych. Z tym też sobie jakoś radziłem. Co ciekawsze stwierdzenia przypisywałem różnym osobom z kraju. Jak coś takiego mówiła osoba mi bliska, to jej przed nimi nie ujawniłem, tylko wkładałem te informacje w usta innych... Bardzo interesowali się wydarzeniami marcowymi i grudniowymi. Chodziłem więc na Uniwersytet, wiele osób znałem, miałem jakie takie rozeznanie. Resztę dawałem z „Wolnej Europy”.

Tak płynie spowiedź życia szermierza Pawłowskiego. Wszystkie jego szpiegowskie kontakty miały miejsce daleko poza granicami naszego kraju, następowały zawsze z inicjatywy pracowników wywiadu, co było podyktowane względami bezpieczeństwa. Nie musiał szukać z nimi kontaktu. Oni wiedzieli, gdzie, kiedy i jak długo będzie przebywał, i przygotowywali właściwe warunki do spotkań. Zmieniali się wprawdzie obsługujący go pracownicy wywiadu, lecz jeden drugiemu przekazywał go osobiście, znali się więc z wyglądu, rozpoznawali po głosie. Tylko w Meksyku, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem,



miał ewentualnie dotrzeć do niego nowy człowiek. I tak się stało. Po podaniu czteroczlonowego hasła uścisnęli sobie ręce jak starzy znajomi.

Duże poruszenie na sali, wśród obecnych tu bądź co bądź profesjonalistów, wywołał okazany oskarżonemu album z fotografiami obsługujących go oficerów wywiadu USA oraz miejsc jego wywiadowczych spotkań. A także ścisły opis przebiegu niektórych z nich i wyliczenie informacji, jakie wówczas przekazał, i pieniędzy, które otrzymał.

Pyta go sąd, czy lubił grywać.

— Bardzo — odpowiada. — Szczególnie w ruletkę.

— Czy może oskarżony podać trochę szczegółów? Gdzie, jak, za ile, z jakim skutkiem?

— Wysoki Sądzie! Całe życie byłem hazardzistą... Na ogół wygrywałem, ale tylko wtedy, gdy grałem sam. Koledzy odbierali mi szczęście. Wygrane sumy składałem na konto w banku. Kiedyś postawiłem pięćdziesiąt szylingów na numer dwadzieścia osiem i ta liczba przyniosła mi szczęście. Często na nią stawiałem i wygrywałem, pamiętam ją dobrze... Niestety, dwudziestego ósmego kwietnia zostałem właśnie aresztowany.

\*

W czasie jednej z dłuższych przerw w rozprawie dołączyłem do grona oficerów WSW, siedzących przy kawie w skromnym sądowym bufecie.

To właśnie ich dziełem było zdemaskowanie i unieszkodliwienie „Pawła”. Teraz niektórzy z nich przysłuchują się rozprawie. Ich nazwiska i rolę w sprawie znają tylko przełożeni. Nie próbuję nawet prowokować ich do jakichś zwierzeń, wiem, że i tak nic nie powiedzą. Taka jest specyfika ich pracy i zadań, które nieustannie rozwiązują. Ja to wiem. Jednak moi koledzy po piórze z prasy cywilnej, którzy się do nas dosiedli, nie przepuszczają okazji. To co się dzieje na sali rozpraw jest dla wszystkich klarowne, zaczynają więc z innej beczki.

— Kiedy mówimy WSW, myślimy wyłącznie o smagłych i zawsze eleganckich żołnierzach w białych otokach, których spotykamy na ulicy i dworcach, często z milicjantem czy ormowcem, kontrolujących przestrzeganie przez żołnierzy dyscypliny oraz porządku wojskowego i publicznego, chętnie spieszących każdemu z pomocą i opieką — zaczęła kokieteryjnie przedstawicielka stołecznego tygodnika. — A tutaj dopiero dowiadujemy się, że...

— Wojskowa Służba Wewnętrzna — podchwytuje nie dokończoną myśl również pracujący, jak się dowiaduję, od dwóch lat nad sprawą „Pawła” oficer operacyjny wojskowego kontrwywiadu, major R. — będąca składową częścią naszych sił zbrojnych, powołana jest przede wszystkim do kontrwywiadowczej ochrony wojska, do zapobiegania i wykrywania szkodliwych zjawisk w życiu jednostki, a także do kontroli przestrzegania przez

żołnierzy dyscypliny oraz porządku wojskowego i publicznego poza rejonem zakwaterowania jednostek wojskowych. Swoje zadania wykonuje w ścisłym współdziałaniu ze wszystkimi środowiskami wojskowymi, ze Służbą Bezpieczeństwa MSW i milicją, korzystając z szerokiego społecznego poparcia i pomocy obywateli.

Dalej notuję tylko strzępy dyskusji, która nieoczekiwanie, zamiast przynieść uczestnikom wytnienie, rozluźnienie, stała się poważną i refleksyjną.

— Wystrzegamy się pochopności w ocenie ludzkich postaw i działań. Staramy się poznać przyczyny, które spowodowały taki, a nie inny czyn. Dociekamy socjologicznych i psychologicznych źródeł powstawania i narastania zła. Dużą wagę przywiązujemy do działalności profilaktyczno-zapobiegawczej. Naszą dewizą jest walka o człowieka, a nie walka z ludźmi.

Padają ostrzeżenia pod adresem rzeczywistych i potencjalnych „Pawłów”.

— Są — podkreśla jeden z dyskutantów — pewne prawdy, nie zmieniające się, są pewne zasady, które muszą dotrzeć do świadomości społeczeństwa. Należy przewidywać, że w miarę dalszego rozwoju różnorodnych kontaktów z państwami kapitalistycznymi nadal podejmowane będą próby szpiegostwa. Wynika stąd konieczność wszechstronnej ochrony tajemnic, zwalczania takich naszych przywar, jak niefrasobliwość, gadulstwo, chępliwość. Przeciwnik bowiem potrafi



wykorzystać ludzi nieodpowiedzialnych, lekko-  
myślnych czy wręcz wyzutych z poczucia god-  
ności narodowej i osobistej. Dzisiaj najlepszym  
działaniem profilaktycznym jest wychowanie pa-  
triotyczne i polityczne, kształtowanie socjalisty-  
cznych przekonań i postaw. W wychowaniu tym  
zadaniem kluczowym jest pozyskiwanie umysłów  
i uczuć dla socjalistycznych norm etycznych i so-  
cjalistycznych hierarchii wartości. A tego nie  
widać — pada krytyczna uwaga pod adresem  
naszej dziennikarskiej grupki — ani w prasie,  
ani w radio, ani tym bardziej w telewizji.

Kolejni dyskutanci mówią o innym zadaniu, ja-  
kie spełniają w czasie swej trudnej pracy, o za-  
wracaniu ze złej drogi ludzi uczciwych, którzy  
przez nieświadomość lub z powodu jakichś in-  
nych, niezależnych od nich powikłań losu, wkro-  
czyli na ścieżkę zdrady.

— Ludzie słabego charakteru, z ograniczonym  
horyzontem widzenia świata, mogą ulegać płas-  
kiej reklamie zachodniego stylu życia, dać się  
wziąć na lep miraży dostatniego życia, szybkiego  
i bez wysiłku zdobytego majątku. Trzeba ubole-  
wać nad ich naiwnością. Ludzie to rzeczywiście  
zagubieni, często tragiczne ofiary wroga klaso-  
wego. Ich chcemy ratować i uważamy, że jest  
to nasz zaszczytny obowiązek. Zawsze jesteśmy  
gotowi podać pomocną dłoń i otoczyć opieką  
człowieka, który znalazłszy się na skutek róż-  
nych okoliczności na przestępczej drodze ocknie

się w porę i samorzutnie zgłosi do władz... Ale ta humanitarna zasada nie obowiązuje, rzecz jasna, w przypadkach, gdy potrzebne jest nasze zdecydowane i stanowcze działanie jako organu powołanego do ścigania sprawców przestępstw. Nie zamierzamy podejmować się syzyfowej pracy, której celem byłaby cudowna przemiana wilka w baranka. Skuteczne przeciwdziałanie wrogiej działalności obcych wywiadów wymaga stosowania twardych reguł walki w sensie dosłownym i fizycznym. Nie ulegamy tu żadnym złudzeniom i mistyfikacjom. Obce wywiady łożą grube miliony na zdobywanie naszych tajemnic obronnych, gospodarczych i naukowo-technicznych, bynajmniej nie dla zaspokajania swej niewinnej ciekawości. Ich działania są częścią składową ogólnej koncepcji strategicznej imperializmu, który nie zrezygnował ze swego głównego celu, osłabienia i zniszczenia socjalizmu. Wszelkie ułatwienia w kontaktach między społeczeństwami Wschodu i Zachodu, które są z natury swej zjawiskiem zdrowym i pożądanym, sprzyjającym lepszemu porozumieniu się narodów, przeciwnik stara się wykorzystać do swoich celów, przy czym używa chwytów poniżej pasa, nie ma żadnych skrupułów, ucieka się do kłamstw, oszczerstw i szantażu. I na to każdy dzień przynosi nowe dowody. Dlaczego o tym nie piszecie?!

Przewinęło się przed sądem kilkunastu świadków. Dla większości z nich było to ogromne przeżycie. Powinni mówić prawdę. Niektórzy przez wiele lat przyjaźnili się z oskarżonym. Wiedzieli, że sprzeniewierzył się tej przyjaźni, ale żaden z nich nie zdawał sobie chyba sprawy z faktu, że już dawno został sprzedany obcemu wywiadowi. Niektórzy chcieli nawet swoimi zeznaniami pomóc oskarżonemu. Sąd brał pod uwagę wszystkie motywy i uwarunkowania. Szukał też okoliczności łagodzących.

Z całości zeznań świadków wyłania się klarowna sylwetka oskarżonego, jego droga życiowa, postawa moralna. Coraz wyraźniej widać było to drugie ja, kryjące się i rozwijające pod maską, coraz bardziej dokuczliwe dla otoczenia i złowrogie dla samego Pawłowskiego, pchające go ku demoralizacji i obłudzie.

Dla wszystkich był „marszałkiem szabli” i ten talent skłaniał jego bliskich do tolerowania różnych kaprysów i przywar mistrza. Wyrastał na rozpieszczonego idola — na ich oczach i przy ich udziale. Przywykł do pochlebstw, wywyższał się ponad innych, dyskontował swoją popularność w sposób aż nadto rażący, niegodny i nieuczciwy.

Niektórym z byłych przyjaciół Pawłowski nie szczędził na rozprawie przykrości. Wiedząc, że niczym nie może podważyć prawdziwości ich zeznań, składał oświadczenia i zadawał pytania nie wspólnego ze sprawą nie mające. Chodziło mu jedynie o to, by ich skompromitować.



A świadkowie?

Świadkowie, gdy już uwierzyli, że to, co wydawało im się niemożliwe, jest realne, starali się o obiektywizm. Z tym że teraz pierwszorzędnego znaczenia nabrały te fakty, wobec których niegdyś przymykali oczy. Byli tolerancyjni. Zbyt tolerancyjni.

Zeznaje jeden z jego kolegów.

— Z całą stanowczością mogę stwierdzić, że od początku kariery sportowej Jerzego Pawłowskiego, zwanego cudownym dzieckiem, żył on w atmosferze zachwyty wyrażanego dla jego talentu. W tej sytuacji nikt nie śmiał wymówić słowa krytyki pod jego adresem. Tymczasem on dążył uparcie do wykorzystania swojej pozycji w sporcie w celu osiągnięcia maksymalnych dochodów. Powszechnie było wiadome, że etyka i morale Pawłowskiego pozostawiają wiele do życzenia. Miał skłonności do nawiązywania znajomości i bliższych kontaktów z wieloma kobietami. Z tego też względu jego sposób bycia i postępowania miał demoralizujący wpływ głównie na środowisko młodzieżowe. Pawłowski był chorobliwie chytry i wyklócał się o każdą złotówkę.

Inny świadek, niegdyś zaliczany do grona przyjaciół „Pawła”.

— Na samych zawodach Pawłowski rozmawiał z wieloma ludźmi. Był bardzo popularny i praktycznie rzecz biorąc każdy, kto chciał, mógł z nim rozmawiać, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania czy podejrzeń. Poza popularnością ma

umiejętność nawiązywania kontaktów z ludźmi. Potrafi być bardzo miły, jak chce... Twierdzę, że jest to człowiek inteligentny, o żywym usposobieniu, jednocześnie skryty i przebiegły, dbający jedynie o własne interesy.

Następny świadek.

— Pawłowski był typem człowieka, który chodził „własnymi ścieżkami”. W zasadzie na każdych zawodach zagranicznych zawodnicy wyruszyli do miasta po dwóch, trzech. Pawłowski zawsze wychodził sam.

Kolejny świadek.

— W miarę upływu czasu Pawłowski stawał się coraz bardziej chciwy, bezwzględny, łasy na pieniądze i korzyści, które mógł wyciągnąć ze sportu... Ale na planszy był zawsze dżentelmem, zaś jego walki pełne były finezji i polotu, co podobało się publiczności.

Następny świadek.

— Był wielkim egoistą. Własne powodzenie stawiał na pierwszym miejscu. Miał dar łatwego nawiązywania kontaktów z ludźmi.

Następny świadek.

— Utrzymywał kontakty tylko z osobami, na których mu zależało albo od których mógł uzyskać jakieś korzyści.

Następny świadek.

— Znany był nie tylko jako genialny sportowiec, ale również jako osoba korzystająca z przyjemności życia. Posiadał skłonności do dziewczynek, przy czym muszę podkreślić, że miał dużą

łatwość nawiązywania kontaktów z obcymi. Według mnie był to człowiek płytki i próżny, ze skłonnościami do zarabkowania za wszelką cenę.

Następny świadek

— Składał się jakby z dwóch części: wielkiego sportowca i miernego człowieka... Jako człowiek to egoista, niezwykle łasy na pieniądze, dbający tylko o siebie. Początkowo przejawiało się to w drobiazgach, załatwianiu tylko swoich spraw osobistych i braku koleżeńskości. Później, gdy stał się sławny i możliwości miał większe, jego zachłanność, między innymi na pieniądze, objawiała się w całej pełni. Ujemne cechy charakteru i ujemne oddziaływanie na zespół narastało od roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego. Stał się niezwykle zarozumiały, pewny siebie, po prostu brutalny cham.

Następny świadek.

— Podziw i sympatię widzów oraz różne okazje umiał wykorzystać i wykorzystywał, niekiedy nachalnie, by uzyskać dla siebie korzyści majątkowe. Raz niemal wyludził... Znany był ze skąpstwa.

Następny świadek.

— Widziałem u niego znaczną sumę pieniędzy, lecz nie pamiętam w jakiej walucie. Nie liczył się nigdy z wydatkami i zawsze imponował kolegom forszą. Tłumaczył, że dużo wygrywa w ruletkę lub pokera. Nigdy jednak nikt nie widział tych wygranych, przeciwnie, szablisci twierdzili, że stale przegrywa. Pewnego razu za granicą, po



dużej wpadce w pokera, wyszedł z lokalu i po upływie trzydziestu minut wrócił z dolarami, twierdząc, że podjął je z własnego konta bankowego.

Następny świadek.

— Na drugi dzień chwalił się, że był w kasynie gry i sporo wygrał. Ale nie podał wysokości wygranej. Pamiętam, że powiedział wówczas: „Jak jestem w kasynie gry z wami, to nie mam szczęścia, a gdy jestem sam, to wygrywam”. O tym, że wygrał, wiemy tylko od niego, bo nikt z nim nie był i nie mógł tego potwierdzić.

Następny świadek.

— Zawsze wydawał za granicą masę pieniędzy.

Następny świadek.

— Zaproponował mi, bym pojechał na zawody w Poznaniu razem z nim jego samochodem. A potem zażądał ode mnie pokrycia połowy kosztów przejazdu.

Następny świadek.

— W ostatnim okresie zauważyłem, że Pawłowski stara się wykorzystać swą pozycję w sporcie do załatwiania własnych spraw osobistych, nie licząc się przy tym z potrzebami związku. Spostrzegłem także, że jest bardzo nerwowy, o objawach „gonimwy myślowej”. Sprawiał wrażenie człowieka przeżywającego poważne kłopoty, żyjącego w ciągłym napięciu nerwowym.

Sumuję głosy z zeznań. Nieprzypadkowo podczas bardzo licznych pobyków za granicą Pawłowski trafił do określonych środowisk i osób, nie-

przypadkowo unikał kontaktów z patriotycznymi środowiskami polonijnymi, zawsze i wszędzie serdecznie i życzliwie podejmującymi sportowców z ojczystego kraju, z dumą i wzruszeniem przeżywającymi ich szlachetne zmagania i sukcesy.

On, reprezentant socjalistycznego kraju, członek narodowej kadry i olimpijczyk, w pogoni za korzyściami materialnymi wszedł w bardzo bliskie stosunki z wieloma obcokrajowcami i osobami zbiegłymi z Polski, zdecydowanymi przeciwnikami naszego ustroju i wrogami naszego narodu, prowadzącymi aktywną działalność przeciwko naszemu państwu. Zaprzyjaźnił się między innymi z dziennikarzem jednej z dywersyjnych rozgłośni radiowych, z agentem urzędu specjalnego — Jackiem Zinoberem, z pułkownikiem policji — Dieterem Fangerem, i z współpracownikami służb specjalnych Izraela — Janem Jakubowiczem oraz Karolem Tremskim.

W takich to środowiskach, jak ustalono w toku procesu, „urywając się” kolegom z drużyny, był częstym gościem, tam zawierał różnorodne transakcje handlowe, włącznie z nielegalną sprzedażą kling wywożonych z kraju jako wyposażenie ekipy, w takim towarzystwie zasiadał przy biesiadnym stole i słuchał spokojnie, jak w niewybredny sposób jego towarzysze szkalują nasze państwo i naród. Z takimi też ludźmi grywał w ruletkę i karty, do nich się umizgiwał i od nich uzależniał. Konsekwencje tego były nieuniknione.

Wybieram jeszcze jeden fragment z wymownych relacji i wyjaśnień oskarżonego, obrażających ową równię pochyłą, po której staczał się ku zdradzie.

— Tak się złożyło — odpowiada na pytanie sądu — że w czasie mych zagranicznych wojaży nie mogłem się opędzić od wielbicieli, różnych, zabłąkanych w świecie „rodaków”. Proponowali mi oni zazwyczaj pozostanie na Zachodzie. To mnie do nich zraziło, później już raczej szukałem przyjaciół wśród cudzoziemców, ludzi neutralnych...

To miało wytłumaczyć w jakimś sensie późniejsze wywiadowcze kontakty z cudzoziemcami. Nie zrezygnował wszakże z przyjaźni z owymi „zabłąkanymi w świecie rodakami”, co do których nie miał żadnych wątpliwości, że prowadzą przeciwko Polsce wrogą działalność. Przedstawił ich zresztą całą galerię, dość trafnie opisując każdego.

Oto portret jednego z nich, odmalowany przez samego Pawłowskiego.

— Facet uciekł lub wyjechał nielegalnie z kraju. Wpadł w ręce policji, znalazł się w tarapatkach, musiał się związać i uzależnić od służb specjalnych. Wynajmował dość przyjemne mieszkanie, zapraszał do niego przyjeżdżających z Polski. Na sportowców zawsze oczekiwał z utęsknieniem. Zawsze podkreślał swój przyjazny stosunek do kraju i życzliwość wobec rodaków. Czę-



stując ich alkoholem, łzawił i tęsknił za ojczyzną, a przy okazji wypytywał, co słychać, co się zmieniło tu czy tam, co porabia, co mówi jakiś jego rzekomy znajomy. Kiedyś zwróciłem mu uwagę: „nie pytaj o to”, bo spostrzegłem, że naszą rozmowę nagrywa. Tłumaczył to dziennikarskim nawykiem. Z przyjeżdżającymi chętnie handlował, kupował, co popadło, nawet dobrze płacił. Zamawiał towar, płacił awansem, ułatwiał zakupy, był, jednym słowem, zawsze „bezinteresowny, życzliwy i do usług”.

W czasie kolejnej przerwy znajomy oficer MSW przypomina mi nasze spotkanie sprzed paru lat, również w sądzie wojskowym.

— Pamięta pan tamtą sprawę? — spytał.

Przypomniałem sobie od razu kilkudniowy proces klasycznego naganiacza.

Przeczuwając, iż lada dzień zostanie odkryta jego kompromitująca przeszłość, wyjeżdża za granicę i tam pozostaje. Przechodzi przez obozy dla uchodźców, gdzie musi się wkupić zdradą tajemnic, jakie ze sobą wywiózł. Błąka się później po obcych miastach i przytułkach dla bezdomnych, po ciemnych tawernach i spelunach, w alkoholu szukając zapomnienia. Odnaleziony przez pracowników wywiadu awansuje do roli naganiacza, nastawionego na obywateli polskich. Ale nim do tego doszło, sprawdzono go i solidnie przeszkolono w ośrodku służb specjalnych. A wypróbowano jego lojalność w sposób nader oryginalny.

— Skoro już jesteś gotów nam służyć — po-

wiedziano mu — to nastał czas wielkiej próby. Musisz zastąpić naszego człowieka, który miał być tej nocy zrzucony w Polsce. Oto dokumenty i zadanie...

Nie było ono wcale, nie licząc całej jego niezwykłości, skomplikowane. Dotrzesz tu, sprawdzisz co trzeba, wracasz bezpiecznie, żyjesz jak lord. Omówiono szczegóły akcji. Nie śmiał protestować — słuchał wszystkiego, drząc ze strachu i przeklinając swój los.

Samolot wystartował w nocy. Instruktor podtrzymywał go na duchu, zachowywano wszelkie środki bezpieczeństwa, stosowne do powagi sytuacji. Pilot dał sygnał, instruktor sprawdził zaczep linki spadochronu, poklepał nieprzytomnego ze strachu po plecach i pchnął w ziejącą zimnem czarną otchłań.

Niewiele pamięta z tego, co było dalej. Gdy oprzytomniał, wprowadzano go, a właściwie wnoszono do pokoju. Na ścianie godło polskie, gwar polskiej mowy, milicyjne i wojskowe mundury... Nie wiedział, czy snem to wszystko, czy jawą. Kiedy już nie miał wątpliwości, rozkrzyczał się histerycznie:

— Rodacy, ja na to czekałem! Sam chciałem się wam oddać w ręce. Ja wszystko opowiem...

Tymczasem był to jeden z trików często stosowanych podczas sprawdzania przyszłego współpracownika wywiadu, próba, na podstawie której oceniano jego wartość i przydatność do wykonywania zadań. Cała ta inscenizacja odbyła się w

ośrodku, w którym go szkolono. Dostał straszliwe lanie. Gdy mu się wydawało, że los jego jest przesądzony, spotkał go akt niezwyklej łaski — poddano go kolejnej próbie, którą mógł zmazać zdradę i zrehabilitować się.

Gdy wreszcie został naganiaczem — a miał ku temu, co wywiad bezbłędnie wykrył i od razu docenił, odpowiednie warunki i predyspozycje — wyszukano mu mieszkanie, wyposażone jak należy. Mocodawcy się zmieniali, wypożyczali go sobie w zależności od potrzeb. Kręcił się wokół przyjeżdżających na Zachód turystów, ustalał, co trzeba, starał się wiązać i uzależniać niektórych od siebie. Miał na to fundusze. W mieszkaniu opłacanym przez wywiad eksponował lalki w polskich ludowych strojach, miał płyty z polskimi pieśniami, polską „Żubrówkę” i cały zestaw oryginalnych zachodnich trunków, które ułatwiały wspomnienia i rozwiązywały języki. Zawsze potrafił z bełkotu nagranego na taśmę wyłowić jakieś sensacyjki dla RWE. Dawał swoim gościom drobne suweniry i zawsze miał dziewczęta na podorędziu. Mógł załatwić kredyt w sklepie i był za pan brat z policją. Typował i przygotowywał do werbunku upatrzone osoby. „Gwarantował” im pełną dyskrecję i bezpieczeństwo.

Skończył — podobnie jak zaczynał.

Pewnej nocy obudził się i zobaczył polskie mundury. Długo i zawistnie wpatrywał się w twarze oficerów, przypominając sobie tamtą pierwszą, bolesną lekcję.



— Co też oni teraz wymyślą? Tym razem już nie dam się nabrać — postanowił twardo. — Pokażę, com wart.

To już nie była mistyfikacja. Był to rezultat długiej, żmudnej pracy Służby Bezpieczeństwa, efekt śmiałego przedsięwzięcia polskiego kontrwywiadu, w wyniku którego naganiacz znalazł się faktycznie w kraju. I chyba nigdy już nie dowie się, jak to się stało. Podobnie jak jego mocodawcy.

Los typowego naganiacza.

Rozumiemy się bez słów. Tak potoczyłoby się dalsze życie Pawłowskiego, gdyby polski kontrwywiad nie zareagował w porę. Jego uwięzienie być może uchroniło przed tragedią wiele osób. Jego upadek uratował przed upadkiem innych słabeuszy lub ludzi małej wiary.

Pawłowski — jak dowiódł tego proces sądowy — od początku do końca swojej kariery prowadził podwójne życie. Na pozór był lojalnym obywatelem PRL, reprezentował jej barwy na arenie międzynarodowej, faktycznie zdradził swój kraj, był płatnym agentem obcego wywiadu. Pozornie uczynny i bezinteresowny, w rzeczywistości karierowicz, bezkrytyczny wielbiciel Zachodu, egocentryk i dorobkiewicz, bezwzględnie wykorzystujący życzliwość władz i sympatię społeczeństwa dla swoich prywatnych interesów.

Jego mocodawcy widzieli go już przed mikrofonami wrogich Polsce rozgłośni jako autora wymyślonych przez speców od antypolskiej i antysocjalistycznej propagandy książek i artykułów.

Takie wizje roztaczano przed nim, proponując mu pozostanie za granicą po olimpiadzie w Meksyku w 1968 roku. Rozważył tę propozycję. Żał mu jednak było sportowej kariery, nie chciał utracić możliwości zdobycia punktów potrzebnych do uzyskania tytułu szermierza wszechczasów. Przekonał swoich mocodawców, że najpierw zdobędzie wymarzony tytuł, a później przyjmie ich propozycję. Jakiż efekt propagandowy będzie miało wówczas jego pozostanie za granicą — argumentował.

Myśląc o opuszczeniu kraju przepisał — na kogo uważał za stosowne — część swoich majątności przed olimpiadą w Meksyku. Zdobyć tam złotego medalu i tytułu mistrza olimpijskiego w szabli zdopingowało go do dalszej walki o wymarzony tytuł. Z tych samych względów (a może żał mu było zostawionego w kraju majątku?) nie pozostał we Francji w czasie ostatniego już swego wyjazdu za granicę, w lipcu 1974 roku. Postanowił dotrwać w swojej podwójnej roli do olimpiady w Montrealu. Takie zakończenie szpiegowskiej kariery uważał za „honorowe”.

Do tego tylko i tak długo potrzebna mu była Polska, jej paszport z orłem.

Kończy się przewód sądowy. Głos ma prokurator.

— Ranga przekazanych przez oskarżonego ob-  
cemu wywiadowi wiadomości miała duże znacze-  
nie z punktu widzenia bezpieczeństwa i obron-  
ności naszego państwa, jeżeli weźmie się pod  
uwagę, że odpowiadały one faktycznemu stanowi  
rzeczy i dotyczyły między innymi szczególnie wa-  
żnych i chronionych tajemnic... Oskarżony tak  
dobrze służył swoim mocodawcom, że przekazy-  
wał im nawet fakty zaobserwowane przypadko-  
wo. Szczególną odrazę wywołuje fakt wykorzy-  
stywania przez niego do zbrodniczych celów spot-  
kań i wizyt w wojsku i niektórych instytucjach  
cywilnych, dokąd był zapraszany jako wybitny  
sportowiec. W ten sposób między innymi uzyskał  
i sprzedał wywiadowi ważne informacje o dwóch  
jednostkach Obrony Powietrznej Kraju. I nie  
zadrżała mu ręka, kiedy szkicował ich lokaliza-  
cję, drogi dojazdowe, zabezpieczenie...

Nie przeszkadzało mu to w tym samym niemal  
czasie tworzyć w cytowanej wyżej książce auto-  
biograficznej sugestywnego obrazu warszawskiego  
powstania, obrazu, który utkwiał w jego pamięci.

„Raptem — pisze — nad naszymi głowami  
przelatują samoloty myśliwskie... Widzę ludzi  
kładących się jak łan zboża przy podmuchu wia-  
tru... Na ziemi widać się z bólu ranni Staruszek  
jakiś w biegu krzyczy: »Ludzie, ratujcie! Ludzie,  
ratujcie«. Pada na ziemię i tam miota się w po-  
twornych męczarniach. Miał wasy jak mój dzie-  
dek, tylko całkiem siwe”.

Wtedy, kiedy to pisał i kiedy sprzedawał wy-



wiadowi informacje dotyczące Obrony Powietrznej Kraju. prasa i telewizja codziennie przynosiła takie same obrazy z rejonów, w których amerykański imperializm chciał niepodzielnie panować — szczególnie z Wietnamu. Miał takie tragiczne doświadczenia, a zabrakło mu wyobraźni? Nie potrafił kojarzyć? Nie, on po prostu nie miał sumienia i honoru. Przysłoniła mu je pogoń za sławą, karierowiczostwo, pieniądź. On musiał wiedzieć, że przekazane wywiadowi dane są nanoszone na mapy sztabowe NATO jako punkty przewidziane do zniszczenia. Czy pomyślał wówczas o tych, którzy go wczoraj z otwartym sercem, jak brata, jak Polaka, przyjmowali i którym jak wytrawny zdrajca schlebiał? Czy pomyślał, co im na jutro szykuje?

Wiedział, że i inne jego informacje, które nie przydadzą się sztabowcom NATO, są wykorzystywane przeciwko jego ojczyźnie — a miał jej do zawdzięczenia o wiele więcej niż którykolwiek z jego współrodaków — we wrogiej propagandzie, w wojnie psychologicznej i dywersji ideologicznej. Wiedział, że dopuszcza się najcięższej zbrodni przeciw swojemu państwu i narodowi.

I tylko to — treść sprzedanych wywiadowi informacji, ranga szkód wyrządzonych przez niego ojczyźnie — wyróżnia Pawłowskiego-szpiega w niechlubnej galerii zdrajców unieszkodliwionych przez Służbę Bezpieczeństwa, przez polski kontrwywiad. Tylko tym różni się od swoich poprzedników odpowiadających przed polskimi

sądami wojskowymi. Podobnie jak ów kelner — aferzysta gospodarczy z Wybrzeża, warszawski kryminalista czy łódzki cinkciarz i alfons, którzy, aby uniknąć więzienia, uciekli za granicę i zostali zwербowani przez wrogie wywiady, także i on nie uzyskał od swoich mocodawców żadnych bezinteresownych wyróżnień i korzyści. Werbowali go, kierowali nim, żądali od niego ci sami „Kowalscy” i „Goryle”, jak tamci badany był na aparacie do wykrywania kłamstw, otrzymywał, jak tamci, szpiegowską jałmużnę.

Żył jak tamci złudzeniami.

— Wysoki Sądzie! Obywatele Sędziowie! Szpiegostwo w każdej postaci — podkreślał w przemówieniu oskarżycielskim prokurator Naczelnej Prokuratury Wojskowej — jest i pozostanie jednym z najgroźniejszych dla interesów państwa przestępstw. Działalność szpiegowska obywatela PRL przeciw własnemu krajowi nabiera charakteru zdrady, postępowania odrażającego, obcego naszej godności narodowej, postępowania zdecydowanie negatywnie wartościowanego przez ogół społeczeństwa. Wieloletnia działalność szpiegowska Jerzego Pawłowskiego nie może nie wywołać uczucia oburzenia i potępienia każdego obywatela naszej socjalistycznej Ojczyzny, każdego patrioty, któremu na sercu leży bezpieczeństwo i pomyślność rodzinnego kraju. Zadufany w sobie, wykorzystując słabości i uczciwość innych, przekonany o nieomyślności i wszechpotędze wywiadu amerykańskiego, Jerzy Pawłowski nie sko-

rzystał z dwóch kolejnych amnestii, gdyż, jak sam wyjaśnił, zerwanie z działalnością szpiegowską uniemożliwiłoby mu wyjazdy na dalsze zagraniczne imprezy sportowe, a przede wszystkim na Igrzyska Olimpijskie w Montrealu. Nie przewidział jednak, że jego zbrodnicza działalność zostanie wcześniej zdemaskowana przez organa polskiego kontrwywiadu, że za wszystkie swoje haniebne czyny będzie musiał odpowiadać przed sądem PRL... Konstytucja Polski Ludowej, zasadnicza karta praw i obowiązków obywateli naszej ojczyzny, nakazuje w imieniu państwa i narodu traktować szpiegostwo jako najcięższą zbrodnię i karać z całą surowością prawa. Uwzględniając niskie pobudki działania oskarżonego, brutalne złamanie przysięgi wojskowej, długoletnią działalność w obcym wywiadzie, wyrządzone szkody dla bezpieczeństwa i obronności państwa oraz brak zasad moralno-etycznych sprawcy, wnoszenie o wymierzenie najwyższego wymiaru kary byłoby uzasadnione. Jedynie fakt, że oskarżony zarówno w toku śledztwa, jak i na rozprawie sądowej przyznał się do popełnienia zbrodni, powodując, że jako oskarżyciel publiczny w imieniu Państwa Ludowego żądam uznania go winnym popełnienia zbrodni z art. 124 kk § 1\* i wymierzenie mu kary dwudziestu pięciu lat pozbawie-

---

\* Art. 124 § 1 kk: Kto bierze udział w obcym wywiadzie lub działając na rzecz tego wywiadu udziela mu wiadomości podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze



nia wolności, pozbawienia praw publicznych na okres lat dziesięciu oraz konfiskaty mienia.

Komplet sędziowski w pełni podzielił stanowisko oskarżenia i wymierzył wnioskowaną przez oskarżyciela karę, uwzględniając jako jedyną okoliczność łagodzącą przyznanie się oskarżonego do winy i ujawnienie całokształtu swych kontaktów i współpracy z wywiadem.

Obiecywano mu, że jeśli pozostanie za granicą, wówczas za pieniądze i przy pomocy wywiadu będzie mógł założyć aż trzy „kluby rozrywkowe”. Wspaniałe kluby! W nich klient wszystko będzie mógł znaleźć. Kupi tanio, sprzeda drogo, wszystko, łącznie z własnym sumieniem.

Mocno był z tą przyszłą rolą i wizją dalszego swego życia związany. Tak mocno, że kiedy nie otrzymał paszportu, a wywiad zaczął się tak samo jak on` niecierpliwie, przekazał jego agentom przystanym do kraju, aby zbadali jego sytuację na miejscu, nowe informacje szpiegowskie oraz różne plotki.

Pocieszali się jeszcze wspólnie w styczniu 1975 roku, na cztery miesiące przed aresztowaniem, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem.

---

śmierci, a jeżeli sprawca działalność tę organizował lub nią kierował — kara pozbawienia wolności nie może być niższa od lat 8.

## Ci od Gehlena

Proces, który toczył się w 1971 roku przed Sądem Marynarki Wojennej w Gdyni, raz jeszcze odstłonił kulisy działalności wrogich wywiadów i ich totalne zainteresowanie naszym Wybrzeżem oraz całym kompleksem gospodarki morskiej, a zwłaszcza przemysłem stoczniovym. Podczas tego procesu powiedziano wiele na temat działalności wywiadu gospodarczego RFN, stosowanych przez niego metod oraz ukazano sylwetki skorumpowanych, nieuczciwych pracowników naszego handlu i przemysłu, którzy wciągnięci zostali do zbrodni szpiegostwa.

Kres tej działalności położyła gdańska Służba Bezpieczeństwa — polski kontrwywiad, w porę zapobiegając powstaniu większych strat oraz szkód dla gospodarki i obronności naszego kraju. Walnie przyczynili się do tego liczni pracownicy naszego handlu i przemysłu, którzy wykazali głęboki patriotyzm, odpowiedzialność i czujność, stanowiące dla wroga barierę nie do przebycia.

Oto główne dramatis personae.

Urszula Charlotta Manthey urodziła się w 1931 roku i wychowała w rodzinie niemieckiej, na polskiej ziemi, w Chodzieży. Miała dwadzieścia lat, gdy w 1950 roku wyjechała wraz z matką i siostrą na pobyt stały do RFN, gdzie od zakończenia wojny przebywali jej bracia — byli żołnierze hitlerowskiej armii — oraz dalsza rodzina.

Znalazły się wprawdzie wśród swoich, lecz nie w tak wspaniałych warunkach, jak im obiecywano. Nie mając wykształcenia ani zawodu, Urszula wykonywała najprostsze prace fizyczne w różnych przedsiębiorstwach. Po latach uśmiecha się do niej los. Poznaje mężczyznę, wprawdzie o wiele lat starszego od siebie (z 1903 roku) i nie takiego, o jakim marzą dziewczęta, ale za to bardzo zaradnego.

Doktor Paul Reimitz prowadzi w miejscowości Deutsch-Evern koło Luneburga niewielkie biuro handlowe pod nazwą „Export Industriebertretung”. Urszula zostaje jego żoną i zaczyna przejawiać ogromną inicjatywę i przedsiębiorczość. Niewielka dotąd agencyjna firma, cierpiąca na brak kapitału, nabiera nagle wiatru w żagle i wchodzi na rynek polski, atrakcyjny i solidny, choć wówczas przez wielu jeszcze nie doceniany bądź wręcz bojkotowany. Reimitz pośredniczy w sprzedaży polskim przedsiębiorstwom przemysłu stoczniowego niektórych urządzeń okrętowych, gdyż produkujące je firmy bezpośrednich kontaktów handlowych z Polską nie utrzymują.



Na podstawie gwarancji czekowych Centrali Mor-  
skiej Importowo-Eksportowej „Centromor” i Na-  
rodowego Banku Polskiego uzyskuje kredyt z za-  
chodniobерlińskiego banku, nawiązuje bezpośred-  
nie stosunki handlowe także z „Centrozapem”  
w Katowicach, „Metalexportem” i „Elektrimem”  
w Warszawie, Centralnym Ośrodkiem Konstruk-  
cji Badawczych Przemysłu Okrętowego w Gdań-  
sku, ze stoczniami, zakładami przemysłowymi  
oraz innymi instytucjami. Firma przejmuje jedną  
trzecią wartości obrotu. To się nazywa biznes!  
Im większy obrót, tym większy zysk. Jej właś-  
ciciele nie szczędzą przeto trudu, wychodzą na-  
przeciw potrzebom polskiego kontrahenta. Przy-  
jeżdżają do Polski co kilka miesięcy, na miejscu  
prowadzą pertraktacje, uzgadniają sprawy tech-  
niczne, przyjmują reklamacje oraz przedstawiają  
oferty i podpisują kontrakty.

Każdy ich pobyt w Polsce trwał od kilku dni  
do kilku tygodni. Jeździli swobodnie (własnym  
samochodem) po całym niemal kraju, odwiedzali  
liczne instytucje i zakłady przemysłowe w róż-  
nych miastach. Często wyrażali — i czynili to  
na pewno szczerze — podziw dla naszych osią-  
gnięć, często także, by uspić czujność swoich par-  
tnerów, deklarowali się jako nasi przyjaciele.  
Przekupując niektórych nieuczciwych pracow-  
ników z central handlowych i zakładów produkcyj-  
nych uzyskiwali korzystne zamówienia.

Praktyki te nie powodowały zresztą większych  
szkód, dopóki nie pojawili się „ci od Gehlena”,

jak ich potem trafnie i zwięźle określił Paul Reimitz.

Najpierw Reimitzowie zostali wezwani do biura policji w Luneburgu. Tu, przy Bardovikerstrasse, czekał na nich funkcjonariusz policji politycznej. Potraktował ich ostro — jako podejrzanych. Wypytywał Urszulę o szczegóły jej życiorysu, jej stosunek do Polski, znajomych oraz cele częstych wyjazdów do Polski.

Reimitz rzetelnie poinformował go o swoich kontaktach handlowych z Polską, tłumaczył, że nie podejrzanego się za tym nie kryje, że jest lojalnym Niemcem i nie pozwoliłby na jakąkolwiek ingerencję w jego interesy obcych czynników politycznych, a tym bardziej — nie dał Boże — policyjnych. Zdecydowanie odrzucił insynuacje, jakoby jego działalnością interesowała się polska Służba Bezpieczeństwa. Wyjazdy żony — wyjaśniał — uzasadnione są jej znajomością języka polskiego, służy mi jako tłumaczka.

Funkcjonariusz policji wszystko to, co mówili, traktował z wyraźnie manifestowaną nieufnością. Starał się ich zastraszyć, wzbudzić niepewność, niepokój.

Wkrótce po tej rozmowie do mieszkania Reimitzów w Deutsch-Evern zgłosił się inny funkcjonariusz wywiadu. Ten już szczegółowoypytywał ich o kontakty handlowe z Polską, interesował się, jakimi urządzeniami i z jakimi centralami czy przedsiębiorstwami handlują, jakie mają plany, jakie trudności. Pytał, czy w czasie poby-

tów w Polsce są indagowani przez władze na temat RFN, czy odczuwają ze strony polskiej jakieś naciski, czy nie żąda się od nich jakichś informacji w zamian za przyjmowanie zamówień... Interesował się przy tym stosunkami wewnętrznymi w Polsce, klimatem politycznym, rozbudową przemysłu, ludźmi. Wreszcie, na zakończenie wizyty, postawił sprawę jasno:

— Jesteście jedyną firmą w tej okolicy, która utrzymuje kontakty z krajem socjalistycznym, dlatego żądam w przyszłości więcej i bardziej szczegółowych informacji.

Po upływie kilku miesięcy w mieszkaniu Reimitzów zjawia się — znów bez zapowiedzi — dwóch tajemniczych dżentelmenów. Przedstawiają się jako pracownicy ministerstwa handlu zagranicznego z Hanoweru. Po krótkiej rozmowie, w której zaimponowali gospodarzom dokładną znajomością ich działalności handlowej, ujawniają swoje prawdziwe funkcje. Jeden okazał legitymację ministerstwa spraw wewnętrznych, drugi urzędu policji w Luneburgu. Ten drugi nazywał się Keler. Przystąpił od razu do rzeczy. Jakże w Polsce buduje się statki, dla kogo, jaka jest moc produkcyjna poszczególnych stoczní, w jakim zakresie polski przemysł stoczniowy uzależniony jest od importu urządzeń okrętowych z Zachodu — dociekał. Interesował się też innymi dziedzinami gospodarki polskiej: przemysłem metalurgicznym, chemicznym i maszynowym. Pytał o zarobki różnych grup ludności, o szkolnictwo,



o stan zagospodarowania ziem zachodnich i północnych, o sytuację w rolnictwie, handel zewnętrzny, usługi i rzemiosło, budownictwo mieszkaniowe i działalność partii.

— Stało się — szepnął do skonsternowanej żony Reimitz. — To są ci od Gehlena.

Mężczyźni podkreślili, że informacje z Polski są im bardzo potrzebne. Wszechstronne.

— Nawet najbardziej ogólne informacje — tłumaczył ten z ministerstwa — pozwolą nam wyciągnąć odpowiednie wnioski. Jesteśmy od tego fachowcami. Sam władam nieźle językiem polskim i dobrze pamiętam ten kraj. W czasie wojny pracowałem tam w wywiadzie. Mam z Polakami własne porachunki.

Zapowiedzieli następną wizytę.

Kiedy wrócili z kolejnej podróży do Polski, znów zjawił się Keler. Teraz już mówił wprost:

— Potrzebne mi są konkretne informacje. Jeśli ich nie otrzymam, możecie mieć trudności w dalszych kontaktach z Polską.

Zgadzała się Urszula waha się tylko przy podpisywaniu zobowiązania o współpracy z wywiadem.

— Nie chodzi o zobowiązanie, chodzi o dostarczanie interesujących mnie wiadomości — kwituje to obcesowo Keler. — Musicie pamiętać — instruuje — że pod żadnym pozorem nie wolno

wam nikomu ujawniać kontaktu z wywiadem. Aby zdobyć w Polsce żądane informacje, winniście pozyskać zaufane osoby i wiązać je z sobą przez wręczanie prezentów i przekupywanie. Należy przede wszystkim korzystać z usług takich osób, które ze względu na tryb życia potrzebują dużo pieniędzy. Na razie najłatwiej wam będzie nawiązać kontakt z osobami, z którymi współpracujecie w sprawach handlowych. To niewątpliwie uprości sprawę i nie będzie wzbudzało podejrzeń.

Keler pouczył jeszcze Reimitzów, w jaki sposób mają postępować w Polsce, aby nie ściągnąć na siebie uwagi Służby Bezpieczeństwa. Zabronił Urszuli wciągać bądź wykorzystywać do działalności szpiegowskiej krewnych oraz znajomych z okresu jej stałego pobytu w Polsce, zakazał też nadużywania alkoholu i wydawania zbyt dużych sum na cele szpiegowskie, przestrzegał przed nawiązywaniem znajomości z osobami spotkanymi przypadkowo. Później podzielił między nich zadania. Reimitz miał zbierać informacje o przemyśle stoczniowym i innych działach gospodarki, zgodnie z zainteresowaniami zawodowymi, ona natomiast — wykorzystując znajomość języka polskiego i naturalne możliwości włączania się bądź podsłuchiwania różnych rozmów — o stosunkach społeczno-politycznych. Faktycznie jednak, towarzysząc mężowi jako tłumaczka w rozmowach handlowych i prowadzonych dyskusjach, odwiedzając z nim zakłady przemysłowe, stocznie i biura konstrukcyjne, brała także udział w zbie-

raniu informacji z dziedziny przemysłu okrętowego oraz licznych zakładów z nim kooperujących.

Od tej pory Reimitzowie przyjeżdżali do Polski, jak dotąd, kilkakrotnie w ciągu roku, ale już w podwójnym charakterze. Uprawiana przez nich działalność szpiegowska wiązała się ściśle z oficjalną działalnością handlową i przez długi czas była przez nią doskonale kamuflowana.

Informacje wywiadowcze uzyskiwali z różnych źródeł. Najchętniej wyciągali je od niektórych pracowników przemysłu okrętowego, mających dostęp do wiadomości tajnych i poufnych, szczególnie od tych, którzy — według wcześniejszego rozeznania — chętnie przyjmowali prezenty i pieniądze. Informatorami były także osoby, z którymi zetknęli się na płaszczyźnie swej działalności handlowej i które często — za wynagrodzeniem — świadczyły im różne usługi. Ludzie ci, lekceważąc odpowiednie zarządzenia lub przez lekkomyślność, zdradzali interesujące wywiad tajemnice służbowe. Reimitzowie wiele wniosków wyciągali z własnych obserwacji, których dokonywali podróżując po Polsce, odwiedzając zakłady przemysłowe, biura konstrukcyjne i inne instytucje. Często też dostawali do wglądu dokumenty, mimo że w danym wypadku nie było to konieczne do prowadzonej przez nich działalności handlowej.



Informacje czerpane z tych źródeł Reimitzowie wykorzystywali jednocześnie do prowadzenia korzystnych dla siebie transakcji handlowych. Tak więc zainteresowania wywiadu pokrywały się w dużej mierze z ich prywatnymi interesami.

Do osób, od których Reimitzowie uzyskiwali zasadnicze informacje wywiadowcze, wywiadowczo-handlowe i handlowe, należał między innymi Brunon Bernard Ebinger\*, urodzony w 1920 roku w Tczewie, z zawodu handlowiec, wykształcenie średnie, były żołnierz Kriegsmarine. Zatrudniony był w Centralnym Ośrodku Konstrukcyjno-Badawczym Przemysłu Okrętowego w Gdańsku na stanowisku kierownika zespołu opiniowania ofert.

Ich pierwsze kontakty nie wykraczały poza sferę omawiania spraw handlowych na terenie instytucji, w której Ebinger pracował. Do nawiązania bliższej znajomości doszło między nimi dopiero na terenie RFN, dokąd ten pracownik ośrodka konstrukcyjno-badawczego wyjechał służbowo z ramienia „Centromoru”. Odwiedził wówczas między innymi firmę Reimitzów. Później w kraju, po załatwieniu spraw służbowych, zaprosił ich — wbrew przepisom dotyczącym sposobu załatwiania spraw z interesantami-obcokrajowcami — do swego domu i przedstawił rodzinie.

---

\* Wszystkie nazwiska współpracowników i informatorów Reimitzów zostały zmienione.

Reimitzowie nie mieli trudności w pozyskaniu go do swoich celów. Łatwo zgodził się na ich propozycje. Początkowo zlecili mu wykonanie tłumaczenia dokumentów z języka niemieckiego na polski za wysokie honorarium, przekraczające wielokrotnie wartość wykonanej pracy.

— Chodziło o to — wyjaśniali w śledztwie — aby w ten sposób zachęcić go do współpracy z nami.

Niebawem ich kontakty stały się niemal przyjacielskie. Reimitzowie zawsze odwiedzali rodzinę Ebingera, przywozili drogie prezenty, wręczali różne kwoty w dolarach. Gospodarz bez skrupułów i systematycznie przekazywał swym gościom posiadane wiadomości. Reimitz notował. Niekiedy — jak na przykład w wypadku schematu organizacyjnego jednego z wydziałów Centralnego Ośrodka Konstrukcyjno-Badawczego Przemysłu Okrętowego, w którym należało wymienić poszczególne komórki organizacyjne i nazwiska pracowników działu — informacje otrzymywał na kartce.

Przekazywane przez Ebingera dane, mimo że były wiarygodne, gdyż pochodziły od osoby wtajemniczanej i kompetentnej, znającej problematykę przemysłu okrętowego od wielu lat (Keler nadawał im najwyższą cechę wiarygodności), Reimitzowie starali się potwierdzić i zweryfikować na podstawie innych źródeł. Keler uczył ich bowiem, że prawda jest dopiero to, co przynajmniej dwóch potwierdzi. Ebinger kontaktował

także „swoich przyjaciół” z niektórymi specjalistami lub podawał nazwiska osób, od których opinii zależało przyjęcie bądź odrzucenie ich oferty, informując zarazem, kogo łatwo można przekupić, jakie kto ma słabe strony i jak go trzeba podejść. W ten sposób podawał między innymi nazwiska i charakterystyki różnych karierowiczów, których łatwo można pozyskać.

Po finansowym uzależnieniu Ebingera, wiedząc, jak chciwy jest na pieniądze, Reimitzowie nie kryli przed nim swoich kontaktów z wywiadem. Pytali go wprost o to wszystko, co ich interesowało, żądali określonych informacji, on zaś darzył ich pełnym zaufaniem, stał się ich płatnym sługą i współpracownikiem. Zaczął też stawiać żądania. Domagał się prezentów (składał konkretne zamówienia) i pieniędzy. Otrzymywał więc paczki z żywnością, używaną odzież, a także przedmioty wartościowe. Nie gardził niczym. Za przekazane Reimitzom informacje wywiadowcze i handlowe Ebinger otrzymał około 3000 dolarów USA oraz wiele wartościowych prezentów, a na specjalne zlecenie pracownika wywiadu Kellera dodatkowo jeszcze 1000 dolarów w formie wyróżnienia za jakość przekazywanych informacji wywiadowczych.

Reimitzowie nie mieli jednak monopolu na informacje od Ebingera. Uczestnicząc jako tłumacz w rozmowach z przedstawicielami różnych firm zachodnich oraz w przyjęciach i wycieczkach dla nich organizowanych, poznał wielu cu-



dzoziemców i dążył do nawiązania z nimi kontaktów prywatnych. Za różne przysługi, które im oferował, brał prezenty. Wszystko mu było potrzebne — i butelka koniaku, i długopis, „jakiego się w Polsce nie kupi”, i skarpetki. Zawierał też różne nielegalne transakcje handlowe.

Leszek Poleski urodzony w 1924 roku w Wiedniu, wykształcenie średnie, od 1962 roku pracował w „Centromorze” w Warszawie (w 1966 roku główne agendy tej centrali przeniesiono do Gdańska), początkowo na stanowisku rzeczoznawcy do spraw handlowych, później jako pełnomocnik dyrektora do spraw wyposażenia okrętowego. Do jego obowiązków należał nadzór nad sprawami eksportu, licencji oraz importu urządzeń okrętowych.

W kontaktach z zagranicznymi handlowcami w „Centromorze”, podobnie jak w innych centralach handlu zagranicznego, obowiązuje zasada nakładająca na pracowników obowiązek przeprowadzania rozmów tylko w przeznaczonych na ten cel pomieszczeniach recepcyjnych, przy czym rozmowy takie mogą być prowadzone w obecności dwóch osób. Istnieje też zakaz utrzymywania z kontrahentami zagranicznymi kontaktów prywatnych, jak również przyjmowania jakichkolwiek prezentów.

Reimitzowie, jak wiemy, zabiegali o względy

poszczególnych osób, od których zależały ich interesy handlowe. Gdy Poleski objął stanowisko pełnomocnika do spraw handlowych w „Centromorze”, stał się głównym celem ich umizgów. Poszło im nadspodziewanie łatwo. W czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich zaprosili go do restauracji. Po sutej kolacji zegnał się z nimi jak stary znajomy. Od tej pory nigdy już nie odmawiał udziału w przyjęciach i poczęstunkach w najdroższych lokalach, oczywiście na koszt Reimitzów, którzy skrzętnie chowali rachunki, gdyż za wszystko przecież płacili ci od Gehlena.

Wkrótce już Poleskiego i Reimitzów łączyła zażyła znajomość, oparta na wzajemnym zaufaniu i geszecie. Pracownik „Centromoru” skarżył się przyjacielom z Zachodu na panujące w Polsce stosunki, narzekał, że wynagrodzenie, jakie otrzymuje, jest niewspółmiernie małe do sprawowanej przezeń funkcji, że nie starcza mu nawet na skromne utrzymanie, tym bardziej że żona jest bardzo wymagająca jeśli chodzi o poziom życia... Pieniądzy jednak nie chciał brać od nich tu, na miejscu. Wołał, by przekazywali je żonie wyjeżdżającej do Paryża „na wypoczynek”. Sam także chętnie składał im wizyty podczas licznych wyjazdów na Zachód. Wtedy bez żadnych skrupułów przyjmował gotówkę. A to na kupon materiału, a to na inne „niezbędne” do życia przedmioty, na przykład na kamerę filmową czy drogie urządzenia fotooptyczne. Na jego prośbę Rei-

mitzowie przywieźli mu z RFN, w formie prezentu, komfortowe wyposażenie łazienki, komplety zamków i klamek do drzwi i inne urządzenia.

Podczas podróży do RFN otrzymywał od Reimitza duplikaty rachunków za noclegi w hotelach. Faktycznie rachunki te regulował Reimitz, on zaś rozliczał się w kraju z kwot przeznaczonych na ten cel, chociaż żadnych wydatków nie ponosił. W załączonych do rozliczeń wykazach umieszczał niekiedy drobne kilkumarkowe kwoty za przejazdy kolejowe, chociaż podróżował zawsze samochodami firm, do których był delegowany, a także wpisywał rzekome koszty opłat bagażu i taksówek, nawet rachunek za prywatną rozmowę telefoniczną z żoną. W ten sposób rozliczając się z delegacji do Hiszpanii w 1967 roku przywłaszczył sobie ogółem 3726 peset, a z delegacji do Indii w 1968 roku — 300 rupii.

Przed Reimitzami nie miał żadnych tajemnic. Podobnie jak Ebinger charakteryzował niektórych pracowników pod względem ich przydatności fachowej, opowiadał o ich wadach i zaletach, mówił, do kogo mogą mieć pełne zaufanie, czyli kogo łatwo mogą pozyskać, a kogo powinni unikać. Wygłaszane przez niego poglądy oraz jego postępowanie skłoniły Reimitzów do wyznania mu, że uzyskiwane od niego informacje przeznaczone są między innymi dla wywiadu zachodnioniemieckiego. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Czuł się pewny i nie zrezygnował z roli zdrajcy. Reimitzowie oszacowali jego usługi na



około 3500 dolarów, nie licząc licznych prezentów, zaś Keler w dowód uznania wysunął wniosek, aby wypłacono mu dodatkowo 1000 dolarów.

Oswald Berg, pracownik działu zaopatrzenia i kooperacji w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, za dostarczenie lekarstw dla chorego dziecka zrewanżował się cennymi informacjami. Później już za podobne otrzymywał pieniądze — łącznie około 2000 dolarów (zmarł przed rozpoczęciem śledztwa).

Bogusław Panasiak — inżynier budownictwa okrętowego, specjalista do spraw siłowni okrętowych w COKBPO — za modny sweter dla żony i za koszulę „odwzajemnił się” Reimitzom życzliwym gadulstwem na tematy służbowe. Ci natomiast potrafili „ciągnąć go za język”, umiejętnie maskując swoje faktyczne powiązania i zainteresowania wywiadowcze. Prócz różnych prezentów około 40 razy płacili mu po 50—60 dolarów.

Przychylność niektórych pracowników Reimitzowie zyskiwali sobie w dość prosty sposób. Zlecali im różne tłumaczenia i za pracę tę wypłacali niewspółmiernie wysokie sumy w walucie polskiej i obcej. Tak „podeszli” m. in. Romanowi Krawczyka urodzonego w 1926 roku, z zawodu inżyniera elektryka, zatrudnionego na stanowisku specjalisty w COKBPO, do którego obowiązków

należało opiniowanie ofert na urządzenia elektryczne. Za ujawnienie wiadomości stanowiących tajemnicę służbową, a dotyczących zaopatrzenia polskiego przemysłu okrętowego, Krawczyk otrzymał łącznie około 600 dolarów, 7000 złotych oraz części samochodowe wartości około 5000 złotych, sprzęt turystyczny i wyposażenie do nowego domu w Oliwie. Od jego nachalności i wygórowanych żądań uwolniła ich dopiero Służba Bezpieczeństwa.

Wiele ważnych informacji oraz danych uzupełniających bądź potwierdzających wcześniej zdobyte wiadomości uzyskiwali Reimitzowie od osób przypadkowych, w stoiskach na MTP, w biurach, sklepach, na ulicy lub w pociągu. Ludzie ci nie zdawali sobie sprawy, z kim rozmawiają i komu mają służyć sprytnie wyciągane od nich informacje. Oni to później przewinęli się przed sądem w charakterze świadków.

Kres przestępczej działalności agentów wywiadu zachodnoniemieckiego i ich polskich informatorów — skorumpowanych, nieuczciwych pracowników central handlu zagranicznego i przemysłu — położyła Służba Bezpieczeństwa ściśle współdziałająca z organami kontrwywiadu Ludowej Republiki Bułgarii. Okazało się bowiem, że Paul Reimitz — również pod płaszczykiem kontaktów handlowych — uprawiał na terenie Buł-

garii analogiczną jak w Polsce działalność na rzecz wywiadu RFN. Tam też został aresztowany, osądzony i poniósł zasłużoną karę.

Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni na podstawie materiałów z śledztwa, wyjaśnień oskarżonych, zeznań kilkudziesięciu świadków i opinii biegłych szczegółowo odtworzył tę działalność i określił udział w niej poszczególnych oskarżonych. W konkluzji Sąd Marynarki Wojennej uznał:

- Urszulę Reimitz za winną popełnienia zbrodni określonej w artykule 124 § 1 kk; skazał ją na karę 10 lat pozbawienia wolności oraz orzekł konfiskatę części mienia skazańej;
- Brunona Ebingera za winnego popełnienia zbrodni określonej w artykule 124 § 1 kk; skazał go na karę 7 lat pozbawienia wolności oraz orzekł pozbawienie praw publicznych na okres 3 lat oraz konfiskatę części mienia. Sąd też uznał, iż winien jest popełnienia przestępstw określonych w artykułach: 239 § 1 kk, 49 § 1 i 45 § 1 i 2 ustawy karno-skarbowej i wymierzył mu za te przestępstwa odpowiednie kary. Łącznie Brunon Ebinger został skazany na karę 9 lat pozbawienia wolności, pozbawienie praw publicznych na 3 lata, 20 tysięcy złotych grzywny oraz konfiskatę części mienia;
- Bogusława Panasiaka za winnego popełnienia przestępstwa określonego w artykułach 239 § 1 kk i 260 § 1 kk, orzekając karę łączną



1 roku i 9 miesięcy pozbawienia wolności oraz 3 tysiące złotych grzywny;

- Romana Krawczyka za winnego popełnienia przestępstw określonych w art. 264 § 1 i 2 kk i w art. 239 § 1 kk, orzekając karę łączną 2 lata i 6 miesięcy pozbawienia wolności, pozbawienia praw publicznych na czas 1 roku i 10 tysięcy złotych grzywny.

Sąd obciążył równomiernie wszystkich oskarżonych kosztami postępowania karnego. Spośród trzynastu aresztowanych przez gdańską Służbę Bezpieczeństwa osób (pozostałe zostały skazane przez sądy w odrębnych procesach) cztery wiedziały o współpracy Reimitzów z wywiadem RFN i sprzedawały im informacje, chociaż żadna z nich nie była formalnie zwerbowana do współpracy na rzecz tego wywiadu. Dwie osoby (z przemysłu) zdawały sobie sprawę z wywiadowczego charakteru udzielanych informacji; siedem osób (z handlu zagranicznego) przekazywało im wiadomości przydatne do zawierania korzystnych transakcji bądź preferowało ich interesy. Głównym — jeśli nie jedynym — motywem działania wszystkich była chęć łatwego wzbogacenia się. Na obliczanie strat, jakich przysporzyli krajowi i swoim najbliższym współpracownikom, na rachunek sumienia czas przyszedł później.

Jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że spośród kilkudziesięciu osób uwikłanych w przestępczą działalność Reimitzów tylko jedna (Tytus J. ur.

w 1925 roku, inżynier, zastępca dyrektora stoczni im. Adolfa Warskiego), i to w dodatku już po arestowaniu, zameldowała samorzutnie o popełnieniu przestępstwa przez udzielanie informacji stanowiących tajemnicę w zamian za otrzymywane korzyści majątkowe (łącznie ok. 1000 dolarów), łatwo będzie zrozumieć skalę trudności, które musieli pokonać pracownicy gdańskiej Służby Bezpieczeństwa, aby wykryć i udokumentować cały mechanizm działania gangu — wszystkie jego sprężyny i ogniwa — i winnych postawić przed sądem. By swymi działaniami — obok karno-procesowych realizowali równoległe śmiałe przedsięwzięcia operacyjne i profilaktyczne — nie zakłócić rozwijających się korzystnych stosunków handlowych i gospodarczych z zagranicą, nie peszyć uczciwych partnerów, lecz jedynie eliminować nieuczciwych, ograniczać szkodliwe zjawiska, chronić polskie interesy gospodarcze i ludzi, którzy mogli być nieświadomie lub przez swoją naiwność i lekkomyślność wpłątani w przestępczą grę. Ci ostatni — pracownicy stoczni, fabryk, central handlu zagranicznego — przyjmowali te działania z pełnym zrozumieniem i wdzięcznością, nie odmawiali też swego w nich udziału i pomocy.

Decyzją ówczesnych władz procesowi Reimitzów nie nadawano rozgłosu w środkach masowego przekazu. Wnioski, nauki zeń płynące, znane były w stosunkowo wąskim kręgu osób i środo-

wisk. Niewielu mogło je więc przyminierać do  
niepokojących zjawisk i faktów, które w latach  
siedemdziesiątych urastały do ogromnych rozmiarów  
wywołując znane dziś i przez wszystkich głęboko  
odczuwane skutki. Funkcjonariusze Służby  
Bezpieczeństwa robili w tym czasie doprawdy  
to, co do nich należało. Świadczy o tym dobitnie  
również sprawa pana T.



## Sprawa pana T.

Na ławie oskarżonych zasiadł Kazimierz Tyrański urodzony w 1923 roku w Krakowie, wykształcenie wyższe, z zawodu ekonomista. Pracował w Centrali Eksportowo-Importowej „Minex” w Warszawie na stanowisku dyrektora naczelnego z poborami w wysokości około 15 tys. złotych miesięcznie. Współwłaściciel domu letniskowego i działki w Konstancinie, wartości 4 mln. 500 tys. złotych; mieszkania przy ul. Koszykowej, wartości około 2 mln. złotych; samochodu osobowego, wartości około 500 tys. złotych\*. Postawiony w stan oskarżenia pod zarzutami, że w latach 1969—1979, pełniąc funkcję związaną ze szczególną odpowiedzialnością w zakresie zarządzania i ochrony majątku społecznego oraz będąc upoważniony do występowania wobec zagranicznych kontrahentów jako przedstawiciel kierownictwa państwowego aparatu han-

---

\* Według wyceny urzędowej z 1979 roku.

dlu zagranicznego, działając przestępstwem ciągłym, w zamian za popieranie interesów firm zagranicznych.

- przyjął korzyści majątkowe w wysokości 710 tys. dolarów USA, a nadto korzyści w postaci innych zagranicznych środków płatniczych oraz samochodu osobowego marki BMW-320 automatic, sprzętu elektronicznego, urządzeń sanitarnych, wykładziny podłogowej i innych przedmiotów o łącznej wartości około 600 tys. złotych, podważając w ten sposób zaufanie do polskich władz handlowych;
- zagarnął na szkodę CEI „Minex” ponad 473 tys. marek RFN oraz 311,5 tys. dolarów USA, przy czym działaniem swym wyrządził wielką szkodę interesom politycznym i gospodarczym PRL;
- w latach 1976—1978 wręczył Tadeuszowi Kociniowi, zastępcy dyrektora do spraw członkowskich i mieszkaniowych Nauczycielskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie, pełniącemu funkcję związaną ze szczególną odpowiedzialnością, 6 tys. dolarów USA, torbę podróżną i zegarek elektroniczny, w zamian za załatwienie przydziału oraz zamiany mieszkania spółdzielczego dla córki;
- w latach 1975—1979, nie posiadając wymaganego zezwolenia władz dewizowych, przestępstwem ciągłym dokonał nielegalnego obrotu wartościami dewizowymi o łącznej wartości ponad 1 mln 100 tys. złotych.

Na ławie oskarżonych obok Kazimierza Tyrańskiego zasiadła jego żona Teresa Urszula, oskarżona o wręczenie osobie pełniącej funkcję publiczną korzyści majątkowej w postaci dolarów USA i złotych polskich, sprzedaż bez zezwolenia władz dewizowych zagranicznych środków płatniczych w postaci 2000 dolarów USA oraz wypłacenia rzemieślnikom zatrudnionym przy budowie własnej willi 1600 dolarów USA, oraz Sławomir Wiesław Kuczynski (karany w 1970 r. za ujawnienie tajemnicy służbowej cudzoziemcowi) oskarżony o udzielenie pomocy K. Tyrańskiemu w uzyskaniu korzyści majątkowej w wielkich rozmiarach w zamian za popieranie interesów firmy zagranicznej oraz zaciągnięcie pożyczki pieniędzy w postaci 100 tys. złotych od cudzoziemca.

Wszyscy oskarżeni odpowiadali przed sądem z aresztu. Zainteresowanie procesem było ogromne. Relacjonowała go codzienna prasa, liczne tygodniki, radio i telewizja. W społecznym odczuciu stał się on jednym z symboli oczekiwanego rozrachunku z ludźmi, którzy personifikują zło i ponoszą odpowiedzialność za kryzysową sytuację kraju. Sprawa Kazimierza Tyrańskiego zaczęła się, oczywiście, o wiele wcześniej. Wtedy, kiedy osiągnął apogeum swojej „mocarności” i zarazem przestępczej działalności, a ówczesne stosunki, sprzyjające mu układy personalne, bynajmniej nie rokowały jej szans powodzenia. Zaczęła się głównie dzięki uporowi i ofiarności pracowników Służby Bezpieczeństwa MSW.



Pracownicy pionu ochrony gospodarki narodowej Służby Bezpieczeństwa od dłuższego już czasu interesowali się Kazimierzem Tyrańskim. Powodem tego zainteresowania były liczne informacje i sygnały, wskazujące na nieprawidłowości w działaniu kierowanej przez niego centrali, przynoszące gospodarce narodowej duże straty. Informacje takie uzyskano m. in. w toku śledztwa prowadzonego w latach 1977—1978 przeciwko cudzoziemcowi, przedstawicielowi firm zachodnich, skazanemu następnie przez Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego na wieloletnią karę pozbawienia wolności za działalność szpiegowską na rzecz wywiadów czołowych państw NATO. W owym czasie jednak CEI „Minex” z uwagi na szczególnie uprzywilejowaną w państwie pozycję swego dyrektora była faktycznie poza zasięgiem nie tylko organów ścigania, ale również wszelkiej kontroli wewnątrzresortowej czy nawet NIK. Sam Tyrański korzystał ze swego immunitetu — nie dość że był nietykalny, ale i jego racje należały do niepodważalnych. Dotknięcie Tyrańskiego byłoby naruszeniem całej, spójnej na ówczesne czasy, piramidy.

Toteż potwierdzenie uzyskiwanych i gromadzonych przez pion operacyjny częściowych informacji, a tym bardziej przekształcenie ich w materiały dowodowe, było niezwykle trudne i, nie bójmy się właśnie teraz użyć tego słowa, wręcz ryzykowne. Należało bowiem mieć na względzie dużą ekspansywność, renomę i wielomilionowe in-

teresy prowadzone przez tę centralę. Jej funkcjonowanie, ze względu na dobro kraju, nie mogło być zakłócone. Najdrobniejszy błąd w sztuce operacyjnej SB mógł pociągnąć za sobą nieobliczalne straty, a w najlepszym przypadku mógł być wykorzystany przez chytrych aferzystów, zdolnych uruchomić najwyższe dźwignie państwowe i najgłośniejsze tuby propagandowe.

Raz jeszcze potwierdziła się zasada, że źródłem sukcesu w tej trudnej służbie państwowej jest ściśle współdziałanie różnych jej pionów i jednostek oraz odwaga i upor jej pracowników. Właśnie Biuro Śledcze MSW, z którym w tej sprawie konsultowali na bieżąco uzyskiwane materiały pracownicy pionu operacyjnego, prowadziło pod nadzorem Prokuratury Generalnej śledztwo w sprawie przeciwko Stanisławowi Stępniovi i innym osobom podejrzanym o nielegalny obrót wartościami dewizowymi i inne przestępstwa. Stępień osiadł przed laty w USA, skąd wracał do starego kraju wiedziony bynajmniej nie nostalgią. Bazując na sentymentach licznej Polonii, przywoził jej przeróżne „starocie”, przypominające kraj przodków. Skupował gdzie się dało — w desach, na jarmarkach, bazarach i u prywatnych zbieraczy — orderzy, odznaki wojskowe, starą broń lub obrazy, które często miały wartość muzealną, często zaś były zupełnie bezwartościowe.

W sprawie Stępnia przewijał się niejaki Kąjewski, którego żona, Bożena, kupiła od Tyrańskiego w kwietniu 1979 roku 1760 dolarów USA,

placąc po 120 zł za dolar. Tak zeznała, tak zostało zaprotokołowane. Taką oto uzyskano formalno-prawną procesową „zaczepekę” na Tyrańskiego. Cóż to jednak był za zarzut wobec tak wysoko postawionego człowieka?! W owym czasie pełnomocnika ministra handlu zagranicznego i gospodarki morskiej do spraw inwestycji importowanych (jak np. budowa wieżowca INTRACO w Warszawie), członka Komitetu Budowy Centrum Zdrowia Dziecka, członka Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, żyjącego w kordialnych stosunkach z wieloma członkami rządu, wyposażonego przez nich w atrybuty władzy, które mu nie przysługiwały (paszport dyplomatyczny, rządowy telefon, giejt wobec kontroli drogowej). Wobec człowieka, którego przez komory celne przeprowadzał osobiście sam ówczesny prezes Głównego Urzędu Cel. Eugeniusz Dostojewski, człowiek skorumpowany i uzależniony od Tyrańskiego.

Przed laty Eugeniusz Dostojewski był uczniem Tyrańskiego. Od niego uzyskał maturę. Szczególnie bliskie i zażyłe ich kontakty rozpoczęły się po objęciu przez Tyrańskiego pracy w „Minexie”. Wtedy bardzo potrzebny mu był Eugeniusz Dostojewski. Prezes Głównego Urzędu Cel. zazwyczaj czekał na Tyrańskiego na lotnisku, jak było trzeba, wyjeżdżał na punkt graniczny do Świecka, gdzie witał go kordialnie i całował z dubeltówki, a później przeprowadzał majestatycznie przez punkty kontroli. Nawet jeśli się kiedyś zdarzyło,



że nie mógł osobiście powitać „przyjaciela”, pracownicy celni nie odwazyli się go „zaczepić”. Usługi — nazwijmy to po imieniu — pan prezes świadczył niebezinteresownie. Wstyd do prawdy wyliczać — ale ten wysoki urzędnik państwowy łakomiał się na wszystko: przyjmował papierosy, koniaki i kosmetyki, ale wśród prezentów był i kolorowy telewizor grundig, i 50 tys. złotych na ślub córki z pierwszego małżeństwa, i w sumie — kilka tysięcy dolarów w formie „zapomóg”.

W tym miejscu zapewne nasuwa się pytanie: dlaczego taki Tyrański „umoczył się” w jakiejś tam przemytniczo-dewizowej sprawie, skąd się przy nim wzięła Bożena, skromna urzędniczka LOT, żona studenta z handlową głową? Wyjaśnienie tej kwestii przyniosło tamto śledztwo. Bożena jest siostrą byłej urzędniczki „Minexu”, Elżbiety Szyjko, przebywającej obecnie w Anglii. Elżbieta zaś była kochanką szefa (Tyrański kupił jej m. in. mieszkanie własnościowe w Warszawie), dobrze go знаła, wiedziała o jego ciemnych interesach, wysoko i realnie szacowała jego możliwości. Zażądała, by załatwił jej wyjazd do Anglii. I załatwił. Pojechała jako turystka, zawarła fikcyjne małżeństwo z mister Levisem (takim sobie szarakim, nie tym biznesmanem od spodni), dzięki czemu mogła osiedlić się tam na stałe i... być do dyspozycji swego pana. Tyrański kupił jej mieszkanie w Londynie i urządził komfortowo. Tam się też spotykali, bowiem dy-

rektor „Minexu” mógł wyjeżdżać służbowo, kiedy chciał i gdzie chciał. Toteż jeździł nie tylko do Anglii. Jeśli niosła go tęsknota lub zwykła próżność, mógł wybrać się do innego kraju Europy, i nie tylko. Na koszt ludowego państwa. Dziewczyna dołączała do niego, skądkolwiek wysłał po nią depeszę. Pisał do niej listy, zapewniając o „dozgonnej miłości i niewzruszonej wierności”, obsypywał drogimi prezentami, obiecywał małżeństwo. Bożenę wykorzystywał jako pośredniczkę. Co nieco więc to dziewczę o nim wiedziało. Czy można się więc dziwić, że kiedy nadarzyła się jej okazja korzystnego interesu, do niego zwróciła się z prośbą o dolary? Dostała, ile potrzebowała, i dziwić się tylko można, że tym razem je wycenił i wziął należność w złotychkach, nie zdobywając się na „drobny” doprawdy jak na jego praktyki gest.

Wzbogaciła więc ta „zaczepka” wcześniejsze informacje o Tyrańskim i uwiarygodniła krążące w centrali opinie o rozrzutnym i łajdackim trybie życia szefa! Idąc „za ciosem” ujawniono nowo zbudowaną i z dużym przepychem wyposażoną, podobnie zresztą jak warszawskie mieszkanie, willę w Konstancinie, potwierdzono częste wyjazdy z żoną za granicę, gdzie ubierała się w luksusowych salonach, spędzanie przez nich corocznie urlopów w najbardziej egzotycznych miejscowościach na kuli ziemskiej, posiadanie zagranicznego samochodu. Przechwytywano przeróżne plotki o niezwykle machinacjach i nad-

użyciach, o zagranicznych kontaktach bankowych. Jak je jednak potwierdzić? Ci, którzy go znali, którzy mogliby w tym pomóc, nie wierzyli w możliwość zdemaskowania Tyrańskiego. Ludzie zwyczajnie chcą spokojnie żyć i pracować, wolą niczego nie widzieć, nie słyszeć. Pozostała więc zagranica: banki, firmy, wspólnicy, pośrednicy. Ba, tylko jak do nich dotrzeć, aby ich nie „spłoszyć”, nie doprowadzić do zatarcia śladów?

Analizując zebrany materiał kierownictwo wydziału Biura Śledczego, który prowadził sprawę przeciwko Stępniovi, nabrało przeświadczenia, że jest na tropie wielkiej afery. W związku z tym z grupy inspektorów pracujących w sprawie Stępnia wydzielono jednego i polecono mu, aby zajął się wyłącznie Tyrańskim. I on to, potem już wspólnie z kolegami, doprowadził całą trójkę na ławę oskarżonych, by, o ironio!, bronić jej podczas procesu przed zniewagami publiczności i stać się najbardziej popularną, wśród dziennikarzy śledzących ten proces, osobą.

W końcu po licznych konsultacjach i długich przemysleniach zapadła decyzja o postawieniu Kazimierzowi Tyrańskiemu zarzutu o dokonanie nielegalnej transakcji dewizowej, tj. o przestępstwo przewidziane w art. 47 §. 1 uks. Wychodząco z założenia, że fakt aresztowania Bożeny i Zdzisława Kajewskich jest Tyrańskiemu znany i w przewidywaniu obciążających go zeznań może on zatrzeć dowody swej przestępczej działalności. Biorąc pod uwagę szereg uwarunkowań, usta-



lono odpowiednią taktykę postępowania Zarzut przedstawiono mu w ramach sprawy przeciwko Stępniovi i innym, nie prowadzono bowiem jeszcze przeciwko niemu wyodrębnionej sprawy. Pominęto tym samym nie potwierdzone dowodowo zarzuty.

— Wysłałem wezwanie pocztą na osiemnastego maja — mówi ówczesny starszy inspektor Biura Śledczego MSW, ppłk mgr Stanisław Trafalski. — O określonej w wezwaniu godzinie za-telefonował z biura przepustek. Przyjechał nowym służbowym mercedesem. Łącznik wprowadził go do mnie. Elegancko ubrany, z walizeczką z cyfrowym zamkiem (wiedziałem, że jest to prezent od cudzoziemca), pewny siebie, choć ugrzeczniony. Spojrzał znacząco na swój złoty zegarek, wyjął paczkę marlboro...

Wyobraziłem sobie, słuchając tej suchej relacji, tych dwóch ludzi naprzeciwko siebie. Jeden — skromny człowiek, rzecznik interesów kraju, interesów nas wszystkich, drugi — napuszony i bezkarny przestępca. Pierwszy — lokator typowego M-4 wyłożonego lenteksem, w garniturze z Domów Centrum, dojeżdżający do pracy zatłoczonym autobusem, drugi — z białego mercedesa i luksusowego BMW, ubierany przez krawców Londynu i Wiednia, z pełnej przepychu willi, z oczekującymi czujnie przy telefonach rządowych przyjaciółmi, gotowymi na jego hasło wszcząć burzę, „zgnoić chama” — jak odgrażał się jeden z nich... Jak nierówne były to siły.

A jednak na szali przeważała prawda i sprawiedliwość.

— Po odczytaniu artykułu sto sześćdziesiątego szóstego kpk, „świadek może uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić na odpowiedzialność karną tego świadka lub osobę jemu najbliższą”, i pouczeniu o prawie wynikającym z jego treści, poinformowałem go, że dysponujemy materiałem stwierdzającym, iż wtedy a wtedy, takiej a takiej, sprzedał tyle a tyle dolarów. Spytałem, czy to potwierdza. Nie skorzystał z przysługującego mu prawa, nawet nie drgnęła mu powieka. Z kamiennym spokojem i wyszukaną uprzejmością potwierdził fakt „pożyczenia” Bożenie Kajewskiej tysiąca dolarów „pod zastaw” w wysokości stu tysięcy złotych. Przyszedł już z tą klarowną odpowiedzią, czy dopiero tutaj ją obmyślił? Na pytanie, skąd miał te dolary, twierdził tym samym pewnym i spokojnym tonem, że otrzymał je w spadku po matce, która dostała je od rodziny żydowskiej, zamieszkałej za granicą, tytułem wdzięczności za uratowanie w czasie wojny żydowskiego dziecka. Nie byłem tym zaskoczony; taką legendę Tyrański głosił od lat, ilekroć jego znajomi wybałuszali oczy, widząc, jak szasta dolarami. Zamykał w ten sposób ludziom usta. Tylko że tej legendy myśmy nie potwierdzili. Na tym przesłuchanie się zakończyło. Była to obustronna próba nerwów. Ja starałem się poznać przeciwnika, on, prawdopodobnie, poznać fakty-

czną przyczynę tej konfrontacji. Miałem świadomość, że kłamie, ale z innymi zarzutami nie wychodziłem, żeby na razie nie utrudnić śledztwa. Materiały procesowe, jakimi wtedy dysponowałem, były za słabe, aby wnioskować o zastosowanie wobec niego tymczasowego aresztowania. One były za słabe nawet do tego, żeby móc przeprowadzić, zgodnie z obowiązującymi zasadami i zwyczajem, w miejscu jego pracy i zamieszkania przeszukanie. I to się później srodze na nas zemściło — dodaje z goryczą podpułkownik i wraca do relacji. — Na zakończenie, nie ustosunkowując się do tego, co powiedział, podałem mu numer telefonu służbowego, prosząc, by w razie przypomnienia sobie, że czegoś nie ujawnił, lub chęci złożenia dodatkowych zeznań, mógł się ze mną skontaktować. Obiecał.

Przypomni mi się Fiodor Dostojewski i jego sędzia śledczy Porfiry Pietrowicz w psychologicznym pojedynku z Raskolnikowem. I może dlatego nie pytałem już później mego rozmówcy o sposób rozliczenia wielu przewijających się w tej sprawie osób, koncentrując uwagę na jej głównym wątku.

— Po tym przesłuchaniu Tyrański został skierowany do poczekalni — kontynuował podpułkownik. — Nie protestował, nie zastrzał się pilnymi obowiązkami państwowymi, nie sięgał do telefonu i nie odgrażał się swoimi protektorami. Przyjął „wyrozumiałą” postawę. Myślę, że w tym momencie po raz pierwszy poczuł się niepewnie.



Na podstawie posiadanego materiału dowodowego oraz wyników zrelacjonowanego wyżej przesłuchania prokurator Prokuratury Generalnej przedstawił mu zarzut z artykułu czterdziestego siódmego ustawy karno skarbowej. Celem tego posunięcia było „spłoszenie” i neutralizacja jego licznych przyjaciół, mogących utrudniać dalsze postępowanie. Cel ten w znacznej mierze został osiągnięty. Tyrański powtórzył dokładnie wcześniejsze wyjaśnienia prokuratorowi, po czym został zwolniony i pojechał do swojego biura. Jak później stwierdzono, jego pierwszą czynnością było porządkowanie sejfu i usuwanie dowodów przestępczej działalności. Szkoda, że nas przy tym nie było... Tymczasem w ramach sprawy przeciwko Stępniewi zbierano i analizowano dalsze materiały, szukając takich, które umożliwiłyby zastosowanie wobec Tyrańskiego aresztu tymczasowego. Tylko wówczas bowiem można by było prowadzić przeciwko niemu śledztwo w prawidłowych warunkach i obiektywnie. Wtedy właśnie uzyskano informację, że Tyrański wypłaca zatrudnionym przy budowie willi w Konstancynie\* rzemieślnikom należności za pracę w dolarach oraz że przyjmuje od przedstawicieli „Minexu” zatrudnionych w spółkach zagranicznych korzyści majątkowe w postaci glazury, sanitaria-

---

\* Jako członek Komitetu Budowy Centrum Zdrowia Dziecka, jedynie za symboliczną opłatą, otrzymał od byłego ministra, szefa urzędu Rady Ministrów, J. Wierczyński atrakcyjną załozioną działkę.

tów oraz innego wyposażenia. Owych przedstawicieli traktował zresztą jak swoich „fajfusów” i domagał się od nich przeróżnych świadczeń w zamian za ustawienie ich na dobrych posadach. Wtedy też wpłynęła informacja, że przekazuje kochance do Londynu średnio po dwa tysiące dolarów miesięcznie. Tej ostatniej informacji ze względu na wykrętne zeznania świadków nie zdołano potwierdzić, ale przyjmowanie korzyści potwierdzono w znacznej części. Najkorzystniejsze rezultaty uzyskano w wyniku realizacji wątku „willa”. Przysłuchani w charakterze świadków, a następnie podejrzanych, zatrudnieni tam rzemieślnicy, a także wybitny warszawski architekt nadzorujący budowę, potwierdzili fakt wypłacenia im przez Tyrańskiego i jego żonę różnych kwot w dolarach jako „zachęty” do staranniejszej pracy, bo wynagrodzenie otrzymali wedle umowy w złotych. W przypadku owego architekta ustalono, że otrzymał on ponadto z zagranicy od jednej z firm dwieście i trzysta dolarów USA na konto w Banku Handlowym. Jednak wciąż mieliśmy jedynie pogłębioną „dewizówkę” — wzdycha inspektor Trafalski. — Do tego, co się za nią kryło, było jeszcze daleko. Przysłuchaliśmy niektórych bliskich współpracowników Tyrańskiego, zatrudnionych w spółkach zagranicznych. Zeznali, że w zamian za korzyści materialne preferował pewne firmy, co pozwala przypuszczać, że może mieć ulokowane w bankach zagranicznych znaczne kwoty. To nie był jeszcze

dowód, to było tylko przypuszczenie. Ale potwierdziło ono wcześniejsze rozeznanie operacyjne, utwierdzało nas w przekonaniu, że idziemy prawidłowym tropem.

Co się w tym czasie dzieje na drugim froncie?

Z dniem 3 lipca 1979 roku, w wyniku informacji przekazanych przez MSW, Tyrański zostaje zwolniony ze stanowiska i — zawiedziony w swoich nadziejach, rozżalony na wciąż jeszcze mocnych przyjaciół — zaczyna chorować. Chodziło mu po prostu o zniknięcie z pola widzenia, „przeczekanie gradobicia”. Tak doradzali mu ci, którzy nie mogli mu inaczej pomóc — może nie dlatego, że nie byli już władni, ale dlatego, że nie chcieli się angażować w obawie o własne stolki.

— Poprzez chorobę unikniesz aresztowania, sprawę wyciszymy, a potem przerzucimy cię za granicę — obiecywali.

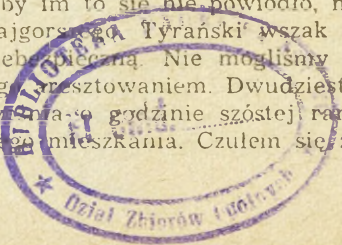
Do szerokiego grona możliwych protektorów i przyjaciół Tyrańskiego należał sam ówczesny minister handlu zagranicznego Jerzy Olszewski. Ponieważ nie ma go już wśród żyjących, nie wypada rozwijać szerzej tematu ich wzajemnych stosunków i konszachtów, mimo iż kosztowały kraj tak wiele. Gwoli obiektywizmu godzi się tylko stwierdzić, że Jerzy Olszewski w pewnym okresie zaczął krytycznie oceniać tę zażyłość z Tyrańskim i bojąc się dalszego uzależniania od niego oraz przykrych konsekwencji dla siebie chciał go odsunąć, stracić z oczu. Proponował mu — i nalegał, żeby przyjął — intratne stano-



wiska w naszych przedstawicielstwach handlowych za granicą lub w służbie dyplomatycznej. Tyrański — jak wiadomo — umiał liczyć i propozycje te zdecydowanie odrzucał.

Na jakieś sześć tygodni Tyrański przepadł. Znalezione go we wrześniu w szpitalu budowlanych w Warszawie, gdzie jako protegowany ówczesnego ministra tego resortu, Adama Głazura, kolejnego możnego przyjaciela i protektora, korzystał ze szczególnych przywilejów. Samodzielny pokój z telewizorem i telefonem, baterie najprzedniejszych alkoholi... Przyjmował tam co odważniejszych przyjaciół, a także przedstawicieli firm zagranicznych, przynoszących jak zwykle cenne souveniry. Odwiedzała go tam żona oraz kochanki. Daleki był od monotonii i udręki szpitalnego życia... Na spotkanie ze Szwedami mógł swobodnie opuścić szpital i długo z nimi debatować na neutralnym gruncie.

— Uzyskujemy informacje, że Tyrański ma opuścić szpital dwudziestego dziewiątego września — wracam do relacji podpułkownika Trafalskiego — a jego przyjaciele zamierzają przerzucić go za granicę. Wiadomo, że nie z czystej przyjaźni, ale dla usunięcia dowodów przeciwko sobie. Gdyby im to się nie powiodło, należało oczekiwać najgorszego. Tyrański wszak był dla nich osobą niebezpieczną. Nie mogliśmy dłużej zwlekać z jego aresztowaniem. Dwudziestego dziewiątego września o godzinie szóstej rano zapukaliśmy do jego mieszkania. Czulem się zmęczony, do



późna w nocy pracowałem, psychicznie nie byłem przygotowany do realizacji tej sprawy... Spodziewaliśmy się zastać w mieszkaniu tylko jego żonę, dlatego też w naszej ekipie znalazła się kobieta-inspektor. Dzwonimy raz, drugi, dziesiąty, nikt nie odpowiada. Telefonujemy, nikt nie podnosi słuchawki. A z naszego rozeznania wynika, że Tyrańska powinna być w domu. Czekamy tak pod drzwiami godzinę, dwie. Około dziesiątej postanowiliśmy się rozdzielić: część ekipy została przed mieszkaniem, a część udała się samochodem do szpitala. Lekarz dyżurny na oddziale potwierdza, że Tyrański tego dnia opuszcza szpital. Wskazuje nam jego pokój. Wchodzimy, pusty. Nikt z personelu nie potrafi powiedzieć, gdzie jest pacjent. Czyżbyśmy się spóźnili, czyżby odkrył nasze zamiary? Ale widzimy jego rzeczy, więc chyba przyjdzie. Po jakimś czasie dostrzegam go przy dyżurce pielęgniarek. Jest ubrany w garnitur wyjściowy. Podchodzę do niego. Dzień dobry, panie Tyrański, czy pan mnie poznaje, pytam. Spogląda na mnie zdziwiony i opuszcza głowę. Tak, poznaję pana, pułkowniku, odpowiada. Zapytałem, czy jego strój świadczy o tym, że opuszcza szpital. Potwierdził. Dobrze się składa, mówię, bo właśnie chciałem z panem porozmawiać. Tylko nie dzisiaj, zaoponował. Dzisiaj będę bardzo zajęty. Ale jutro jest niedziela, odpowiadam spokojnie. Poza tym wybiera się pan przecież do sanatorium. Na razie mogę wyjazd odłożyć, zapewnia.

Pułkownik uśmiecha się blado odtwarzając tę rozmowę.

— Tak jakiś czas prawiliśmy sobie uprzejmości z wzajemną „szczerością” — ciągnie dalej. — Aż wreszcie zażądałem stanowczo, aby zabrał swoje rzeczy i udał się z nami Ostro zaprotestował. Wtedy mój kolega nie wytrzymał i spytał przez zaciśnięte zęby, czy mamy go zakuć w kajdanki i wyprowadzić ze szpitala. Na taki argument posłusznie wyszedł z nami do samochodu. Aby uniknąć zarzutu, że zabraliśmy go ze szpitala siłą, przerywając leczenie, poprosiliśmy o zaświadczenie, że tego dnia zakończył kurację i może być przesłuchiwany. Podczas pobieżnego przeszukania pokoju, w którym przebywał, znaleziono różne przedmioty pochodzenia zagranicznego, zegarki, zapalniczki, perfumy, koniaki. Były przeznaczone, jak wyjaśnił, na prezenty dla personelu szpitala. Został wyprowadzony, dla uniknięcia sensacji, bocznymi schodami. Wysiedliśmy na Koszykowej. Własnymi kluczami otworzył wszystkie zamki. Okazało się, że drzwi od wewnątrz zamknięte są jeszcze na łańcuch. Tereniu, otwórz, zawołał. Kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu. Tyrańska nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie reagowała na nasze pukanie i dzwonienie. Poprosił ją, by mu podała coś do picia. Postawiła przed nim butelkę coca-coli i kryształową szklankę.

Z dalszej relacji inspektora wynikało, że przeszukiwanie mieszkania trwało do późnego wieczora.



Tyrański w tym czasie składał wyjaśnienia na Rakowieckiej. Tego samego dnia prokurator wydał postanowienie o uzupełnieniu zarzutów o to, że:

- 1) jako dyrektor naczelny „Minexu” przyjął od przedstawicieli firm zachodnich korzyści majątkowe w wielkich rozmiarach;
- 2) bez zezwolenia właściwych władz dokonywał transakcji kupna — sprzedaży wartości dewizowych, przy czym z nielegalnego obrotu dewizowego uczynił sobie stałe źródło dochodu.

Po wysłuchaniu tych zarzutów Tyrański wyjaśnił prokuratorowi, że wiosną 1978 roku przyjął od przedstawiciela firmy zachodnioniemieckiej telewizor kolorowy marki Grundig, w 1975 lub 1976 roku od prezesa firmy szwedzkiej odbiornik radiowy z kolumnami, w 1977 roku od Sławomira Kuczyńskiego samochód BMW. Przyznał się zatem do drobiazgów, które, jak podejrzewał, były już znane organom ścigania. Ale to wystarczyło, łącznie z poprzednim zarzutem, do zastosowania środka zapobiegawczego w postaci tymczasowego aresztowania.

Przez następne dwa tygodnie przesłuchiwany nie przyznał się do niczego więcej. Telewizja Polska (z ówczesnym kierownictwem Komitetu ds. Radia i Telewizji łączyły go koleżeńskie stosunki, a z Jerzym Hańbowskim w dodatku rozliczne brudne interesy) nadawała w tym czasie audycje, wychwalające jego współników zagranicznych, wznagał się ferment wśród możliwych przy-

jaciół i próby presji na organy ścigania. A Tyrański grał na zwłokę, aby dać szansę swym prokuratorom. Aż nadszedł 12 października, dzień przełomu w śledztwie.

— W latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt sześć, siedemdziesiąt osiem tytułem prowizji przyjąłem od Heinza K., dyrektora Spółki „Interminex” w Wiedniu, kwotę czterystu tysięcy dolarów USA. Pieniądze te Heinz ulokował w banku w Zurichu. Na moim koncie ulokowane są dolary oraz złoto, nie pamiętam tylko, w jakich proporcjach... Prowizję otrzymałem z tytułu dochodów Heinza K. za cement. W tym samym okresie od Holgera H. otrzymałem tytułem prowizji pięćset tysięcy dolarów. Pieniądze te są ulokowane na moim koncie w banku szwedzkim w Sztokholmie. Holger H. płacił mi prowizję za wprowadzenie go na rynek polski oraz za ułatwianie mu wygrywania w Polsce - przetargów... Szkoda, że nie skorzystałem z pana telefonu — powiedział nagle, odwracając się w kierunku pracownika Biura Śledczego — byłbym teraz w lepszej sytuacji.

— Pierwsza nasza reakcja — snuje dalej relację ppłk Trafalski — to rezerwa i powściągliwość. Wyjaśnienie podejrzanego nadało śledztwu nie spotykany rozmiar i implikowało podjęcie stosownych działań w celu potwierdzenia złożonych wyjaśnień. Nasze działania szły odtąd w następujących kierunkach: odzyskania zgromadzonych na kontach banków zagranicznych kwot (co mia-

ło podwójne znaczenie: dowodowe i wzbogacenie Skarbu Państwa), ujawnienia mechanizmu, który umożliwił przechwytywanie i gromadzenie tak wysokich kwot, a także ustalenie ewentualnych dalszych nadużyć i nie ujawnionych kont bankowych. Kierunki te okazały się prawidłowe. Już w krótkim czasie udało się bowiem ściągnąć ze Szwajcarii owe czterysta tysięcy dolarów. Wkrótce też ustalono nowe konto Tyrańskiego, tym razem w Berlinie Zachodnim, na którym zgromadził dwieście trzydzieści trzy tysiące dolarów i sto siedemdziesiąt sześć tysięcy marek zachodniemieckich. Pieniądze te zostały również sprowadzone do kraju. Niezależnie od tego ustalono, które firmy eksportujące do Polski towary przeznaczyły dla Tyrańskiego znaczne, nie wypłacone mu jeszcze, prowizje i czekały tylko na określone hasło. I te pieniądze odzyskano. W sumie do Skarbu Państwa wpłynęło z tego tytułu ponad milion sto tysięcy dolarów USA. Gdybyśmy — powraca podpułkownik do początku naszej rozmowy — mogli w maju dokonać u niego przeszukania, te same wyniki osiągnęlibyśmy znacznie wcześniej. Tyrański prowadził bowiem szczegółową buchalterię swoich machinacji, miał w sejfie przed „remanentem” dokonanym po pierwszym przesłuchaniu dokumenty, zapiski, wykaz kont i określenie ich stanu, miał wiele tysięcy dolarów i innej waluty w gotówce. Ileż byśmy wówczas zaoszczędzili sobie roboty, a państwu przysporzyli dodatkowych



kwot. Sam Tyrański przyznał się bowiem tylko do tego, o czym wiedzieliśmy i co mu wytknęliśmy.

Spróbujmy go teraz krótko przedstawić. W czasie okupacji pracował na kolei. Po wojnie ukończył szkołę oficerską, trzy lata służył w wojsku. Tu nie widział jednak szans zaspokojenia swych ambicji, przeszedł więc do cywila. Najpierw pracował w Fabryce Obuwia w Radomiu, potem w Kielcach, aby w kilka lat później wylądować w Warszawie na dyrektorskim stanowisku w budownictwie. Po 1956 roku został dyrektorem technikum budowlanego na Górnośląskiej, gdzie zorganizował studia wieczorowe. Wydawał matury niektórym późniejszym prominentom, już wówczas osobom znaczącym. Znajomości, przyjaźnie, zobowiązania... I różne skandaliki. Swego czasu głośny był skandal związany z nakryciem go w sytuacji niedwuznacznej z jedną ze współpracownic przez jej męża. Skończyło się na zrzućeniu amanta ze schodów i mocnym poturbowaniu. Dość długo leczył się później w szpitalu. Dla odzyskania równowagi życiowej ożenił się wkrótce z obecną żoną Teresą, wówczas jego uczennicą, która zawarła uprzednio związek małżeński per procura z obywatelem polskim zamieszkałym w Kanadzie. Potem awansował na stanowisko dyrektora Zjednoczenia Budowlanego w Olsztynie i zniknął z Warszawy. W 1964 roku powrócił triumfalnie do stolicy. Od razu na stanowisko jednego z dyrektorów „Minexu”. Po kilku mie-

siącach — mimo że nie miał żadnego przygotowania ani pojęcia o handlu zagranicznym oraz nie znał języków obcych — został dyrektorem naczelnym tej centrali.

Sterowali nim wszytkomogący przyjaciele i oni budowali mu autorytet. Szybko stał się despotą, manifestującym swe znajomości. Otaczał się miernotami. Tolerował brak odpowiedzialności, głupotę, pijaństwo. Kiedyś jeden z jego dyrektorów, będący służbowo w Wiedniu, został znaleziony na ulicy w stanie kompletnego zamroczenia alkoholowego. Tyrański nie tylko wyciszył skandal, ale z funduszu centrali polecił pokryć wszelkie, nie takie znów bagatelne koszty pijackich orgii swego podwładnego. Nie zdarzyło się, aby Tyrański nie mógł przeforsować którejkolwiek ze swych decyzji czy dyspozycji personalnych lub handlowych.

CEI „Minex” zajmowała się eksportem materiałów budowlanych, szkła, ceramiki i materiałów ogniotrwałych oraz importem surowców mineralnych, materiałów budowlanych i ogniotrwałych. Jej działalność handlowa obejmowała wiele krajów Europy, obu Ameryk, Afryki i Australię, gdzie znajdowały się jej delegatury lub agencji. Zgodnie z programem aktywizacji handlu zagranicznego centrala utworzyła cztery spółki: „Interminex” w Austrii i „Limex” w RFN (kapitał mieszany) oraz „Prominex” w USA i „Glaspol” w Australii z kapitałem polskim. O rozmiarach działalności handlowej „Minexu” świadczą

następujące dane, dotyczące tylko roku 1979: wyeksportowano 2 mln ton cementu wartości 177 mln. złotych dewizowych, sprowadzono do Polski 320 ton magnezytu wartości 216 mln. złotych dewizowych, 85 tysięcy ton azbestu wartości 120 mln. złotych dewizowych, kaolinu za 40 mln. złotych dewizowych, glin ogniotrwałych, talku, grafitu i innych minerałów za blisko 60 mln. złotych dewizowych.

Tyrański otrzymał szerokie uprawnienia. Miał wpływ na określanie wysokości cen na towary sprzedawane zagranicznym odbiorcom, decydował o kierunkach eksportu, wybierał według uznania dostawców towarów importowanych do Polski. Wagę stanowiska podnosiła jego dodatkowa funkcja pełnomocnika ministra, upoważnionego do wpływania na sprawy związane z realizacją poważnych inwestycji prowadzonych przez handel zagraniczny przy udziale zachodnioeuropejskich firm budowlanych. Stanowisko to wykorzystywał do prowadzenia szeroko zakrojonej działalności przestępczej, mającej na celu zdobycie prywatnych zysków. Po skorumpowaniu go przez zagranicznych kontrahentów przy zawieranych transakcjach eksportowo-importowych kierował się często interesem obcych firm, a nie interesami naszego kraju. Przyjmowane przez niego łapówki w wielu sytuacjach były rekompensatą za podjęte przez niego niekorzystne dla strony polskiej decyzje.

Początek jego przestępczej działalności był



skromny. Drobnymi krokami zmierzał nad kra-  
wędz przepasci. Zaczęło się od uwłaczającego  
ludzkiej godności „dziadowania”, przyjmowania  
zagranicznych artykułów spożywczych i drobnych  
upominków, pokrywania kosztów jego pobytu słu-  
żbowego oraz urlopów, wypożyczania samochodu  
na podróże po Europie i przyjmowania bonów na  
benzynę. Przez kilkudolarowe łapówki — do mi-  
lionów.

Jednym z pierwszych zagranicznych handlow-  
ców, z którym Tyrański nawiązał przestępcze kon-  
takty, był wspomniany Heinz K., wówczas  
(w 1968 roku) skromny austriacki kupiec spro-  
wadzający z Polski szkło i porcelanę. Dzięki  
preferencjom i różnym zabiegom Tyrańskiego stał  
się on w późniejszych latach monopolistą w han-  
dlu z Polską. W 1974 roku zapewnił Tyrańskiego,  
że będzie mu wypłacał prowizje, sięgające jednej  
czwartej jego zysków.

Utworzenie w 1975 roku spółki „Interminex” —  
51 procent kapitałów Heinza — pozwoliło Ty-  
rańskiemu niemal otwarcie popierać jego inte-  
resy. Między innymi kierował do niego jedną  
trzecią eksportowanego z Polski cementu (na  
każdej tonie zarabiał 1—2 dolary), uczynił go  
monopolistą na reeksport tego artykułu do państw  
arabskich, głównym pośrednikiem handlu z Pol-  
ską, udzielał korzystnych kredytów. Według wy-  
liczenia dokonanego jesienią 1978 roku, prócz  
kwoty 400 tysięcy dolarów przekazanych na kon-  
to Tyrańskiego, Heinz K. poniósł na jego rzecz

wydatki w wysokości 60 tysięcy dolarów (z czego 8 tysięcy 500 dolarów Tyrański zużył „na drobne wydatki”, a około 18 tysięcy 500 przekazał do Londynu swojej kochance).

W 1967 roku Tyrański poznał handlowca szwedzkiego, Holgera H., właściciela małej firmy importującej z Polski cegłę i dachówkę, który popadł w kłopoty finansowe i ogłosił upadłość. Dzięki poparciu Tyrańskiego, mimo poważnego zadłużenia w „Minexie”, Holger podźwignął się finansowo, uruchomił spółkę, później podjął pracę w zachodnim koncernie, który skierował go do Warszawy, gdzie znów przy pomocy Tyrańskiego uzyskiwał korzystne kontrakty na prowadzenie inwestycji budowlanych w Polsce. W 1977 roku Tyrański przyjął od tego koncernu i ulokował na swoim koncie bankowym 500 tysięcy dolarów USA. Holger H. zaczął korumpowanie dyrektora od drobnych sum i prezentów. Później dał mu 1000 dolarów, innym razem 1000 franków, wyposażył jego mieszkanie w Warszawie i willę w Konstancinie, kupił i umeblował (za 13 tysięcy funtów szterlingów) mieszkanie w Londynie dla jego kochanki, pokrywał kosztą jej przyjazdów do Szwecji...

Nie mniej groźną i szkodliwą formą przestępczej działalności Tyrańskiego było systematyczne i wieloletnie zagarnianie zagranicznych środków płatniczych, które winny wpłynąć na konto CEI „Minex”. Te mactwa były dość proste, polegały na stosowaniu opustów cenowych, bonifikat

towarowych i bonusów. Lista zagranicznych wspólników Tyrańskiego jest długa i długie jest jego złodziejskie konto.

Jak ustalono, nosił się on z zamiarem opuszczenia Polski na stałe i założenia własnej firmy gdzieś na Zachodzie. Z tą myślą pomnażał swoje konta, dążąc do realizacji tego planu nie przyjął propozycji objęcia stanowiska szefa biura radcy handlowego PRL za granicą, zrezygnował też z kariery dyplomatycznej. Był drapieżny i zachłanny, pewny siebie i pewny swej bezkarności. Po odwołaniu ze stanowiska w lipcu 1979 roku, myśląc o wyjeździe za granicę (jeszcze wtedy wydał dyspozycję przesłania kochance kolejnej sumy dolarów), podjął starania o... rentę inwalidzką.

W chwili aresztowania Tyrańskiego powołano grupę śledczą, która ściśle współdziałała z analogiczną ekipą pracowników operacyjnych MSW oraz funkcjonariuszami jednostek pomocniczych. We wszystkich czynnościach śledczych, a zwłaszcza w przesłuchaniach, brali bezpośredni udział prokuratorzy Prokuratury Generalnej PRL, Zdzisław Pryba i Kazimierz Radomski, z którymi na bieżąco konsultowano kierunki śledztwa.

Realizacja tej sprawy to wspólna zasługa wymienionych ludzi. Dokonali tego w ciągu zaledwie kilku miesięcy! Odzyskano dla kraju ogromne sumy! Stało się to możliwe dzięki obraniu właściwych kierunków śledztwa i właściwych form jego prowadzenia. Dzięki żelaznej dyscypli-



nie wykonawstwa zaplanowanych czynności i dzięki wielkiej ofiarności

Z ustaleń śledztwa oraz wyjaśnień podejrzanego sporządzano na bieżąco informacje, ujawniające nieprawidłowości w handlu zagranicznym i gospodarce, piętnujące ludzi skorumpowanych, i przekazywano je kierownictwu państwowemu i politycznemu. W wyniku tego wiele osób było odwoływanych ze stanowisk. Ze względu na ekonomikę procesową ze sprawy Tyrańskiego wyłączono do odrębnego postępowania wiele osób, które popełniły różne przestępstwa.

## Spieg za bulajem

W czerwcu 1973 roku kontrwywiad uzyskał informację, iż na jeden ze statków handlowych zachodniej bandery, regularnie zawijający do portów polskich, zamustrowany został agent wywiadu RFN. W dwa miesiące później funkcjonariusze szczecińskiej Służby Bezpieczeństwa wkroczyli na pokład stojącego na redzie i załadowanego m/s „Rika”, należącego do armatora zachodnioniemieckiego.

W akcie oskarżenia, sporządzonym już 14 listopada 1973 roku, prokurator Wojskowej Prokuratury Garnizonowej w Szczecinie oskarżał Johannesa Wenzla, urodzonego w 1934 roku w Berlinie, narodowości niemieckiej, obywatela RFN, zamieszkałego w Lubece, z zawodu marynarza, o to, że w okresie od maja do sierpnia 1973 roku na terenie Szczecina, Świnoujścia i Kołobrzegu, jak również poza granicami Polski, jako współpracownik służby wywiadowczej RFN zbie-

rał wiadomości dotyczące obronności i gospodarki PRL.

Rozprawę śledziło kilku dziennikarzy prasy krajowej. Fragmenty utrzymywała ekipa telewizji. Identyfikacja agenta, ujawnianie i dokumentowanie jego szpiegowskiej działalności odbywało się wcześniej, w cichych pomieszczeniach kontrwywiadu.

Zdemaskowany agent nie dowierzał, że to już koniec jego ledwo zaczętej szpiegowskiej kariery, tak skrupulatnie przecież przygotowywanej i chytrze przez jego mocodawców obmyślanej. Szukał błędu w obliczeniach, pomyłki w działaniu... Nie dojdzie do przyczyn swej wpadki, choć teraz już tylko to go absorbuje. Zostanie to tajemnicą ludzi niewidzialnych w tłumie.

Służba wywiadowcza RFN — Bundesnachrichtendienst (BND) — od początku jej powołania prowadzi wrogą działalność przeciwko Polsce i innym państwom socjalistycznym. Szczególne nasilenie działalności BND miało miejsce w okresie rządów chadecji i utrzymywania przez nią zimnowojennego, rewizjonistycznego kursu. Od tamtego okresu upłynęło wiele lat, zmieniły się stosunki w Europie i ogólny klimat na świecie. Tymczasem BND nadal reprezentuje tamten przeżyty nurt, skupia siły, od których świat zdecydowanie się odwrócił.

Placówki BND zlokalizowane w północnych rejonach RFN specjalizują się od dawna w zbieraniu informacji o polskim wybrzeżu. To stamtąd —



z portów RFN — byli wysłani ze szpiegowskimi zadaniami do Polski piloci bałtyccy — Ahrlichs (as hitlerowskiej Abwehry) i Gribel, marynarze — bracia Marthowie, Albrecht i wielu innych ujętych przez polską Służbę Bezpieczeństwa. Tam też działają liczni naganiacze wrogich Polsce wywiadów, usiłujący zbierać informacje oraz werbować do współpracy polskich marynarzy.

Zainteresowania BND naszym wybrzeżem obejmują zarówno sprawy jego ochrony, jak i zagadnienia gospodarcze i społeczne. W związku z tym, werbuje ona ludzi, którzy mają możliwości częstego legalnego przebywania w naszych portach i realizowania zadań szpiegowskich. Takie możliwości miał właśnie Johannes Wenzel — od 1952 roku marynarz. Najpierw zainteresowała się nim brytyjska Secret Service.

Wenzel mieszkał w NRD i był obywatelem tego kraju. Tam ukończył szkołę podstawową, następnie uczył się zawodu formiarza w odlewni w Lipsku, potem był uczniem górniczym w kombinacie w Bohlen. W 1951 roku przekroczył nielegalnie granicę, przeszedł do Berlina Zachodniego i odmówił powrotu do kraju. Zamiast u matki, która mieszkała tam od zakończenia wojny i od dawna nakłaniała go do tego kroku, znalazł się jednak w obozie dla uchoźców. Jak zwykle w takich wypadkach, poddano go długim przesłuchaniom i badaniom, prowadzonym przez pracowników policji zachodnioniemieckiej i wywiadu brytyjskiego. Po pewnym czasie otrzymał zezwo-

lenie na pobyt w Berlinie Zachodnim i zamieszkał u matki. Następnie wyjechał do wujka w Lubece, z zawodu marynarza, który mu pomógł dostać się na statek bandery RFN w charakterze chłopca okrętowego. Potem pływał na kutrze rybackim. Po roku, gdy już zaczął pomagać matce, otrzymał wezwanie do placówki Secret Service, mieszczącej się wówczas w drewnianym baraku przy nabrzeżu zwanym Waskenitz Ufer. Dżentelmeni z brytyjskiego wywiadu, świetnie władający językiem niemieckim, rozpoczęli ponowne przesłuchania; teraz interesowały ich głównie wszelkie informacje na temat NRD. Argument mieli ważki:

— Chcesz jakoś żyć, chcesz pływać dalej?

Wkrótce po wizycie w placówce Secret Service Wenzel rozpoczął pracę na jednostce szwedzkiej „Elza”, potem wrócił na statki bandery RFN zawijające do portów obu Ameryk. W 1955 roku ożenił się i zamieszkał w Lubece. W latach 1953—1959 ukończył kurs szyprów żeglugi małej i po złożeniu egzaminów uzyskał patent maszynisty oraz uprawnienia do obsługi radiostacji na jednostkach pływających. W latach następnych ukończył jeszcze kursy kapitańskie w szkole morskiej. Po uzyskaniu tych uprawnień pływał jako nawigator na wielu statkach RFN, które zawijały do portów NRD, Polski i Związku Radzieckiego.

Od stycznia do końca kwietnia 1973 roku był kapitanem na statku zachodnioniemieckim „Bar-

bara Breuer", należącym do armatora Jurgena Heinricha Brehera, pełniącego jednocześnie funkcję prezesa Niemieckiego Związku Szyprów Żeglugi Przybrzeżnej w Hamburgu.

W tym czasie do jego mieszkania przychodził kilkakrotnie pracownik Federalnej Służby Wywiadowczej — Baumbach, i wypytywał o niego żonę oraz badał, w jakich warunkach żyje.

Dwudziestego czwartego kwietnia 1973 roku Wenzel rozpoczął urlop, który miał trwać do połowy czerwca. Armator skierował go jednak na kilkunastodniowy kurs maszynistów organizowany przez jego związek. W czasie tego kursu został niespodziewanie zwolniony z pracy. Decyzję armatora skojarzył z wizytami Baumbacha. Nie mylił się.

Do ich pierwszego spotkania doszło na początku maja. Baumbach przyszedł do jego mieszkania, przedstawił się jako pracownik BND i poprosił o rozmowę w cztery oczy. Była ona konkretna.

— Mamy mało informacji z krajów socjalistycznych — wyjaśnił krótko — szukamy marynarzy, szczególnie kapitanów, którzy mogliby ich nam dostarczać.

Zaproponował współpracę polegającą na zbieraniu określonych informacji, fotografowaniu i szkicowaniu obiektów.

Zaskoczony tą wizytą i propozycją, zdenerwo-



wany nagłym wymówieniem mu pracy, Wenzel początkowo nie przyjął oferty.

— Radzę się dobrze zastanowić, żeby pan później nie żałował — powiedział odchodząc Baumbach. — Ja jeszcze tu przyjdę.

Po kilku dniach zjawił się ponownie. Był pewny siebie i arogancki. Znał trudne warunki materialne i rodzinne (czworo dzieci) tego człowieka, toteż nie zwracał uwagi na jego obiekcje. Wiedział, że Wenzel nie może sobie pozwolić na luksus odmówienia współpracy. To była sprawa jego egzystencji. Przystąpił więc do rzeczy. Pokazał Wenzlowi książkę zawierającą zdjęcia i szkice okrętów wojennych państw Układu Warszawskiego oraz uzbrojenia, rozpoczął szpiegowskie przeszkolenie. W czasie tego spotkania pouczył młodego kapitana, jak ma posługiwać się szyfrem do opisu okrętów wojennych. Kazał mu zapamiętać słowo „Schmalzbrot” i instruował, że poszczególne jego litery oznaczają istotne elementy okrętu wojennego, które należy ustalać w drodze obserwacji i notować. S — znaczy okręt, ch — kominy, m — liczba masztów, a — anteny radiowe i radarowe, l — długość jednostki. Nadto polecił notować kurs okrętu, jego prędkość i banderę. Za każdą informację obiecał płać 25 marek. Żegnając się zapowiedział, że na następne spotkanie przyjdzie do niego z byłym kapitanem żeglugi.

Tak się też stało. Ten drugi nazywał się Timm. Przedstawił się jako specjalista od problematyki

morskiej i „po koleżeńsku” radził, aby Wenzel przyjął ich propozycję, w przeciwnym bowiem razie musi się pożegnać nie tylko z mostkiem kapitańskim, ale w ogóle z pływaniem.

Wenzel już nie sprzeciwiał się 16 maja 1973 roku podpisał zobowiązanie o współpracy z BND. Nadano mu pseudonim „Trebe”. Tak też pokwitował otrzymane od pracowników BND 75 marek (po 25 marek za każde z trzech dotychczasowych spotkań). Odtąd kontakt z nim utrzymywał wyłącznie Timm.

Kolejne spotkanie odbyło się również w mie-  
-szkaniu Wenzla. Timm przyjechał swoim samochodem i przeprowadził dłuższe szkolenie. Zebrane informacje wywiadowcze polecił przekazywać listownie, wyłącznie z portów zachodnich, na adres Trude Muth, Hamburg 71... W jednych kopertach „Trebe” miał wysyłać zdjęcia (negatywy), w innych zaszyfrowane informacje (data, czas, pozycja fotografowanych okrętów). Uzgodnili też miejsca spotkań w portach RFN, do których miał najczęściej zawijać. Były to: restauracja dworcowa w Rendsburgu, budynek Urzędu Morskiego w Lubece, zakład fryzjerski na dworcu w Kilonii, rejon w promieniu 300 metrów od statku we Flensburgu. Po przybyciu do tych portów Wenzel miał telefonować do Trude Muth, podając jej swój pseudonim. Timm miał się zjawiać po upływie 2—4 godzin od rozmowy telefonicznej.

Ustalono, że w razie dekonspiracji czy jakie-

gokolwiek niebezpieczeństwa BND nada do niego przez Radio Kiel telegram ostrzegawczy: „Kurt ciężko chory, przyjeżdżaj natychmiast, siostra Klara”. Miał wtedy przerwać działalność i zniszczyć dowody przestępstwa.

Przewidziano więc i taką ewentualność.

Zarówno Baumbach, jak i Timm starali się robić wszystko, aby zapewnić nowemu agentowi bezpieczeństwo. Pouczyli go nawet, by w razie najmniejszych podejrzeń ze strony załogi tłumaczył swoje zainteresowania tym, iż jest przedstawicielem kościelnej organizacji opiekującej się marynarzami.

Kolejne spotkanie, 22 maja, Timm poświęcił na instruktaż dotyczący zasad i techniki wykonywania zdjęć fotograficznych. Radził Wenzlowi, aby fotografował głównie przez bulaje kabiny zasłonięte przezroczystą firanką lub przez szparę w nieprzezroczystej zasłonie, tak aby nie został zdekonspirowany z zewnątrz. 26 maja dostarczył mu wysokiej klasy aparat fotograficzny produkcji japońskiej (marki „Konica”) oraz kilka filmów, zalecając jednocześnie praktyczne ćwiczenia przed rejsem. Wręczył mu również wystawiony na jego nazwisko rachunek zakupu tego aparatu.

— W razie jakiegoś nieporozumienia z władzami państw socjalistycznych ma pan dowód, że sam pan kupił sobie aparat — wyjaśnił. — A żonie trzeba powiedzieć, że „Konice” przydzielił panu przedstawiciel Niemieckiego Towarzystwa



Hydrograficznego w celu wykonania zdjęć do podręczników morskich.

Na tym spotkaniu cykl szkolenia agenta został zakończony. Wenzel był dostatecznie przygotowany do realizacji zadań pierwszego etapu współpracy z BND — osobistego zbierania informacji.

— Zobaczmy, jak się sprawdzi — referował Timm Baumbachowi — Za wiele zadań na raz może go odstraszyć i załamać.

Nim Timm opuścił mieszkanie Wenzla, odezwał się telefon. To pracownik Niemieckiego Związku Szyprów w Hamburgu proponował zwolnionemu nie tak dawno kapitanowi pracę na statku m/s „Rika”, zawijającym do portów polskich. Wenzel przyjął propozycję. Uzgodnił z armatorem, że zgłosi się w porcie 1 czerwca. Timm był uradowany i nie ukrywał, że o to mu właśnie chodziło i że to on tę sprawę nagrał.

Dwudziestego ósmego maja Timm po raz ostatni przed bezpośrednim przystąpieniem jego „podopiecznego” do realizacji zadań szpiegowskich odbył z nim długą rozmowę. Przypomniawszy mu tematykę szkolenia, zalecił ostrożność oraz omówił szczegółowo zadania dotyczące portów polskich. Szeroki był zakres jego zainteresowań — od okrętów wojennych na morzu, obiektów i urzędów portowych, do sytuacji na rynku i politycznych dowcipów.

Dwa miesiące działalności szpiegowskiej, kil-

kadzieśiat zdjęć okrętów Polskiej Marynarki Wojennej, NRD i Floty Bałtyckiej ZSRR oraz polskich portów (z czego prawie połowy nie zdołał przekazać swojemu mocodawcy), parę szkiców i notatek wywiadowczych „Trebe” opłacił karą 10 lat pozbawienia wolności.

Dzięki szczecińskiej Służbie Bezpieczeństwa, czujności naszych szeregowych wopistów i tak zwanych szarych obywateli, którzy im w tym pomogli, „Trebe” został zdemaskowany, unieszkodliwiony i dokładnie rozliczony.

## Naganiacz

Wyrok Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni został ogłoszony 20 września 1973 roku. Sąd uznał oskarżonego winnym współpracy z obcym wywiadem i działania na rzecz tego wywiadu. Oskarżony udzielał istotnych dla obronności państwa polskiego wiadomości, między innymi dotyczących jednostek i urządzeń wojskowych, oraz z polecenia obcego wywiadu nawiązywał kontakty z przebywającymi czasowo w obcych portach marynarzami z polskich statków handlowych, niektórym z nich proponując współpracę z wywiadem USA.

Na mocy art. 124 § 1 kk sąd skazał oskarżonego na karę 8 lat pozbawienia wolności oraz orzekł pozbawienie praw publicznych na okres lat 5, konfiskatę całości mienia i karę grzywny. Sąd również zasądził od oskarżonego koszty postępowania.

Kim jest oskarżony?

Odpowiedź na to podstawowe przecież pyta-



nie nie była bynajmniej prosta i sąd poświęcił jej stosunkowo dużo czasu. Wielokrotnie zmieniane przez oskarżonego wyjaśnienia, zwłaszcza na temat przeszłości okupacyjnej, w konfrontacji z innymi dowodami zmusiły sąd do zwrotu akt w celu uzupełnienia śledztwa.

— On tutaj? — pytali z niedowierzaniem obecnych na rozprawie pracowników gdańskiej Służby Bezpieczeństwa, za sprawą której ten proces się odbywał, świadkowie. Stykali się z nim bowiem w obcych portach, gdzie do niedawna działał, gdzie był postrachem i prześladowcą, niekiedy przyczyną nieszczęść.

— Radzyński jest w Polsce sądzony? To chyba niemożliwe — mówiono w mieście, w którym ostatnio mieszkał.

— Gdzie Malinowski? — pytali oficerowie amerykańskiego wywiadu szukając go w miastach Europy zachodniej. Bardzo wątpię, czy kiedykolwiek się dowiedzą, w jaki sposób im go sprzątnięto sprzed nosa. I ja się tego też nie dowiedziałem. Prawdę kryją sejfy polskiego kontrwywiadu

Kimże więc jest oskarżony?

Na pytanie sądu, czy czuje się obywatelem polskim, odpowiada początkowo:

— Nie wiem, miałem paszport obcokrajowca.

— Oskarżony nie został pozbawiony obywatelstwa polskiego — przypomina sąd. — Czy oskarżony nie czuł się Polakiem?

— Czulem się.

- A teraz?
- Teraz tym bardziej.
- Czy oskarżony jest żonaty?
- Byłem. Teraz nie wiem.
- Nie potrafił określić nawet swoich stosunków z rodziną, pozbył się honoru, godności Polaka, miłości i przywiązania do ojczyzny i rodziny — powie później prokurator.

Miał przeto sad do ustalenia dwie kwestie: łożsamość oskarżonego, jego przeszłość, oraz działalność na rzecz obcego wywiadu, za co został postawiony przed sądem. Ta druga kwestia nie przedstawiała żadnej trudności. Wysunięte przeciwko oskarżonemu zarzuty były ściśle określone, odpowiednio udokumentowane, ewidentne. Materiały zebrane przez Służbę Bezpieczeństwa, uzupełnione i pogłębione w trakcie śledztwa, znalazły potwierdzenie w przewodzie sądowym.

Tadeusz Radzyński, syn Stanisława i Franciszki, urodzony w Ołtarzewie koło Warszawy, narodowości i obywatelstwa polskiego, w 1947 roku powrócił do kraju z Anglii i odnalazł żonę. Kilka miesięcy pracował w Ursusie koło Warszawy. Podawał się za kombatanta Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Opowiadał o swoich wyczynach na okrętach pływających pod biało-czerwoną banderą, o walkach z hitlerowską Kriegsmarine. Pokazywał przywieziony z Londynu wypis z przebiegu służby na polskich jednostkach, które szczególnie wstawiły się w bojach, między innymi i takich, które zostały wraz z załogą zatopione przez

nieprzyjaciela. Zyskiwał szacunek i uznanie otoczenia.

Pewnego razu, gdy snuł swoje opowieści w kawiarni, zainteresował się nim siedzący przy sąsiednim stoliku pracownik Ministerstwa Żeglugi.

Radzyński pojechał na wybrzeże. Złożył swoje dokumenty, łącznie z wypisem o służbie w Polskiej Marynarce Wojennej w Anglii, i od razu otrzymał pracę. Początkowo w Przedsiębiorstwie Robót Czerpalnych, potem został mechanikiem na statku rybackim. Zawijał do obcych portów i wciąż opowiadał o swoich wojennych zasługach, zasłaniając nimi swoje braki fachowe.

W 1953 roku zwolnił się z kołobrzesckiej „Arki”. Osiadł na lądzie, żył jakiś czas z oszczędności, a potem zaczął szukać pracy. Kupił parę koni i zatrudniał się... przy budowie wojskowego lotniska.

— Nie mogłem dać sobie z nimi (końmi) rady, ale pracowałem, bo zarobek był dobry — tłumaczy w śledztwie.

Czy tylko o „zarobek” mu chodziło — nasuwa się po latach pytanie. Trudno dziś znaleźć na nie jednoznaczną odpowiedź.

W ankietach i życiorysach podawał, że był wcielony w 1936 roku do wojska, służył w marynarce, w 1939 roku bronił Oksywia, gdzie został ranny, następnie znalazł się w szpitalu w Toruniu, potem w Brześciu. W 1941 roku poprzez Murmańsk trafił do Anglii. Przed sądem zaprzeczył temu wszystkiemu, mimo iż w śledztwie to



potwierdzał, i podał zupełnie inną wersję swej wojennej przeszłości.

Powołani dodatkowo liczni świadkowie oraz dowody z dokumentów, w tym pismo brytyjskiego Ministerstwa Obrony, to podstawa umożliwiająca sądowi wyjaśnienie jego przeszłości.

Przed wybuchem wojny służył we Flotylli Pińskiej. Po jej rozwiązaniu wrócił do Warszawy.

— Ale po drodze — mówił na rozprawie — wysadzałem niemieckie podziemi lub coś takiego.

Gdzie, kiedy, z kim — tego już sobie nie przypominał. Później miał rzekomo „nieporozumienie z jakimś volksdeutschem”, którego miał zabić. Musiał więc uciekać z Warszawy. Osiadł na dłużej we wsi pod Siedlcami. Stamtąd też musiał uciekać, „bo partyzanci wysadzali mosty, a na mnie padło podejrzenie”. Trochę pracował na roli, trochę zajmował się handlem. Nie należał do żadnej organizacji podziemnej, nie walczył z okupantem. Wiosną 1945 roku przez Czechosłowację, Austrię i Szwajcarię dostał się do Anglii. W maju 1945 roku wstąpił do Polskiej Marynarki Wojennej w Wielkiej Brytanii.

— Nie zdążyłem już walczyć z Niemcami — tłumaczył przed sądem. — Miałem później walczyć przeciwko Japonii, ale z tego także nic nie wyszło.

Na podstawie sfałszowanego życiorysu w 1957 roku został zweryfikowany jako marynarz i przy pomocy Związku Zawodowego Marynarzy uzyskał zezwolenie na pływanie na obcych statkach.

Został zamustrowany przez armatora angielskiego na jednostkę rybacką wybudowaną w polskiej stoczni. Po paru miesiącach chciał zmienić banderę, przejść na statki kompanii norweskiej, która oferowała mu lepsze warunki, ale Anglicy się nie zgodzili, żądali wypełnienia umowy, zabrali mu paszport i książeczkę zegiarską. Interweniował polski konsul. Wrócił do kraju. Wkrótce (paszport miał ważny na trzy lata) dostał się na statek zachodnoniemiecki, później na statki norweskie, na których pływał do października 1961 roku.

— W jednym z portów — wyjaśniał podczas rozprawy — otrzymałem z kraju list. Bliska osoba informowała mnie, że prawdopodobnie nie uzyskam przedłużenia paszportu, bo są do mnie jakieś zastrzeżenia. Chciałem pływać dalej, by móc zwrócić zaciągnięte długi, zarobić trochę pieniędzy, kupić samochód i zostać taksówkarzem.

Robił, co mógł, by przedłużyć okres służby na obcych statkach. Unikał rejsów do polskich portów, chciał zmienić statek, zastanawiał się nad dezercją, interweniował nawet u norweskiego konsula. Jednak wszystko to czynił tak, aby nie zdemaskować się przed władzami polskimi.

Po powrocie do kraju zgłosił się w komórkę kadrowej dla marynarzy. Chciał jak najszybciej popłynąć w świat. Nasi armatorzy mieli jednak w tym czasie spore rezerwy. Później jemu już się tak bardzo nie spieszyło.

Trzeciego lipca 1962 roku zamustrowany został

jako palacz na statku rybackim s/t „Wisłok”. Szósteo podczas przechodzenia statku przez śluzę Kanału Kilońskiego w Braamsbittel Koog, w drodze na Morze Północne, wykorzystał pierwszą okazję, by zdezerterować. Za zgodą kapitana zszedł na ląd, pod pretekstem dokonania zakupów w kiosku, i udał się do biura celników, prosząc, by umożliwiono mu skontaktowanie się z armatorem norweskim.

— Teraz jest noc, niech nam pan głowy nie zawraca — odpowiedzieli mu.

— To ja zaczekam do rana — postanowił. — Nie chcę wracać na statek, nie chcę wracać do Polski, będę ubiegał się o azyl.

Polaczyli go drogą radiową z szyprem. Powtórzył mu to samo, zażądał zostawienia jego dokumentów, odgryzał się załodze.

— Radzyński — tłumaczył mu spokojnie szypers — Ty się nie wygłupiaj, puknij się w łeb i zastanów, co gadasz. Chyba że jesteś lajdakiem i nikt się na tobie wcześniej nie poznał. Bez ciebie się obejdziemy — zakończył już stanowczo.

„Wisłok” popłynął na dalekie łowiska, a Tadeusz Radzyński pozostał na lądzie.

Zachodnioniemieccy celnicy chcieli się go pozbyć, mieć noc spokojną.

— Nie wiecie, co zrobić? — pytał dyżurny komisariatui policji. — Wsadźcie go do jakiej komórki. Tylko zamknijcie, bo ja za was nie będę odpowiadał.

Rano przyjechało dwóch policjantów. Przypro-



wadził go do biura, przeszukali. Prosił, raz jeszcze by mu pozwolili skontaktować się z norweskim armatorem. Nie chcieli spełnić tej prośby. Spisali protokół, wsadzili do samochodu i zawieźli do baraków obozu "przejściowego dla uciekinierów w Lubece.

— Jest pan wolny, ale nie radzimy się nigdzie oddalać. Dla własnego dobra! — ostrzegano.

Nazajutrz został wezwany na przesłuchanie. Zarzucano mu, że przybył do RFN jako szpieg. Musiał udokumentować swoją „niewinność”. Rozłożono przed nim zdjęcia urządzeń wojskowych i różnej broni. Pytano, gdzie, kiedy i ile tego widział.

— Nie chciałem udawać naiwniaka i coś im tam powiedziałem — wyjaśnił na rozprawie. — Jeśli im się nie wytłumaczę ze wszystkiego, jeśli nie powiem im, co wiem, to zamiast paszportu, azylu, książki marynarskiej, rozumowałem, dostanę taki dokument, z którym będę mógł tylko śmieci taczkami wywozić. Stale wmawiali mi, że jestem szpiegiem. To nieprawdopodobne, mówili, by taki sprytny i inteligentny człowiek, uciekając, nie zabrał ze sobą żadnego z dokumentów tożsamości. Pisałem do Anglii, Norwegii, wyjaśniałem, gdzie jestem i w jakiej sytuacji, prosiłem, by mi pomogli się stąd wyrwać, by się za mną wstawili. Bez rezultatu.

W obozie niczego nie dają za darmo. Na wyżywienie trzeba zapracować. Oferowano mu najgorsze zajęcia, najczarniejszą — jak to określa —

robotę, na miejscu bądź w bezpośrednim sąsiedztwie obozu, tak aby zawsze był „na oku” i „pod ręką”.

W tym czasie próbowali z nim nagrać wywiad pracownicy radia Wolna Europa. Nie wyszło. Skorzystał tylko przedstawiciel Głosu Ameryki. Odtworzył mu z taśm dwie audycje o melioracji w USA, przeznaczonej dla polskich rolników, i pogadankę dla kobiet. Prosił o uwagi. Pierwszej Radzyński nie dosłuchał do końca. Nudna, powiedział. Nie zainteresuje polskiego chłopca. Druga audycja wydała mu się ciekawsza. Tylko zmieńcie spikerkę, radził. Bo ten głos wystraszy polskie kobiety. Otrzymał 20 marek.

Po badaniach w obozie dla uciekinierów w Zirndorfie zabrano go do ośrodka wywiadu w Norymberdze. Tu rozpoczęło się wszystko od nowa. Przysłuchania się przeciągały. Brali go na warsztat kolejni „specjaliści”.

— Nie mogłem nie mówić albo klamać — tłumaczył sądowi — bo wyszedłbym na durnia, na takiego, co się na niczym nie zna.

Dostał 20 marek. Po wykupieniu biletu na powrót do obozu zostało mu jeszcze na papierosy. Oto cena sprzedanych obcemu wywiadowi wiadomości!

Tak „sprawdzonemu” Radzyńskiemu władze zachodnioniemieckie przyznały w połowie października 1962 roku azyl polityczny.

Mając kilkanaście marek w kieszeni, wyjeżdża do Hamburga. Otrzymuje w policji paszport bez-

państwowca oraz wiązaną pouczeń, jak ma się sprawować.

Po paru dniach skradziono mu ten paszport. Znowu policja, przesłuchania, dowodzenie niewinności. Wystawiono mu wreszcie drugi, ten, który się znalazł później na stole sędziowskim w Gdyni.

Włócząc się po nabrzeżach portów i miejscach lądowych uciech marynarzy, spotykał znajomych. Takich jak on — dezterterów, wycierających teraz obce kąty. Dwóch z nich poszło z nim chętnie do notariusza. Złożyli odpowiednie oświadczenia, dzięki czemu dostał książeczkę żeglarską. Kilka tygodni zabiegał o zamustrowanie na jakiś statek. Z czego wówczas żył?

— Jadłem, jak mi coś Urban kupił. On był tutaj dłużej. Czasem złapał jakąś dorywczą robotę, zarobił kilkanaście marek. Przedtem był też marynarzem Polskiej Marynarki Handlowej.

Po pierwszym krótkim rejsie na statku zachodnoniemieckim Tadeusz Radzyński mógł już zamieszkać w hotelu dla marynarzy „Stella Maris”. Któregoś popołudnia portier wywołał jego nazwisko przez megafon. Zszedł na dół. Cekał na niego nieznanomy mężczyzna po czterdziestce.

— Chcę pogadać z panem.

Przeszli do pobliskiej kafejki. Nieznanomy zamówił po lampce koniaku.

— Jak leci? — spytał.

— Ano, nijak. Czekam na nowe zamustrowanie. Pieniądze się skończyły. Pan mnie zna?



— Znam. Nazywam się Flint. Jestem Amerykaninem, oficerem wywiadu. Koledzy mi pana polecili. Mam panu pomóc.

Zapanowało milczenie. Flint zamówił drugą kafejkę. Wypili. Później następną. Pytał o ludzi, których Radzyński spotkał w Hamburgu. O Polaków szczególnie. Kto co robi i co jest wart. Na pożegnanie wetknął mu 20 marek.

— Podjedz sobie dobrze — poradził. — Spotkamy się za dwa, trzy dni. — Określił miejsce tego spotkania.

— Co to za Flint? — pytam oficera gdańskiej EE, siedzącego obok mnie na rozprawie.

— Jego faktyczne nazwisko to John Moris. Verbował, miał na kontakcie... Stary i dobrze nany klient naszego kontrwywiadu.

Spotykali się w różnych kafejkach. Radzyński powiadał o polskich marynarzach, podawał ich dane personalne. Flint go z kolei informował, który na jakim statku i do jakich portów zawija.

Na któreś spotkanie Radzyński poprosił również Szarnaua, dezterera z PMH, który znał dobrze język niemiecki. Chciał sprawdzić, czy rzeczywiście ma do czynienia z Amerykaninem, czy też kontroluje go tylko policja zachodnoniemiecka.

— Chciałem, wysocki sędzie, wiedzieć, na jakim toniu jadę. W RFN jest tyle wywiadów, że nie wiadomo, kto kogo pilnuje, kto kim jest i kto temu służy.

Po kilku takich spotkaniach Flint zaprowa-

dził Radzyńskiego do prywatnego mieszkania, mo-  
że hotelu, gdzie oczekiwał ich „boss” (tak przed-  
stawił swojego przełożonego) i jeszcze jeden  
mężczyzna. Radzyńskiego poddano badaniu na  
aparacie do wykrywania kłamstw, po czym przy-  
stąpiono do rzeczy.

— Godzi się pan na współpracę z nami? — spy-  
tał boss, nie wyjaśniając, na czym współpraca  
ta ma polegać i czego od niego oczekują.

— Nie dam się wsadzić do samolotu i wysłać  
do Polski — przestraszył się Radzyński.

Roześmieli się.

— Nie o to nam wcale chodzi — wyjaśnił  
Flint. — Robota będzie tu, na miejscu. Jeszcze  
parę spotkań i poznasz swoje obowiązki.

Zgodził się. Podpisał zobowiązanie. Pytał  
wręcz, czy będzie działał za pieniądze, czy ho-  
norowo. Za pieniądze, stwierdził.

— Bo niby z czego miałem żyć — tłumaczył  
się przed sądem. — Chwytałem się wtedy róż-  
nych prac. Najcięższych. Na statek trudno się by-  
ło dostać.

Mieszkanie opuścili oddzielnie, dla konspiracji.  
Flint odebrał od niego później fotografię wyko-  
naną w pobliskim zakładzie i umówili się w no-  
wym lokalu.

— Czy to było to zdjęcie? — spytał sędzia.

Radzyński wziął do drżących rąk fotografię  
spojrzał na pieczęć zakładu.

— Tak, wysoki sędzie, to było to zdjęcie —  
stwierdził bez wahania. — Zrobiłem jedno, n

poczekaniu. Ustawiłem się do aparatu tak, jak tego życzył sobie Flint

Wieczorém Flint zafundował mu kolację. Dobrze się bossowi zaprezentowałeś, powiedział. Musimy teraz czekać na decyzję centrali. Dał mu kartkę z numerami telefonów do siebie. Życzył cierpliwości. Zdrcwo wtedy popili. Były jakieś dziewczyny, facet... i przerwa w życiorysie. Czyżby wtedy to zdjęcie, rozmyślał teraz. Wkrótce Flint go znowu odnalazł.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Obierzesz sobie pseudonim, przystępujemy do działania.

— Niech oędzie „Malinowski”.

— Więc zostajesz, Malinowski, w Hamburgu. Masz sobie wynająć przyzwoite mieszkanie, koniecznie z telefonem, ale żeby nie kosztowało więcej niż dwieście marek miesięcznie. Będiesz nawiązywał kontakty z polskimi marynarzami. Wskażę ci, z kim. Zaprosisz ich do domu, poczęstujesz czymś smacznym. Muszą widzieć, że ci jest dobrze, muszą cię podziwiać i zazdrościć. Mów im, że zarabiasz tu lepiej niż na morzu, że jesteś bogaty i ważny. Dostaniesz pracę w mieście, ja będę ci dopłacał. Wszelkie koszty reprezentacyjne biorę na siebie. Jak się będziesz dobrze spisywał, to pieniędzy ci nie zabraknie.

Sąd ustalił, że Flint poinformował Radzyńskie-go, iż zadaniem jego będzie zawieranie znajomości z marynarzami z polskich statków handlowych, zbieranie o nich informacji i kontakto-



wanie ich z pracownikami wywiadu USA. W zamian za świadczone temu wywiadowi usługi otrzymywać miał 200 marek miesięcznie oraz dodatkowo pieniądze na mieszkanie, przeznaczone na punkt kontaktowy.

Początkowo szukali takiego mieszkania razem. Skoro się tylko właściciele dowiedzieli, kim jest, zamykali przed nim drzwi. Człowiek bez ojczyzny nie budzi zaufania, a ten, który ją zdradza, budzi wstręt.

Zamieszkał u Olendra. Był jakiś czas portierem w jego pensjonacie. Polecił mu go pracownik wywiadu w Norymberdze. Powiesz, pouczał, że kieruje cię ten, co nosi hrabiowski sygnet. On będzie już wszystko wiedział, zajmie się tobą.

— Olender, ten przedwojenny strażnik więzienny ze Lwowa — mówił o nim Radzyński — sadysta i szuler, jest w Hamburgu powszechnie znany i ma zupełnie jednoznaczną opinię. Powiązany z różnymi wywiadami i policją, służy komu się da, własną matkę by sprzedał.

Gdy tylko Radzyński się o tym przekonał, przeniósł się do innego pensjonatu, również na St. Pauli. Tam także nie było lepiej, „burdel na kółkach”, określił zwięźle.

Flint go ponaglał. Potrzebne mu było pilnie jego mieszkanie-pułapka.

W grudniu 1962 roku Radzyński przekazał Flintowi charakterystyki dwóch znajomych marynarzy, którymi ten bardzo się zainteresował i polecił zorganizowanie z nimi spotkań. Najlepiej

oczywiście byłoby ściągnąć ich właśnie do takiego mieszkania. Wkrótce Radzyński poznał jeszcze jednego marynarza polskiego, Leszka Luka, pływającego na statkach obcych bander. Tym razem nie czekając już na wynajęcie mieszkania skontaktował go z Flintem. Zaproponowali mu współpracę. Gdy marynarz zdecydowanie odmówił, wywiad — wykorzystując do tego Jana Gawłaka, ps. „Złota Rączka”, znanego w Hamburgu awanturnika i kryminalistę — zaaranżował w restauracji awanturę, w trakcie której sprowokowano Leszka Luka do bojki i aresztowano go. Pracownik wywiadu udał się wtedy z Radzyńskim do więzienia. Ponowili propozycję współpracy, straszili, że jeśli ją odrzuci, to w tym więzieniu zgnije i nikt się nawet o tym nie dowie. Gdy mimo tych gróźb marynarz znalazł się na wolności, a władze zachodnioniemieckie umorzyły przeciwko niemu postępowanie (prowadzone, jak się okazało, pod zarzutem popełnienia przestępstwa politycznego), wywiad ponownie pchnął do niego Radzyńskiego. Znowu miał go nakłaniać do zdrady kraju i szpiegostwa. Długo nie dawano mu spokoju. Cały i zdrowy, był jednym ze świadków oskarżenia na procesie.

W jakiś czas później Radzyński dogadał się z innym dezterterem, byłym kucharzem na polskim statku, który w Hamburgu nie mógł znaleźć zatrudnienia nawet przy zmywaniu naczyń. Wyjechali do Holtenau. Tamten znał język francuski, poszedł więc po pomoc do konsulatu fran-

cuskiego. Radzyńskiemu udało się wreszcie dostać na statek norweski. Po pierwszym rejsie zwolniono go dyscyplinarnie za złe zachowanie, pijaństwo i niewywiązywanie się z obowiązków. Wysadzono go na ląd w Bremie. Ale tu szczęście mu dopisało, gdyż został przyjęty na zachodnioniemiecki rudowęglowiec. Kiedy po trzech miesiącach znalazł się w Rotterdamie, stanął na ulicy jak wryty. Czekał na niego Flint. Zrobił mu potworną awanturę za to, że samowolnie opuścił Hamburg. Radzyński próbował się tłumaczyć, przeproszać. Flint kazał mu wrócić na statek. Tam kapitan zakomunikował mu, że ma zabierać manatki i natychmiast iść won, bo czeka go w Bremie sprawa kryminalna. Istotnie, miał tam „drobne nieporozumienie towarzyskie”, ale żeby kogoś okraść, zabić? Co to, to nie. Wszystko się wyjaśni, pomyślał.

Zatrzymał w porcie prywatny samochód, poprosił o podrzucenie do Domu Marynarza. Holender spytał, kim jest. Gdy się dowiedział, że Polakiem, zaprosił go do swego domu.

Czas oczekiwania na zamustrowanie na holenderski statek, co mu miał załatwić gospodarz, spędzał w życzliwej, rodzinnej niemal atmosferze. Ale któregoś wieczoru, całkiem niespodziewanie, do drzwi domu gościnnych Holendrów zapukał Flint. Wy tłumaczysz gospodarzom, że jestem twoim kuzynem, oznajmił. Masz wracać natychmiast do Hamburga. Jesteś mi potrzebny.

— Prosiłem go, by mi pozwolił tam zostać, by



zechciał połączyć swoje interesy i zadania przeznaczone dla mnie z moim pływaniem. Zgodził się wreszcie. Zostawił mi adres i telefon pewnego szewca w Rotterdamie. Miałem się tam po powrocie z rejsu zgłosić po instrukcję.

Uczynił, jak uzgodnili. Flint już tam na niego czekał. Wiedział, kiedy przybędzie.

— Jutro wyjeżdżamy do Anglii — powiedział krótko. — Wpływa tam statek m/s „Olsztyn”, musisz wyciągnąć Kanię.

— Po co ci on potrzebny? — zatrwożył się Radzyński.

Kania był dobrym jego znajomym, o którym, podobnie jak o innych, informował swego czasu Flint.

— To nie mnie, to tobie jest on potrzebny, durniu. Aby uniknąć kontroli władz polskich, musimy organizować żywą łączność z krajem. Będzie przewoził korespondencję. Zapytasz go po prostu, czy chce się ze mną spotkać i czy weźmie ode mnie pieniądze. Reszta cię nie obchodzi.

Flint załatwił „od ręki” wizę w brytyjskim konsulacie, kupił mu walizkę i czekał na promie.

— Teraz się nie znamy — powiedział. — Spotkamy się w restauracji w Hull.

W świetlicy stojącego w Hull m/s „Olsztyn” wyświetlano film dla załogi, kiedy na pokładzie znalazł się nie proszony gość. Wywołał Kanię ze świetlicy, przywitał się z nim wylewnie. Tematów do rozmowy mieli wiele.

— Słuchaj, to nie przypadek, że cię tu odna-

lazłem — wybąkał wreszcie Radzyński. — Przy-  
słał mnie tutaj i podróż finansował wywiad ame-  
rykański. Oficer tego wywiadu chce się z tobą  
zobaczyć.

Opuścili statek i poszli na wódkę, oczywiście  
do restauracji wskazanej przez Flinta. Po pew-  
nym czasie do lokalu weszła bardzo ponętna  
blondyna. Kania się nią zainteresował, poprosił  
do stolika. Chciał ją poderwać. Później... Co było  
później, żaden z nich nie pamięta.

— Nie wiem, co mi wrzucono do alkoholu —  
zeznawał Kania. — Fakt, że nic nie pamiętam  
i nie wiem, co się ze mną działo.

Obaj znaleźli się w końcu na statku. Radzyń-  
skiego znaleziono przed opuszczeniem portu. Ka-  
pitan poprosił celników i policję graniczną, by  
go zabrali.

Tymczasem Służba Bezpieczeństwa PRL reje-  
strowała już kroki i poczynania płatnego naga-  
niacza Radzyńskiego vel Malinowskiego.

Flint wrócił do RFN, Radzyński czasowo pozo-  
stał w Holandii. Odwiedzał polskie statki, szu-  
kał znajomych, zapraszał ich na wódkę i wycią-  
gał od nich, co się dało, a także starał się ich  
wplątać w różne ciemne interesy.

— Chciałem mieć kontakt z krajem, dowie-  
dzieć się czegoś o rodzinie — tłumaczył sadowi.

„W Rotterdamie — ustalił sąd — wszedł na po-  
kład statku (...) i w czasie picia alkoholu nawią-  
zał z załogą rozmowę. W tej kierowanej przez  
siebie rozmowie usiłował uzyskać wiadomości do-

tyczące obronności państwa polskiego, a w szczególności lotnictwa wojskowego i broni pancernej". Kilku osobom proponował współpracę z wywiadem USA, obiecując za to uzyskanie korzyści materialnych, przyznanie azylu na Zachodzie i, o ironio, pomoc w uzyskaniu dobrej pracy.

Z Flintem utrzymywał stały kontakt telefoniczny i korespondencyjny. W zależności od potrzeb wywiadu był przerzucany do różnych miast i portów zachodniej Europy. Zadanie wciąż realizował to samo Z Flintem żyli się już do tego stopnia, że ten wzywał go nawet w błahych sprawach. Przysyłał w liście na przykład 100 marek i krótkie polecenie Radzyński czekał niecierpliwie na każde wezwanie chlebobdawcy. Sam wykazywał w roli naganiacza inicjatywę i pomysłowość.

Wszystko znalazło potwierdzenie w materiałach sprawy. Nie oszczędzał nawet dawnych przyjaciół — zastawiał na nich wspólnie z pracownikami wywiadu przemysłne pułapki i organizował przeciwko nim podle prowokacje. Stosując metody „perswazji”, przekupstwa, szantażu i zastraszania, usiłował ich wciągać do działalności szpiegowskiej.

— W takiej sytuacji — mówił podczas rozprawy jego obrońca — mogą znaleźć się wszyscy, którzy decydują się na pozostanie na Zachodzie, obojętnie czy dostali się tam drogą legalną, czy nielegalną. Konieczne jest przeto, dla zapobiegania tym ludzkim tragediom i szkodom dla kraju,



nie tylko sprawne działanie naszych organów specjalistycznych i ich wzmożona czujność, lecz także szeroka profilaktyka, uświadamianie szerokich rzesz obywateli, demaskowanie form i metod pracy wywiadów, demaskowanie takich jego pracowników jak Flint. On jak cień chodził za Radzyńskim, uzależnił go całkowicie od siebie, prześladował w każdym miejscu, które tamtemu wydawało się bezpieczne. Doprowadził go wreszcie do alkoholizmu, do zatury psychicznej i fizycznej.

Sąd przy ferowaniu wyroku rozważył wszelkie okoliczności sprawy. Adwokat bronił w tym procesie nie tylko oskarżonego. Bronił chyba i tych, którym może zaświtać lekkomyślny zamiar opuszczenia kraju — pierwszy krok ku zdradzie, ten pierwszy krok, którego się później najbardziej żałuje. Krok ku osobistej tragedii. Dlatego o tym piszemy. Radzyński został unieszkodliwiony, ale Flinty-Morisy wciąż działają.

## Z tamtej strony złudzeń

Szczególnie narażone na penetrację wrogich wywiadów jest nasze wybrzeże — jego porty, miasta, zakłady przemysłowe, służba zdrowia i szkolnictwo, słowem — wszystko. I plaża, i ludzie. Znajduje to odbicie w całokształcie działalności natowskich wywiadów: w werbowaniu obywateli polskich do współpracy i zastawianiu na nich przeróżnych pułapek, aktywnym zainteresowaniu różnorodnymi problemami naszego wybrzeża, w zwiadowczych rejsach samolotów i okrętów w pobliżu naszych wód terytorialnych... Do lat sześćdziesiątych wywiady wykorzystywały polskie wybrzeże do przerzutów swoich agentów i kurierów, w latach osiemdziesiątych do zaśmiecania kraju wrogimi ulotkami i innymi materiałami propagandowymi. Cała historia paktu NATO dowodzi, że stanowi on główne źródło niebezpieczeństwa wojny, ostoję reakcyjnych sił Europy, jest protektorem mili-

taryzmu i zachodnioniemieckich odwetowców. Pakt północnoatlantycki stał się instrumentem „zimnowojennym”, organizatorem destrukcyjnej roboty — szpiegostwa i dywersji ideologicznej, inspiratorem prób przewrotów kontrrewolucyjnych w krajach socjalistycznych. W systemie współdziałania wywiadów NATO, które realizują te wszystkie przedsięwzięcia, widoczne jest stałe umacnianie hegemonii Stanów Zjednoczonych oraz wzrost znaczenia i roli amerykańskich służb specjalnych, podporządkowanych realizacji awanturniczych celów kapitału monopolistycznego i lobby wojskowego USA.

Funkcjonowaniem systemu wywiadu morskiego Stanów Zjednoczonych kieruje Biuro Wywiadu Morskiego (Office Naval Intelligence — ONI) w Waszyngtonie. Zakres jego działalności obejmuje zbieranie, przetwarzanie i rozprowadzanie wiadomości interesujących marynarkę wojenną.

W Dowództwie Marynarki Wojennej USA w Europie, mającym swoją kwaterę w Londynie, działa Zarząd Wywiadowczy N-2, któremu podlegają wszystkie placówki tego wywiadu rozmieszczone na terenie naszego kontynentu. Najbardziej aktywne są ośrodki zorganizowane w portach zachodnioniemieckich, w Bremerhaven i Hamburgu, ściśle współpracujące z wywiadem oraz różnymi instytucjami RFN, jak biura żeglugowe, zarządy ruchu w poszczególnych portach, a nawet z niektórymi komórkami miejscowych senatów. Instytucje te przekazują Amerykanom



znajdujące się w ich posiadaniu informacje i własne opracowania, np. o obrotach handlowych z krajami socjalistycznymi, dane o portach, organizacji i działalności naszych przedsiębiorstw żeglugowych.

Wywiad morski działa równolegle z placówkami innych służb wywiadowczych, które prowadzą aktywną działalność szpiegowską przeciwko Polsce. Ośrodek w Bremie angażuje też do współpracy obywateli RFN, którym zleca wyjazdy do Polski pod różnymi pretekstami, chociaż w gruncie rzeczy chodzi o dostarczanie informacji o charakterze szpiegowskim.

Działalnością związaną ze zbieraniem i wykorzystywaniem materiałów o krajach socjalistycznych kieruje Oddział Wywiadu N-23 w Zarządzie Wywiadowczym N-2. Ma on kilka wydziałów specjalizujących się między innymi w opracowywaniu danych dotyczących naszego wybrzeża, marynarki wojennej, żeglugi handlowej, planowania desantów morskich, problematyki polityczno-gospodarczej PRL.

Wydział N-234 kieruje opracowaniem celów na naszym wybrzeżu i zbiera dane potrzebne sztabom NATO do planowania akcji niszczenia określonych obiektów. To opracowanie wywiadowcze celów polega — w myśl instrukcji wywiadu wojskowego USA — na „określaniu słabych punktów potencjalnego przeciwnika, wrażliwych na ataki lotnictwa i marynarki, ocenie okoliczności sprzyjających ofensywnym akcjom

sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców”.

Szereg instrukcji ONI drobiazgowo określa, jakie wiadomości z tej dziedziny winny zbierać poszczególne placówki. Jest tam mowa o rozmieszczeniu obrony wybrzeża, ukształtowaniu terenu, naturalnych przeszkodach na plaży i pod wodą.

Coraz częściej wywiad stara się wykorzystywać legalne możliwości zbierania potrzebnych danych. Na przykład Biuro Badań Morskich (Office of Naval Research), zajmujące się planowaniem, inicjowaniem i koordynowaniem badań naukowych, swoje opracowania przekazuje zainteresowanym służbom wywiadowczym. Londyńska filia tego biura inicjuje i finansuje wyjazdy amerykańskich i innych zachodnich naukowców na międzynarodowe kongresy i seminaria odbywające się w Polsce lub w celu nawiązywania współpracy z polskimi placówkami badawczymi. Opracowanie dokładnej charakterystyki wybrzeży państw socjalistycznych zleciło ONI także innej instytucji naukowej — Coastal Studies Institute w Baton Rouge (USA).

Kanał Kiloński i porty zachodnioniemieckie stanowią bramę wyjściową z basenu Morza Bałtyckiego na oceany. Krzyżują się tu wszystkie linie żeglugowe państw bałtyckich, w tym i naszych armatorów. Statki pod polską banderą zawijają tu częściej niż do jakichkolwiek innych portów świata.

Hamburg i Brema stanowią dla nich miejsce ostatniego postoju przed powrotem do portów macierzystych, ostatnią okazję wydania przez załogi zarobionych często w czasie wielomiesięcznego rejsu dewiz, zrobienia zakupów przed powrotem do rodzin, rozrywki po trudach i monotonii marynarskiego życia.

Tutaj właśnie, na terenie Hamburga, Bremy i nad Kanałem Kilońskim, w pobliżu portów, na marynarskich szlakach, rozwinięta jest gęsta sieć przeróżnych barów, lokali rozrywkowych i firm handlowych. Wiele z nich powstało z inspiracji i działa pod kontrolą i na potrzeby natowskich ośrodków wywiadowczych i zachodnioniemieckiej policji.

Wśród stosowanych form działania wywiadu najczęściej występują: wciąganie do nielegalnego handlu, uzależnianie finansowe, organizowanie spotkań z kobietami lekkich obyczajów, zapraszanie do domów prywatnych względnie licznych klubów. Rozpoznawanie, przyciąganie i wiązanie ludzi metodą tzw. małych kroków.

Niewielu tylko daje się wpłatać w zastawiane na nich sieci. Ludzie morza — nasi marynarze i rybacy — w najcięższych nawet chwilach są prawdziwymi ambasadorami swego kraju, a przypadki zdrady należą w tym środowisku do sporadycznych. Najlepszym tego dowodem jest okres po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, kiedy to — oddaleni od informacji krajowej — znaleźli się pod szczególnie wzmożonym



naciskiem wrogiej propagandy i spotkali się z mnóstwem przeróżnych ofert. Nawet w tej sytuacji za granicą pozostała jedynie niewielka garstka ludzi o wybujałej wyobraźni i słabej konstrukcji psychicznej, przeważnie młodych, z krótkim stażem w tej trudnej pracy, nie zżytych jeszcze z załogą, ze środowiskiem, nie w pełni ukształtowanych. Ludzi, którzy nie zaznali twardej marynarskiej szkoły życia, którzy na Zachodzie dostrzegali wyłącznie wspaniałe wystawy i luksusowe samochody, nie zdając sobie sprawy z tego, jak trudno to wszystko zdobyć i jak nielicznym udaje się to osiągnąć. Refleksja, żal przychodzą później, w miarę poznawania tamtej strony złudzeń. Jak w podanych niżej przypadkach.

Pawelczyk urodził się w 1938 roku w Gdańsku, gdzie mieszkał i wychowywał się do roku 1958, kiedy to wraz z rodzicami wyjechał na stałe do RFN. W 1959 do obozu w Bremie, gdzie przebywał wraz z rodziną, przybyło dwóch mężczyzn władających językiem polskim, którzy przedstawili się jako dziennikarze. Po wstępnej rozmowie, podczas której zorientowali się, że Pawelczyk jest zadowolony z pobytu w RFN, poprosili go o przekazanie im - za - wynagrodzeniem wiadomości o jednostkach WP i obiektach wojskowych na wybrzeżu gdańskim, na co wy-

raził zgodę. Ta pierwsza rozmowa odbyła się w obecności ojca.

Po kilku miesiącach Stivens i Devis, bo takie nazwiska podali podczas pierwszej wizyty, ponownie odwiedzili Pawelczyka, tym razem już w mieszkaniu na mieście, do którego przeniósł się wraz z rodziną. Rozmowa odbyła się bez świadków i toczyła się wokół jednego tematu. Goście wypytywali Pawelczyka, czy jako były mieszkaniec Gdańska ma znajomych marynarzy polskich. Okazało się, że miał, że bywał częstym gościem na polskich statkach, nawiązywał nowe kontakty, odnajdywał starych znajomych, prowadził z nimi drobny handel. Bez żadnych oporów wymienił nazwiska dwóch marynarzy. Rzekomi dziennikarze zaproponowali mu, by ich z nimi skontaktował, nie precyzując celu tego spotkania.

Minęły dwa tygodnie od owej rozmowy i Pawelczyk otrzymał list nadany przez Stivensa w Bremerhaven, w którym ten ostatni proponował mu spotkanie w jednym z lokali w Bremie.

Pawelczyk stawiał się w wyznaczonym miejscu i wówczas Stivens i Devis poinformowali go, iż są pracownikami amerykańskiego wywiadu (okazali legitymacje) i zaproponowali współpracę, z wynagrodzeniem miesięcznym 200 DM. Powierzą mu bardzo proste zadanie, wyjaśnili. Pawelczyk będzie nawiązywał znajomości z marynarzami, spróbuje określić osobowość nowo pozna-

nych, uzyskać ich dane personalne, nazwę statku, na którym pływają itp. Zdobyte informacje będzie przekazywał pracownikom wywiadu i jeśli oni sobie tego zażyczą, zorganizuje ze wskazanym marynarzem spotkanie. Preteksty mogą być różne. Na przykład mógłby powiedzieć, że ma znajomych dziennikarzy amerykańskich, którzy interesują się polskimi książkami technicznymi i za ich dostarczenie dobrze płacą (legenda ta była powielana także w innych przypadkach, np. przy próbach podchodzenia przez wywiad amerykański do polskich praktykantów w RFN).

Ustalony system łączności był początkowo prosty: Stivens lub Devis mieli informować Pawelczyka o swoich żądaniach listownie, w nagłych przypadkach mogli go wywołać z mieszkania klaksonem samochodu, natomiast on otrzymał numer telefonu w Bremerhaven i tam mógł zawsze otrzymać wiadomość, kiedy któryś z nich będzie uchwytany. Po pewnym czasie wynajęto Pawelczykowi skrytkę pocztową w Bremie, którą miał codziennie kontrolować.

Miejscom organizowanych przez Pawelczyka spotkań z polskimi marynarzami były najczęściej lokale gastronomiczne w Bremie: „Calumbus”, „Café Europa”, „Rommer Keller” oraz „Café Illlmann”. Podczas pierwszego, tzw. zapoznawczego, kontaktu jego udział w rozmowie nie był niczym ograniczony. W czasie kolejnych spotkań z tym samym marynarzem jego rola ograniczała się już tylko do sprowadzenia delikwenta w



umówione miejsce i uczestniczenia we wstępnej rozmowie. Następnie pod byle pretekstem, na otrzymany sygnał, oddalał się od stolika i opuszczał lokal, by zjawić się w odpowiednim czasie i odwiedzić marynarza na statek. Moment jego przybycia ustalał pracownik wywiadu.

Po roku współpracy Pawelczyk został poddany badaniu prawdomówności, po czym podniesiono mu uposażenie do 250 DM miesięcznie. W tym też mniej więcej czasie, obawiając się o własne bezpieczeństwo, zażądał wydania dowodu osobistego na inne nazwisko oraz broni palnej. Dowód taki, wystawiony przez zachodnioniemiecką policję na nazwisko Peter Petersen, otrzymał niemal natychmiast, ale na broń musiał poczekać dłużej. W końcu wręczono mu pistolet gazowy w postaci długopisu, którego — według instrukcji — mógł użyć jedynie w „ostatecznej potrzebie”.

Władysław Ostrowski zdobył w Polsce Ludowej średnie wykształcenie techniczne i solidny zawód. W czasie służby w marynarce wojennej uzyskał specjalność łącznościowca i bezpośrednio po zwolnieniu z wojska został przyjęty do Polskich Linii Oceanicznych. W okresie od połowy marca 1961 roku do początku roku 1964 najpierw na statku m/s „Polanica”, a następnie m/s „Domeyko”, odbył kilkanaście rejsów do portów

północnoamerykańskich. Statki te zawijały po drodze do Bremy. Tu dostrzegł go i „wyłowił” spośród licznej załogi Pawelczyk.

— Wiedziałem, że lubi pieniądze — powie o nim później przed sądem.

Po przekazaniu swoim mocodawcom danych o Ostrowskim i oczekując na decyzję w jego sprawie Pawelczyk nie traci z nim kontaktu. Zaprasza go do lokali rozrywkowych i do swego mieszkania. Jest gościnny, serdeczny, zawsze sam płaci, tylko rachunki dyskretnie chowa do kieszeni. Otrzymuje wreszcie polecenie przekazania Ostrowskiego pracownikom wywiadu. Następuje to w połowie stycznia 1962 roku.

Ostrowski chętnie godzi się na spotkanie z amerykańskim studentem polskiego pochodzenia — jak sobie przypomina — czy „dziennikarzem” — jak utrzymuje Pawelczyk. Wstępna i bardzo ogólna rozmowa odbywa się w barze koło dworca kolejowego w Bremie. Przyjaciół Pawelczyka sprawia dobre wrażenie. Istotnie chodzi mu tylko o polskie książki i nawet nie określa bliżej ich tematyki. Ale chce za nie dobrze płacić. Szykuje się ciekawy interes.

Stivens, bo to on właśnie przejął Ostrowskiego, proponuje, aby opuścili lokal i przeszli do jego mieszkania. Tu — jak przystało na „rodaka” — częstuje gościa alkoholem, wypytuje, co słychać w starym kraju, sporządza notatki z rozmowy. Spotkanie to kończy się miłym dla Ostrowskiego akcentem: w dowód przyjaźni dostaje elek-

tryczną maszynkę do golenia Pawelczyk, któremu w tym czasie „coś wypadło”, zjawia się, by odwiedzić Ostrowskiego do baru przy dworcu kolejowym.

Ostrowski bardzo sobie ceni tak obiecującą przyjaźń. Nie zapomina więc o prośbie „studenta” i przed wypłynięciem w kolejny rejs dalekomorski nabywa w Gdyni dwie książki: „Rozwój okrętownictwa polskiego” i „15 lat Polski Ludowej”. W Bremie nie musi szukać swych „przyjaciół”. Pawelczyk, doskonale zorientowany w rozkładzie rejsów polskich statków, już go oczekuje. Usłudzie podwozi Ostrowskiego swoim opłem do baru przed dworcem, gdzie czeka Stivens — znany Ostrowskiemu jako „Johnny”. Jest zadowolony z przywiezionych książek. Płaci za nie 50 DM. To wzrusza niemal Ostrowskiego, który lojalnie informuje, że po powrocie z rejsu uda się na urlop wypoczynkowy, a później może być zamustrowany na inny statek. Otrzymuje numer telefonu Stivensa w Bremerhaven (ten sam, z którego korzystał Pawelczyk).

Realizując konsekwentnie metodę „małych kroków”, Stivens zgłasza nowe zapotrzebowanie na książki oraz na mapę turystyczną lub samochodową Polski.

W styczniu 1963 roku Ostrowski wypływa w kolejny rejs na statku m/s „Domeyko”. Zabiera z sobą między innymi plan Gdyni oraz żadaną mapę samochodową. W drodze powrotnej w Bremie, jak zwykle, oczekuje na niego Pa-



welczyk. Jak zwykle też jest miły i usłużny. Pomaga Ostrowskiemu uzyskać połączenie ze Stivensem. Umawiają się na spotkanie w stałym punkcie — w barze przy dworcu. Ostrowski przekazuje książki i mapy. Otrzymuje 50 dolarów USA, których odbiór — pod nieobecność Pawelczyka — kwituje na podsunętym mu przez Stivensa rachunku. Jest to kolejny, trzeci już „mały krok” agenta, chociaż na drodze pozyskania Ostrowskiego do współpracy chyba pierwszy. Zdobył przecież jego własnoręczny podpis, którym pokwitował otrzymane pieniądze. To dodaje mu odwagi. Zarzuca teraz Ostrowskiego konkretnymi pytaniami o rozwój stoczni polskich, liczebność załogi m/s „Domeyko”, warunki pracy, płacy i życia marynarzy i otrzymuje wyczerpujące odpowiedzi.

Podczas następnych rejsów na m/s „Domeyko” Ostrowski kilkakrotnie, przeważnie korzystając z pośrednictwa Pawelczyka, spotyka się ze Stivensem w znanych już punktach — w barze oraz w lokalu kontaktowym. Tu w intymnym nastroju otrzymuje marki bądź dolary, kwitowane własnoręcznym podpisem, w zamian za co udziela dość szczegółowych informacji o stocznicach w Gdyni i Gdańsku, typach i liczbie statków przez nie produkowanych, o liczebności załóg na statkach, uposażeniu marynarzy. Wtedy już doskonale wie, z kim rozmawia.

Jedno ze spotkań w drugiej połowie czerwca 1963 roku odbywa się w widzianej przez niego

po raz pierwszy Willi. Uczestniczą w nim Stivens, Devis oraz trzeci pracownik wywiadu — „Rysiek”. Ostrowski przekazuje im szereg danych dotyczących jednostek WP i obiektów wojskowych na wybrzeżu. Wtedy dopiero pracownicy wywiadu oficjalnie zawierają z nim umowę o współpracy. Przedmiotem transakcji są wojskowe instrukcje i regulaminy, mapy sztabowe, fotografie obiektów wojskowych i portowych. Ostrowski otrzymuje obietnicę wysokiej zapłaty za dostarczenie dowodu osobistego nowego wzoru, książeczek wojskowych i legitymacji partyjnych. Otrzymuje też zadanie odnowienia znajomości z okresu służby wojskowej w Sztapie Marynarki Wojennej. Dalszy kontakt ma być utrzymywany poprzez skrytki pocztowe w Bremie i Hamburgu, zlokalizowane przy dworcach kolejowych. Po raz pierwszy zaproponowano mu wówczas poddanie się badaniom prawdomówności, na co rzekomo nie wyraził zgody.

W czasie następnego spotkania na początku lipca 1963 roku w pijalni piwa w Bremie — ze strony wywiadu uczestniczył w nim Stivens i „Rysiek” — Ostrowski przyjął, rzekomo „na konto dalszej współpracy”, 700 DM, które pokwitował pseudonimem. Stivens oznajmił mu, że wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, a dalszy kontakt z nim będzie utrzymywał „Rysiek”. Ostrowski zaproponował wówczas, że spotka się ze Stivensem w Nowym Jorku, co zostało zaaprobowane. Termin mieli ustalić z „Ryskiem”.

Do spotkania tego doszło w końcu 1963 lub na początku 1964 roku. Był to ostatni kontakt Ostrowskiego z pracownikami wywiadu. Twierdzi, że sam zerwał współpracę... A jak faktycznie było? Prawdą jest, że w tym samym mniej więcej czasie wywiad zrezygnował z usług Pawelczyka.

Prokurator wojskowy w mowie oskarżycielskiej powiedział między innymi:

— W zasadniczych założeniach wywiadu amerykańskiego Pawelczyk vel Petersen miał pełnić i pełnił przede wszystkim rolę naganiacza. Do roli tej zniżył się z własnej woli, kierując się chęcią zysku, nienawiścią do socjalizmu i naszego kraju, i działając w takim charakterze podstępnie wykorzystywał łatwowierność niektórych naszych marynarzy i pchał ich w otchłań zdrady ojczyzny. (...) Ocenę postępowania Ostrowskiego i odpowiedź na postawione pytanie dali zresztą przed Wysokim Sądem w swych zeznaniach ci świadkowie, którzy po skontaktowaniu ich przez Pawelczyka z pracownikami wywiadu amerykańskiego, jako lojalni obywatele Polski Ludowej i oddani swemu zawodowi marynarze, powiadomili swoich przełożonych o knowaniach obcej agentury. Takie postępowanie wystawia tym marynarzom dobrą opinię, opinię związanych ze swoją ojczyzną prawdziwych ludzi morza, którzy w obcych portach i w obcych krajach z godnością reprezentują swoją ojczyznę, Polskę Ludową. To uchroniło ich od uwikłania



przez wywiad obcego mocarstwa w działalność przeciwko swojemu państwu, zapewniło im poczucie bezpieczeństwa. Odtąd na takie na przykład statki jak m/s „Hevelius” czy m/s „Oleśnica” dla ludzi pokroju Pawelczyka trap został zdjęty. W odróżnieniu od nich były marynarz Ostrowski stał się zdrajcą, płatnym agentem amerykańskiego wywiadu. Od każdego swojego obywatela państwo ma prawo wymagać patriotycznej postawy. Źle natomiast jest, gdy nie może liczyć nawet na zwykłą uczciwość i lojalność. Oskarżonemu Ostrowskiemu nawet tej lojalności zabrakło. Wysoki Sądzie! Obaj oskarżeni, którzy w zupełności wyczerpali znamiona zarzuconych im zbrodni z artykułu siódmego małego kodeksu karnego, zasłużyli na potraktowanie ich czynów stosownie do stopnia zawinienia. Zastanawiając się nad całokształtem okoliczności niniejszej sprawy, weźmiecie zapewne pod uwagę, Obywatele Sędziowie, i to, że mocodawców obydwu oskarżonych, Stivena i Devisa, nie ma na ławie oskarżonych, choć im niewątpliwie należałoby się najbardziej „honorowe” miejsce. Rozważycie i przyjmiecie zapewne na korzyść oskarżonych, że obydwaj przyznali się do winy, że oskarżony Ostrowski okazał częściowy żal i skruchę, rozważycie jego warunki rodzinne. Kiedy jednak zastanawiać się będziecie nad karą, jaką należy wymierzyć oskarżonym, nie zapominajcie, Obywatele Sędziowie, o wielkiej szkodliwości czynów oskar-

zonych, o tym, że dopuścili się oni zbrodni karanej przez nasze ustawodawstwo i sądy niezwykle surowo, że tej zbrodni obaj oskarżeni dopuścili się jak najbardziej rozmyślnie, że dopuścili się tej zbrodni z chęci zysku. Indywidualizując winę i karę weźcie pod uwagę, Obywatele Sędziowie, że oskarżony Pawelczyk stał wyżej w hierarchii szpiegowskiej, że bez żadnych skrupułów działał na szkodę Polski, ziemi, na której się urodził, że pobierał za szpiegostwo stosunkowo wysoką opłatę, że w działalności swojej przejawiał wiele własnej inicjatywy, że to on wpędził w sidła wywiadu między innymi oskarżonego Ostrowskiego. Weźcie też proszę pod uwagę, że oskarżony Ostrowski, po odbytej służbie w marynarce wojennej, złamał przysięgę na wierność ojczyźnie, zdradził ją, odsłaniał jej tajemnice przed tymi, ze strony których naszemu socjalistycznemu państwu grozi stałe, potencjalne niebezpieczeństwo.

Sąd Marynarki Wojennej w Gdyni skazał P. Pawelczyka na 13 lat więzienia oraz przepadek mienia, a W. Ostrowskiego na 9 lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 5 lat oraz utratę mienia związanego z działalnością przestępczą. Obydwu oskarżonym zaliczono na poczet kary okres aresztu tymczasowego.

Charakterystyczne w obu sprawach, oprócz metody tzw. małych kroków, jest jednocześnie stosowanie przez wywiad różnorodnych środków

łącności z agentem oraz odbywanie z nim spotkań zarówno w miejscach publicznych, jak i w tajnych lokalach kontaktowych.

Mimo że sprawy te mają swoją „specyfikę morską” — Pawelczyk działał jako naganiacz wywiadu amerykańskiego w portach zachodnioniemieckich, a Ostrowski i, ostatni z tej trójki, Balcer byli marynarzami Polskiej Marynarki Handlowej — stanowią one przegląd stosowanych od lat sześćdziesiątych do dnia dzisiejszego metod i form pracy wywiadu amerykańskiego oraz jego zainteresowań. Przede wszystkim stanowią chyba doskonałą ilustrację taktyki pracy tego wywiadu z agenturą, poczynszyszy od typowania i przygotowywania kandydata do werbunku, poprzez sam proces werbunkowy i różne etapy pracy z agentem. W równym więc stopniu są to sprawy specyficznie morskie, co typowe i charakterystyczne dla współczesnego wywiadu przeciwnika.

\*

Sprawa Balcera była z wielu względów bardzo interesująca i pouczająca. Balcer był wieloletnim agentem wywiadu amerykańskiego. Przystąpił do współpracy z wrogiem wywiadem za granicą. Za granicą był szkolony, za granicą rozliczał się ze swych zadań i tam tracił swoje szpiegowskie honoraria.

W 1963 roku gdańska Służba Bezpieczeństwa



uzyskała informacje o podejrzanym zachowaniu trzeciego mechanika Gerarda Balcera. W obcych portach, zwłaszcza na Dalekim Wschodzie, prowadził on hulaszczy tryb życia, dysponował znacznymi sumami, których — jak zauważono — nie mógł uzyskiwać z handlu. Te nie znane źródła dochodu miał prawdopodobnie w Singapurze i Hongkongu, bowiem tam zwracał kolegom zaciągnięte podczas rejsu długie. W czasie ostatniego rejsu do Japonii Balcer w Hajfongu i w portach chińskich stale wychodził do miasta z nowoczesnym aparatem fotograficznym zakupionym rzekomo w Singapurze. W Hongkongu pozbył się tego aparatu. Jednemu z marynarzy dawał swego czasu do zrozumienia, że współpracuje z Interpolem. Kiedyś nawet powiedział mu wprost, aby „nie podskakiwał”, bo jego zdjęcie może łatwo trafić z odpowiednią notatką do rozgłośni „Wolna Europa”.

Gerard Balcer urodził się w 1932 roku w Toruniu. Jego ojciec, Otton, czuł się Niemcem i zawsze to podkreślał. Na własne żądanie w dowodzie osobistym miał wpisana narodowość niemiecką. W 1931 roku po odbyciu służby wojskowej został fotografem ulicznym w Toruniu. W latach 1933—34 ukończył w Berlinie sześciomiesięczny międzynarodowy kurs fotografów, finansowany podobno przez mieszkającą tam jego matkę Wiktorię Radke. Z matką Otton Balcer utrzymywał zresztą częste kontakty osobiste. Po ukończeniu wspomnianego kursu, już jako wy-

bitny fachowiec, rozpoczął pracę w należącym do zawodowego oficera WP zakładzie fotograficznym przy ul. Żeglarskiej. Znało go całe miasto. Ze swoim aparatem zjawiał się na wszystkich ćwiczeniach i manewrach jednostek WP stacjonujących w Toruniu, brał udział w uroczystościach rodzinnych oficerów toruńskiego garnizonu. Dzieje się tak, mimo iż — jak zeznała żona Balcera w 1968 roku — po jego powrocie z Berlina w 1934 roku „tajna policja polska żądała wydania jakichś dokumentów” i w związku z tym przeprowadziła w domu rewizję. Otton Balcer oprócz pasji fotografowania miał jeszcze jedno wielkie hobby — był zapalonym radioamatorem. Obok położonego na peryferiach Torunia skromnego domku, wśród owocowych drzew i krzewów, zbudował pięciometrową antenę na wzór anteny toruńskiej rozgłośni Polskiego Radia. Jak zeznaje jeden ze świadków, znających Balcera z tamtych lat, przyjaźnił się on z technikiem dentystycznym, niejakiem Maksymilianem Piechockim, który w 1935 roku został skazany za szpiegostwo na rzecz Niemiec. Podczas procesu Piechockiego Balcer „sprawiał wrażenie niespokojnego”. W sierpniu 1939 roku był poszukiwany przez polski kontrwywiad, udało mu się jednak uciec z Torunia do Warszawy, gdzie nadal był „fotografem”, brał nawet udział w kampanii wrześniowej. W polskim mundurze, w jednostce Wojska Polskiego. Tylko w jakim charakterze? Wczesną jesienią wrócił do Torunia

w mundurze SA i wkrótce przejął zakład fotograficzny przy ul. Mickiewicza, stanowiący dotychczas własność Polaków.

Po jakimś czasie został zmobilizowany i w stopniu podoficera wysłany na front wschodni. Służył w Estonii przy obsłudze radiowej lotniska. W 1944 roku rzekomo zdezerterował z wojska. Podobno w Toruniu poszukiwało go gestapo, ale przeczą temu listy do żony znajdujące się w aktach sprawy jego syna, Gerarda. Oto fragment jednego z nich, pisanego w... Karłowych Varach dnia 10 XI 1944 roku.

„Dziś po bardzo długim oczekiwaniu otrzymałem od Ciebie pierwszą wiadomość z Torunia. Serdecznie dziękuję Ci za to. Ja jestem zdrowy i mam nadzieję, że Ty także. Kochanie, gdybym dzisiaj nie otrzymał listu od Ciebie, poszedłbym do gestapo wysłać dalekopis do Artura (?), aby się dowiedzieć, co się z Tobą mogło stać. Wczoraj poprosiłem starszego sierżanta, aby zamówił mi rozmowę służbową z Toruniem. Połączenie otrzymałem, ale powiedziano mi, że od dłuższego czasu nikt Ciebie nie widział”.

Nawiązując do skarg żony zawartych w jej liście, Otton pisze dalej:

„Ona mnie dopiero pozna. Ty nie musisz przed nią padać na kolana i nie Ty jesteś jej poddaną. Ta poluska niech siedzi spokojnie, bo ją załatwię inaczej... Masz więc okazję jeszcze raz się przekonać, jak fałszywe są te polskie świnię. Tę całą hołotę należałoby wpakować do worka



i wrzucić do Wisły. Moja kochana, ja wiem, że ożeniłem się z ewangeliczką i reichsdeutschką. Opowiadałaś mi także, że za naszą ojczyznę siedziałas w więzieniu. Czego więc chce ta poluska?"

W 1945 roku Otton Balcer wraca do Torunia i zostaje aresztowany przez władze bezpieczeństwa. Zmarł po kilku miesiącach pobytu w więzieniu.

W Gdyni mieszkał jego rodzony brat. Od lat dwudziestych do... 1965 roku, tj. do chwili śmierci, był tam, jak go powszechnie nazywano, „kracem admirałskim”. Obraugiwał trzy pokolenia polskich oficerów. A jednocześnie... (?)

Po śmierci Ottona jego żona wyjechała do Wałbrzycha, Gerard natomiast — wówczas uczeń gimnazjum — pozostał w Toruniu. W 1949 roku wstąpił do nielegalnej organizacji młodzieżowej. Został aresztowany przez toruńskie władze bezpieczeństwa. Śledztwo umorzono, a młodzieńców oddano pod opiekę rodziców i nauczycieli oraz organizacji zetempowskiej.

Dla pełniejszego obrazu osobowości Balcera warto, wyprzedzając fakty, przytoczyć fragmenty jego listu pisanego z aresztu w dniu 20 czerwca 1968 roku (miesiąc po aresztowaniu) do Naczelniej Prokuratury Wojskowej:

„Obywatelu prokuratorze. W areszcie śledczym jestem traktowany bardzo dobrze i z pełnym humanitaryzmem, który nazwać można humanitaryzmem socjalistycznym. Nie stosuje się wobec

mnie żadnych metod śledczych praktykowanych w okresie wypaczeń. Pomimo to cierpię bardzo i miewam »chandry«, gnębi mnie żal do samego siebie, że przez swą lekkomyślność zgotowałem taki los swojej córce i żonie. Ojciec mój zginął w obozie przedrehabilitacyjnym w Toruniu, po wyzwoleniu. Ludzie, którzy go zamordowali, nie zrobili tego z polecenia władz PRL i zostali ukarani przez sąd. Zginął on w moim mniemaniu za zło, które światu, a szczególnie Polsce, wyraziły hitlerowskie Niemcy. Dlatego nigdy, chociaż odczułem to tragicznie, nie miałem żalu do ojczyzny. Dzięki nauczycielom i dobremu wychowaniu czułem się młodym obywatelem Państwa Polskiego. Naukę historii ojczystej, którą lubiłem ponad wszystko, przedstawiano wówczas — jak to dzisiaj mogę ocenić, z pominięciem zagadnień klasowych... Ponieważ nikt mnie nie poszukiwał, podjąłem pracę w Wałbrzyskich Zakładach Graficznych jako kierownik świetlicowy. Tam po raz pierwszy w życiu zetknąłem się ze zorganizowaną klasą robotniczą budującą socjalizm. Tam również po raz pierwszy w życiu przeczytałem książki teoretyków marksistowsko-leninowskich. Teoria socjalizmu jako ideologia przypadła mi do serca jako sprawiedliwa, a walka klasowa jako jedyna droga do ustroju sprawiedliwości. Chciałem koniecznie być jednym z bohaterów budownictwa w Polsce. Myśl, żeby być dobrym obywatelem PRL i budowniczym sprawiedliwego ustroju o równości

wszystkich ludzi, nie dawała mi spokoju. Pragnąłem być bohaterem”.

W 1951 roku Balcer rozpoczął naukę w Technikum Mechaników Morskich w Gdyni, które ukończył w 1954 roku.

Po ukończeniu technikum zeni się i podejmuje praktykę w Rybackiej Stoczni Remontowej w Świnoujściu. Czyni usilne starania o uzyskanie prawa pływania w PMH. W swoich interwencjach do najwyższych działaczy państwowych i społecznych powołuje się na aktywną pracę w ZMP i partii. Na przełomie lat 1954/55 odbywa skróconą służbę wojskową w Szczecinie i w tym czasie uzyskuje zgodę na pracę w Polskiej Marynarce Handlowej. W czerwcu 1956 roku wypłynął na m/s „Bytom” w pierwszy rejs na Daleki Wschód. Z wyjątkiem jednego sześciomiesięcznego rejsu do Ameryki Południowej do roku 1962 Balcer pływa wyłącznie na Daleki Wschód.

Oto jak sam przedstawia ten okres w cytowanym wyżej liście do Naczelnej Prokuratury Wojskowej:

„Marzyłem o służbie na morzu, nie zdając sobie sprawy, że Szkoła Morska, do której odbywał się nabór kandydatów, jest uczelnią kształcącą ludzi odwiedzających obce porty i że za swoją pracę otrzymują oni dewizy. O tych rzeczach dowiedziałem się dopiero na miejscu. W Szkole Morskiej kształtowała się w dalszym ciągu moja socjalistyczna świadomość. Wstąpiłem do ZMP.



Byłem pierwszym z jego aktywistów. Byłem szczęśliwy, że znalazłem się w społeczeństwie socjalistycznym. ...Na pierwszym roku studiów w Państwowej Szkole Morskiej poznałem swoją obecną żonę. Kochałem ją tak mocno, że nie byłbym w stanie zdradzić jej nawet w myślach. Żona moja była pracownicą fizyczną. Jest sierotą i z powodu ciężkich warunków materialnych musiała przerwać naukę w średniej szkole. Pocieszałem się tym, że po skończeniu Państwowej Szkoły Morskiej będę w stanie zmienić jej życie na lepsze, że założę nową, socjalistyczną i szczęśliwą rodzinę. Niestety po ukończeniu Szkoły Morskiej nie dano mi »prawa pływania na statkach PMH«, nie przyznano mi praw przysługujących absolwentom Szkoły Morskiej. Zostałem od tego społeczeństwa, które kochałem, odtrącony z powodu mego pochodzenia. Pomimo wszystko nie poddałem się. W Świnoujściu, gdzie pracowałem z nakazu pracy, wstąpiłem do partii. Byłem przewodniczącym ZMP tego zakładu. Waleczyłem z kliką w tym przedsiębiorstwie, zgodnie z moim socjalistycznym sumieniem. Za moją bojową postawę cierpiała moja żona i dziecko, gdyż »klika« nigdy za moje »rozrabianie« nie dawała mi premii. Byłem głodnym idealistą, socjalistycznym aktywistą. Jednocześnie walczyłem o prawa przysługujące absolwentom Państwowej Szkoły Morskiej. W tych ciężkich dla mnie chwilach, niejednokrotnie rozgorzyczony, traćcielem ducha rewolucyjnego. Miałem pretensje

do świata, dlaczego nie urodziłem się w rodzinie rewolucjonisty. Dlaczego w ustroju socjalistycznym, którego teoria tak bardzo przemawiała mi do serca, istnieje tyle niesprawiedliwości. Dlaczego z powodu mojego nieszczęśliwego pochodzenia muszę cierpieć ja, moja żona i dziecko. Ten stan rzeczy zmienił się po XX Zjeździe KPZR. Zwrócono mi prawo przysługujące absolwentom Szkoły Morskiej. Kiedy większość moich kolegów szkolnych była już oficerami PMH, ja zaczynałem od węglarza. Mimo tych gorzkich doświadczeń, mimo doznanych niesprawiedliwości byłem zdyscyplinowanym marynarzem i członkiem partii, chociaż moja świadomość polityczna uległa osłabieniu — w myśl zasady »byt kształtuje świadomość«. Wyjechałem w swój pierwszy rejs. Był to statek z załogą »piracką«. Marynarze zajmowali się handlem między portami, chodzili na dziwki. I tak zostałem powoli wciągnięty w wir tego, co muszę raczej nazwać swoją katastrofą życiową”.

Po zebraniu pełnej charakterystyki Balcera i prześledzeniu jego drogi życiowej oficer prowadzący sprawę postanowił poznać go osobiście i w bezpośredniej rozmowie zweryfikować swoje pojęcie o nim, a także, ewentualnie, wyjaśnić z nim owe podejrzenia. Tego rodzaju przedsięwzięcia — jak przekonałem się na licznych przestudiowanych przykładach — nie są bynajmniej „zagrywkami” taktycznymi naszej Służby Bezpieczeństwa. Stanowią trwały element jej za-

pobiegawczo-wychowawczej funkcji. Są wielką szansą, niekiedy ostatnią szansą, dla ludzi zabłąkanych, omotanych przez wrogie siły, często nieświadomie balansujących nad przepaścią.

Do spotkania doszło 17 grudnia 1963 roku. Jako pretekst posłużyło ujawnienie przemytu złota na statku, na którym Balcer ostatnio pływał. Udali się do kawiarni „Agawa”. Po obejrzeniu legitymacji służbowej oficera Balcer wykazał spore zdenerwowanie. Minęło ono natychmiast, kiedy dowiedział się, jaki jest cel tego spotkania.

O złocie — tak, słyszał. Należało podobno do drugiego mechanika i kapitana statku, ale bliższych szczegółów tej sprawy nie zna. W portach zachodnich nic ciekawego nie zauważył. Rzadko tam bywa. W RFN ma nawet rodzinę, ale nie utrzymuje z nią kontaktów. Również w portach Dalekiego Wschodu nie stwierdził nic godnego uwagi. Chętnie natomiast byłby do dyspozycji swego rozmówcy. Gotów jest wykonać z poświęceniem każde zadanie. Mógłby na przykład fotografować obiekty i jednostki wojskowe w RFN. Zna się na tym, ma świetny aparat, nie stwarzałoby mu to żadnych kłopotów.

Balcer mówił też o swoim zainteresowaniu kulturą Dalekiego Wschodu, o łatwości, z jaką uczy się języków obcych, o znajomości malajskiego i japońskiego. Tym też tłumaczył swoje zainteresowanie pływaniem na tej linii. W Azji, przeszedł na zwierzenia, można się wyżyć. Kobiety



są tam ładne i tanie Nawet podczas sześciotygodniowego pobytu w szpitalu w Singapurze na przełomie 1956/57 roku (owrządzenie dwunastnicy) nie narzekał na samotność. Odkrył „bratnią duszę” w angielskiej nauczycielce. Stara znajomość. Teraz jest w Anglii.

To wszystko. Kieliszek na rozstanie. Żadnych zobowiązań na przyszłość. Oferta „współpracy” została zbyta przez pracownika milczeniem, „nie-dostrzeżona”, podobnie jak delikwent nie dostrzegł w fakcie i charakterze tego spotkania ogromnej dla siebie szansy. Szansy samooczyszczenia. Nie dostrzegł tej szansy, czy nie chciał z niej skorzystać? Na to pytanie odpowiedź musiały przynieść wieloletnie, żmudne czynności operacyjne, podjęte przez kontrwywiad, czynności, do których zaangażowano wielu ludzi i wiele środków...

Wkrótce Balcer popłynął znowu w świat, zgodnie ze swym marynarskim powołaniem. Kontrwywiad starał się odtąd śledzić i dokumentować każdy jego krok, zachowanie, zainteresowania, kontakty. Poszczególne tomy tej sprawy stanowią pasjonującą lekturę. Cóż z tego, skoro nie można ich ujawnić. Były one przedmiotem rozważań i oceny Sądu Marynarki Wojennej w Gdyni w dniach 18—21 grudnia 1968 roku, który skazał Gerarda Balcera na 10 lat pozbawienia wolności, utratę praw publicznych na okres 5 lat oraz przepadek części mienia. Można natomiast przytoczyć fragmenty pisemnego oświad-

czenia Gerarda Balcera sporządzonego przez niego wkrótce po aresztowaniu pod zarzutem działalności szpiegowskiej. Fakty w tym oświadczeniu zawarte zostały w dużej mierze potwierdzone przez kontrwywiad i opisane w materiałach dowodowych przedstawionych sądowi przez gdańską Służbę Bezpieczeństwa.

„W 1959 roku zamustrowany zostałem w charakterze asystenta maszynowego na statku m/s »Ceynowa«, który pływał na linii dalekowschodniej. W czasie pierwszego mojego rejsu na tej jednostce, w drodze powrotnej do kraju, zawinęliśmy do portu Rotterdam. Ja wcześniej pożyczylem od asystenta maszynowego około 20 dolarów i on teraz zażądał, bym mu je zwrócił. Ja nie miałem już swoich pieniędzy i w związku z tym postanowiłem zaangażować się do współpracy z wywiadem amerykańskim. W ten sposób chciałem zarobić dodatkowo pieniądze. W związku z tym, że nie chciałem przekazywać informacji o Polsce, a jedynie wiadomości dotyczące krajów Dalekiego Wschodu, byłem przekonany, że najbardziej zainteresowany nimi będzie wywiad amerykański. W związku z tym będąc w Rotterdamie udałem się do ambasady amerykańskiej. Szukając tej ambasady znalazłem w centrum konsulat amerykański w pobliżu sklepu z obuwiami »Huff«. Po wejściu do tego konsulatu, w czym nikt mi nie przeszkodził, zacząłem szukać oddziału wojskowego. W pewnej chwili osoba obsługująca windę zapytała, czego

szukam. Odpowiedziałem w języku angielskim, że »Military Department«. Na to windziarz zapytał, czy chodzi o lotnictwo, czy też o marynarkę wojenną. Odpowiedziałem, że o marynarkę wojenną, a wtedy on wskazał mi pokój, do którego mam wejść. Na drzwiach tego pokoju był jakiś napis, lecz nie pamiętam obecnie jaki. Po wejściu zastałem tam siedzącą kobietę, na której pytanie odpowiedziałem, że chcę się zobaczyć w sprawie prywatnej z szefem tego oddziału. Spytała, kogo ma zameldować, a ja jej podałem zmyślane angielskie nazwisko, którego obecnie nie pamiętam. Kobieta ta weszła do następnego pokoju i po chwili poprosiła mnie, żebym tam przeszedł. W pokoju tym siedział mężczyzna w cywilu, na ścianach znajdowały się: flaga amerykańska, portret prezydenta i godło USA. Po wejściu powiedziałem temu mężczyźnie, że jestem obcokrajowcem i przychodzę w delikatnej sprawie, gdyż chciałbym nawiązać współpracę z wywiadem amerykańskim. Mężczyzna powiedział mi jedynie, że jest oficerem marynarki wojennej (rozmowę z nim i z wszystkimi osobami, z którymi się kontaktowałem w późniejszym czasie prowadziłem w języku angielskim) i wyszedł z pokoju, mówiąc, że te sprawy nie leżą w jego kompetencji, jednak pójdzie się zapytać, czy ktoś jest tym zainteresowany. Po pewnym czasie wrócił i zaprowadził mnie na ostatnie piętro konsulatu, gdzie znajdowało się prywatne mieszkanie. W pokoju tym przebywał inny mę-



czynna, z którym rozpocząłem rozmowę. Ja przed nimi nie chciałem ujawnić mojego prawdziwego nazwiska i z jakiego państwa pochodzę. Powiedziałem jedynie, że jestem marynarzem, zawijam do różnych portów i mogę im dostarczyć pewnych informacji, o ile takie ich interesują. Jednak mężczyźni ci powiedzieli, że przed jakąkolwiek rozmową na ten temat muszę przekazać im swoje dane personalne i przedstawić jakiś dokument. Ja w dalszym ciągu targowałem się z nimi, nie chcąc podać mego prawdziwego nazwiska. Jednak oni zdecydowanie stwierdzili, że w takim razie nie mają ze mną o czym rozmawiać. Wówczas podałem swoje nazwisko, imię oraz nazwę statku. Ten mężczyzna, do którego mnie przyprowadzono, spisał sobie te dane i prosił, bym przedstawił jakiś dokument. Wówczas powiedziałem, że nie mam przy sobie żadnego dokumentu, co było zgodne z prawdą. Stwierdzili, że taki dokument będę musiał im przedstawić w czasie następnego spotkania. Potem zapytano mnie, dlaczego zwróciłem się do nich, a nie do innego wywiadu, np. angielskiego czy niemieckiego. Odpowiedziałem, że nie chcę pracować przeciwko Polsce i nie chcę dostarczać informacji o Polsce, mogę natomiast przekazywać informacje o Chinach, a tymi najbardziej zainteresowany może być wywiad amerykański. Następnie mężczyźni ci zapytali, czy mój statek zawija do Szanghaju i innych portów chińskich. Odpowiedziałem, że do Szanghaju zawijamy pra-

wie w każdym rejsie. Powiedzieli mi, że Szanghaj ich bardzo interesuje i że na ten temat mogą ze mną porozmawiać, jednak przedtem muszę przynieść im książeczkę żeglarską. Zaproponowali mi spotkanie tego samego dnia wieczorem koło rotterdamskiego banku. Zgodziłem się na to, jednak powiedziałem, że jestem bez pieniędzy i chciałbym, żeby mi dali jakąś sumę. Wówczas otrzymałem od tego mężczyzny, z którym rozmawiałem w biurze, 30 dolarów. Wręczając mi te pieniądze oświadczył, że traktuje to jako pożyczkę, którą mu zwrócę. Wyszedłem z konsulatatu i udałem się na statek, gdzie oddałem dług. Wieczorem zabrałem ze sobą książeczkę żeglarską i udałem się na umówione spotkanie. Czekał na mnie ten mężczyzna z ostatniego piętra konsulatatu. Poszliśmy do ekskluzywnej kawiarni w centrum miasta, której nazwy nie pamiętam. Dodaje, że otrzymanych poprzednio 30 dolarów nie kwitowałem. W kawiarni mężczyzna ten poprosił mnie o książeczkę żeglarską, którą przejrzał dokładnie i zwrócił mi. Następnie wyjął z teczeki kwestionariusz w formie ankiety personalnej i pytając mnie wpisywał odpowiednie dane. Do ankiety tej podałem następujące dane zgodne z prawdą: moje nazwisko i imię, datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców, imię żony, nazwisko panięskie żony, imię córki, wiek córki i żony, miejsce mojej pracy, dane o moich braciach. O moich braciach podałem co następuje: ich imiona, wiek, adresy zamieszkania. Ich wiek

i miejsce zamieszkania podalem ogólnie. Następnie ankietę tę kazał mi podpisać moim prawdziwym nazwiskiem. W ankiecie tej nie było mowy o współpracy z wywiadem. Następnie mężczyzna powiedział, że musi sprawdzić te dane, co potrwa jakiś czas, i w związku z tym polecił mi, bym w czasie następnego pobytu w Rotterdamie zadzwonił do amerykańskiego konsulatu i poprosił do telefonu Jana de Kuypersa. Nazwiska tego nie pozwolił mi zapisać. Powtarzałem je tylko kilkakrotnie, aby dobrze zapamiętać. Numer telefonu konsulatu miałem wziąć z książki telefonicznej. W czasie pobytu w tej kawiarni obserwowali nas. Na tym rozmowa się skończyła i ja udałem się na statek. Dokładnie nie pamiętam, ale prawdopodobnie ja pierwszy wyszedłem z kawiarni. Statek »Ceynowa« przyplynał do kraju i po pewnym czasie znów ruszył na Daleki Wschód. Teraz bezpośrednio po wyjściu z Gdyni zawinął do portu w Rotterdamie. Wyszedłem na ląd i poszukałem w książce telefonicznej numeru konsulatu amerykańskiego. Telefon odebrała nie znana mi osoba, która na moją prośbę poprosiła do aparatu Jana de Kuypersa. Z nim umówiłem się na spotkanie koło rotterdamskiego banku. O określonej porze stawilem się w wyznaczonym punkcie i stamtąd przeszliśmy do konsulatu, do tego samego pokoju na ostatnim piętrze. Tam powiedział mi, że już się więcej ze mną w Rotterdamie nie będzie spotykał. Polecił mi, bym po przyplynięciu do



Yokohamy udał się o określonej godzinie przed »International Hotel«, gdzie ktoś na mnie będzie czekał. Ponadto podał mi adres awaryjny, pod który miałem pisać, jeśli się nie spotkam z jego ludźmi. Był to adres: Jan de Kuyper New York N.Y.1 P. BOX. Przy tym był jakiś numer trzy-cyfrowy, którego nie pamiętam. Adresu tego również nie zapisywałem, ale go pamiętałem. Na tym rozmowa się skończyła i ja wróciłem na statek. Następnie dotarliśmy do Japonii do portu Yokohama. Ja nikomu nie mówiłem o moich rozmowach z pracownikami wywiadu amerykańskiego. Po przyplynięciu do Yokohamy zgodnie z umową udałem się pod »International Hotel«. Tam podeszło do mnie dwóch mężczyzn, których poprzednio nigdy nie widziałem. Zapytali mnie, czy jestem panem Balcerem. Po mojej twierdzącej odpowiedzi pojechaliśmy z nimi tak-sówką do jakiegoś małego hotelu w pobliżu portu. Rozmowę przeprowadziliśmy w pokoju hotelowym. Na początku powiedzieli mi, że rozmawiają ze mną na polecenie Jana Kuypera. Następnie wyjęli ze swoich walizeczek mapy rzeki Szanghaj z zaznaczonym odcinkiem od wejścia do rzeki do portu Szanghaj. Ponadto wyjęli różnego rodzaju zdjęcia fotograficzne tego odcinka oraz kilka plastikowych modeli samolotów. Dalsza rozmowa z nimi miała charakter szkoleniowy. Na modelach wskazywano mi, czym się różni jeden samolot od drugiego, na zdjęciach i na mapie pokazywano szczegóły, któ-

rymi powinienem się interesować. Powiedzieli mi, że przy wejściu do rzeki Szanghaj znajduje się miejsce postoju torpedowców klasy „Szanghaj” i zażądali, żebym uchwycił kilka numerów okrętów tam stojących, określił ich liczbę i opisał sylwetki. Następnie polecili mi, bym sprawdził, płynąc w górę rzeki, czy widoczne jest lotnisko, które miało znajdować się w miejscu wskazanym przez nich na mapie. Miałem również zaobserwować, jakie okręty lub statki chińskie znajdują się na tym odcinku rzeki. W końcu zaproponowali, że dadzą mi aparat fotograficzny, którym będę mógł robić zdjęcia ważniejszych obiektów, oraz puszkę z podwójnym dnem, w której mógłbym chować swoje zapiski. Odmówiłem przyjęcia tych przedmiotów, tłumacząc, że Chińczycy dokładnie kontrolują marynarzy, a te przedmioty, ujawnione, mogłyby służyć jako dowody przeciwko mnie. Pod koniec tej rozmowy jeden z nich dał mi 60 dolarów, nie żądając pokwitowania i wyjaśniając, że daje mi to na zabawę w Yokohamie, i wykonał mi zdjęcia aparatem »Polaroid«, mówiąc, że to jest konieczne do rozpoznania. Żegnając się ze mną, polecili mi jeszcze, bym w drodze powrotnej z Yokohamy, gdy będę w Singapurze, udał się do hotelu »Raffles«. Miał tam spotkać się ze mną któryś z nich, względnie ktoś inny. Jemu miałem przekazać informacje, które zdobędę w czasie pobytu w Szanghaju. Rozmowa nasza trwała około godziny. Za otrzymane pieniądze kupiłem w Yo-

końcówce aparat fotograficzny »Minota«, który kosztował 30 dolarów. Pozostałe trzydzieści wydałem na zabawę. Z Yokohamy statek nasz płynął do Szanghaju, czy były inne porty chińskie, tego nie pamiętam.

Kiedy byliśmy na rzece Szanghaj, próbowałem robić zdjęcia dostrzeżonych obiektów, jednak po pokładzie chodził żołnierz i nie udało mi się wykonać ani jednego. Następnie zawiniliśmy do Singapuru. Udałem się, zgodnie z umową, do hotelu »Raffles«. Tam do mnie podszedł nie znany mi mężczyzna, który zapytał, czy jestem Balcer. Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź zaprowadził mnie do jednego z hotelowych pokoi. Tam wyjął moje zdjęcie i pokazał mi je. Było to zdjęcie wykonane w Yokohamie. Następnie rozłożył mapę dalszego biegu rzeki Szanghaj i kazał mi wskazać to, co zauważyłem w czasie mojego pobytu. Był bardzo dobrze poinformowany o tym, co znajduje się na wskazanym odcinku rzeki, gdyż kilkakrotnie naprowadzał mnie w rozmowie na poszczególne obiekty. Ja mu wówczas przekazałem numery okrętów, które zauważyłem, opisałem ich sylwetki i określiłem miejsce postoju. Wszystkie te dane mężczyzna nanosił na mapę. Przekazałem mu również kartkę z zapisanymi numerami okrętów. Kazał mi ją podpisać jakimś imieniem, które sam mogę obrać. Ja podpisałem imieniem Johnny. Od tego czasu był to mój pseudonim, do którego później dodałem nazwisko Backer. Ten mężczyzna po-



wiedział mi, że następnym razem spotka się ze mną w tym samym hotelu. Jeślibym zmienił statek, to miałem o tym napisać na adres do Nowego Jorku, który otrzymałem w Rotterdamie od Kuypera. Następnie wypłacił mi w walucie singapurskiej równowartość 100 dolarów. Odbiór tych pieniędzy pokwitowałem mu na czeku, podpisując się Johny. Mężczyzna pochwalił mnie, powiedział, że jak na początek wywiązałem się z zadania dobrze. Żadnych nowych zadań nie otrzymałem. Miałem się w dalszym ciągu interesować tym, co mi wskazano w Yokohamie. Na tym nasza rozmowa, która trwała około godziny, skończyła się.

Rysopisów dokładnie nie mogę podać, gdyż wszyscy byli mniej więcej w tym samym wieku i mniej więcej tak samo wyglądali. W drodze do kraju już się z nikim nie spotkałem i nie wysyłałem pod wskazany adres żadnej korespondencji. Ten mężczyzna w Jokohamie w swobodnej rozmowie zapytał mnie, jaki ładunek wiezie nasz statek. Ja powiedziałem, że dokładnie nie wiem, że chyba wieziemy jakąś drobnicę. Powiedziałem, że specjalnie tym się nie interesuję, gdyż mnie jako mechanika nic to nie obchodzi, a moje ewentualne zainteresowanie się ładunkiem mogłoby być podejrżane.

Po powrocie do kraju nikomu nie mówiłem o mojej współpracy z wywiadem amerykańskim. Po krótkim postoju w Gdyni wypłynąłem w trzeci rejs na m/s »Ceynowa«. W jednym z portów

europiejskich wysłałem list do Nowego Jorku, w którym napisałem, że nie zmieniłem statku i że spotkamy się w Singapurze w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Wywiad amerykański wiedział, że pływam na statku m/s »Ceynowa«. Po przybyciu do Singapuru udałem się do hotelu »Raffles«. W hallu spotkałem pracownika wywiadu amerykańskiego, tego samego, z którym rozmawiałem w Singapurze podczas poprzedniego rejsu. Ten człowiek zawiózł mnie swoim samochodem do prywatnego mieszkania, które znajdowało się w pobliżu cywilnego lotniska. Tutaj mężczyzna ten mi zakomunikował, że Chińczycy są w dalszym ciągu aktualni i że on o nich ma zbierać informacje. Następnie powiedział mi, że m/s »Ceynowa« prawdopodobnie idzie do Hajfongu, co potwierdziłem, więc polecił mi, abym kupił trochę tamtejszej waluty. Otrzymałem na ten cel jakąś sumę pieniędzy w dolarach, lecz nie pamiętam ile. Ponadto miałem ustalić, jakie stosunki panują w mieście Hajfong, to znaczy, czy można się tam swobodnie poruszać, czy istnieje czarny rynek itp. Zapytał mnie również, jaki ładunek wieziemy. Odpowiedziałem, że o ile ja się orientuję, to jakieś części maszyn, gdyż ładunek składa się z dużych skrzyń. Mężczyzna kazał mi też ustalić, jakiego rodzaju samochody ciężarowe znajdują się w obrębie miasta — dwukołowe (podwójne) czy pojedyncze — oraz jakie ładunki przewożą. Powiedział również, że gdybym w Hajfongu zoba-

czył jakieś okręty wojenne, to mam zapisać ich numery, sylwetki, uzbrojenie. Kończąc rozmowę, powiedział, że jeśli z Hajfongu zawiniemy bezpośrednio do Hongkongu, to mam się udać przed gmach YMCA, gdzie przyjdzie jeden z ich pracowników. Na tym rozmowa nasza się skończyła i ja taksówką wróciłem do miasta.

Z Singapuru popłynęliśmy do Hajfongu. Sprzedałem tam kilkanaście par skarpetek i kilkanaście krawatów i w ten sposób zdobyłem »dongi«. Potem obszedłem port i zapamiętałem sobie, jakie statki tam stoją i jaki ładunek leży na nabrzeżach. Pamiętam, że w porcie stał między innymi statek radziecki, a na nabrzeżach leżały różne części maszyn. Okrętów wojennych nie było. Z Hajfongu przy płynęliśmy do Hongkongu. Udałem się przed gmach YMCA, jednak tego dnia nikt się tam ze mną nie skontaktował. W związku z tym zatelefonowałem do konsulatu amerykańskiego, podałem mój pseudonim i oznajmiłem, że czekałem w umówionym miejscu, ale nikt się nie zgłosił. Powiedziano mi, że bym za jakiś czas poszedł tam raz jeszcze. Kiedy wróciłem pod gmach YMCA, podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czy jestem Johny. Potwierdziłem i on polecił mi, bym szedł za nim w pewnej odległości. W ten sposób doszliśmy do hotelu, który znajduje się w pobliżu »Café Shop«. Mężczyzna wprowadził mnie do pokoju. Na wstępie powiedział, że przełożeni mają do mnie pretensję, że na spotkania przychodzę za późno



albo za wcześniej, a ponadto telefonuję do konsulatu, czego nie wolno mi robić. Ostrzegł, że jeśli to się powtórzy, to będą musieli zerwać ze mną współpracę. Następnie wyjął z walizki mapę miasta i portu Hajfong, a ja pokazałem mu miejsce postoju statków w porcie oraz opowiedziałem o sytuacji w mieście. Pytał również, jaki ładunek przywiozły do Hajfongu wskazane przeze mnie statki. Wyjaśniłem, że tak samo jak nasz jakieś części maszyn. Odpowiadając na jego pytanie, powiedziałem, że na naszym statku była grupa Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli, która sprawdzała, co nasz statek przywiózł do Hajfongu. Zapytał mnie wtedy, czy nie znam w Hajfongu jakiejs osoby, która nawiązałaby z nimi kontakt. Odpowiedziałem przecząco. Przekazałem mu również pewną ilość »dongów« wietnamskich, lecz ile nie pamiętam. Na zakończenie otrzymałem równowartość 100 dolarów w walucie Hongkong, które pokwitowałem podpisując Johnny. Moje zadania się nie zmieniły i w dalszym ciągu miałem zbierać te same informacje co poprzednio. Ponadto od tego człowieka otrzymałem nowy adres kontaktowy w Singapurze. Otóż podał mi on numer telefonu i nazwisko właściciela warsztatu radiotechnicznego, do którego miałem zadzwonić po przybyciu do miasta, przedstawić się jako Johnny Backer i powiedzieć, że mam radio do naprawy o określonej marce. Na to hasło miałem otrzymać odpowiedź, żebym je przywiózł,

przy czym on powinien określić godzinę. Po tym telefonie pod hotel »Raffles« miała przyjechać czarna limuzyna typu Sedan.

Po powrocie z Szanghaju, w którym wykonałem takie same zadania jak w poprzednich rejsach, zadzwoniłem do warsztatu radiotechnicznego. Miałem z tym trochę kłopotu, bo nie pamiętałem numeru telefonu, ale na szczęście zapamiętałem nazwisko jego właściciela — brzmiało ono Che Lumb — więc znalazłem go w książce telefonicznej. Telefon odebrała kobieta. Poprosiłem ją o przywołanie do telefonu męża, ale ona powiedziała, że męża nie ma, i zapytała, o co chodzi. Podalem umówione hasło i przedstawiłem się jako Johny Backer. Ona kazała mi to radio przywieźć do warsztatu. Skończyłem na tym rozmowę i zgodnie z umową udałem się do hotelu »Raffles«. Jednak nikt tam do mnie nie przyszedł. Jak zawsze miałem przy sobie notatki dotyczące okrętów wojennych i różnych obiektów znajdujących się w Szanghaju, dlatego koniecznie chciałem się spotkać z pracownikiem wywiadu. Niewiele myśląc, poszukałem w książce telefonicznej numeru do konsulatu amerykańskiego i zatelefonowałem tam. Powiedziałem, że chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym. Przedstawiłem się jako Johny Backer i wyjaśniłem, że miałem umówione spotkanie, ale w wyznaczone miejsce nikt nie przyszedł. Dyżurny poprosił mnie, żebym zadzwonił za godzinę. Gdy po godzinie zgłosiłem się ponownie, kazano mi przyjść

do konsulatu. Tam rozmawiał ze mną starszy mężczyzna, któremu powiedziałem, że współpracuję z wywiadem amerykańskim i mam materiały z Szanghaju, których nie chcę wieźć ze sobą dalej. Ponadto zazaczyłem, że jestem bez pieniędzy. Mężczyzna odebrał ode mnie notatki i dał mi 200 dolarów, które pokwitowałem. Nie otrzymałem od niego żadnych poleceń. Po wyjściu z konsulatu udałem się do dzielnicy rozrywkowej, gdzie mniej więcej połowę tych pieniędzy straciłem. Z Singapuru wróciłem do kraju, nie spotykając się już po drodze z pracownikami wywiadu. W styczniu 1961 roku jako czwarty mechanik zostałem zaokrętowany na m/s »Beniowski« i wyruszyłem w pierwszy na tym statku rejs do Chin. W czasie pierwszego postoju w jednym z portów zachodnioeuropejskich napisałem list do Nowego Jorku pod adres, który otrzymałem od Jana de Kuypera. Informowałem w nim adresata, że płynę na statku m/s »Beniowski« do Chin i że w drodze powrotnej chciałbym kogoś spotkać w Singapurze. List podpisałem moim pseudonimem.

Podczas tego rejsu statek był dwukrotnie w Szanghaju, zawinął również do portu chińskiego Dairen, ale do Singapuru nie dotarł. Poszedł natomiast do Australii. W Szanghaju i Dairen zebrałem interesujące wywiad amerykański informacje i chciałem je jak najszybciej przekazać oraz otrzymać zapłatę. W związku z tym w australijskim porcie udałem się do konsulatu amery-



kańskiego, ale tam nie chciano ze mną na te tematy rozmawiać. W tej sytuacji przed ponownym wypłynięciem do Chin wyrzuciłem moje notatki, ale przedtem wykułem na pamięć to, co miałem na nich zapisane. W końcu »Beniowski« zawinął do Singapuru. Natychmiast udałem się do hotelu »Raffles«, gdzie spotkałem pracownika wywiadu amerykańskiego, z którym się zwykle kontaktowałem. Pracownik ten zaprowadził mnie do pokoju hotelowego i zaczął wypytywać, co było przyczyną zmiany trasy statku. Wyjaśniłem mu, że wieźliśmy pszenicę z Australii do Chin. Następnie przekazałem mu materiały zebrane w czasie dwukrotnego pobytu w Szanghaju. Za te informacje otrzymałem 100 dolarów i pokwitowałem ich odbiór. I wtedy pracownik ten powiedział, że po raz ostatni ostrzega mnie, bym nie chodził do konsulatów i ambasad amerykańskich. Jeżeli to się powtórzy, powiedział, to zerwie ze mną współpracę. Ustaliliśmy zatem, że o zmianie statku, moim pobycie na Dalekim Wschodzie i przewidywanej trasie będę zawiadamiał listownie. Adres w Nowym Jorku był wciąż aktualny.

M/s »Beniowski« wrócił do kraju i wkrótce został skierowany do stoczni w Alborgu. Ja dość często chodziłem do »Baru Roxi«, znajdującego się blisko stoczni. Któregoś dnia podszedł do mnie nie znany mi mężczyzna i powiedział: »Johny, mam z tobą do pogadania«. Zorientowałem się, że jest to ktoś z wywiadu amery-

kańskiego, gdyż nikt inny nie znał mego pseudonimu. Mężczyzna ten zabrał mnie do hotelu w Alborgu, gdzie pokazał moje zdjęcie wykonane w Yokohamie. Dał mi około 10 pigułek, mówiąc, że służą one do wywoływania tajnopisów. Z jego słów wynikało, że wywiad amerykański chciał mi przekazywać polecenia drogą korespondencyjną, używając tajnopisów. Aby odczytać utajony tekst, miałem rozpuścić jedną z otrzymanych tabletek i roztworem tym posmarować kartkę. Pod wpływem roztworu ukryty dotychczas tekst stawał się widoczny. Od mężczyzny tego otrzymałem 200 dolarów USA, które pokwitowałem. Pytał on też, jak długo nasz statek będzie stał w stoczni, lecz ja nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Poleciał mi więc, abym zebrał dokładne informacje o potencjale technicznym i kadrowym tej stoczni, co się w niej robi, o kadrze inżynierskiej i robotnikach, działaczach związków zawodowych (dążyć do zbliżenia z nimi, dać dokładne charakterystyki) i atmosferze politycznej. Na tym nasza rozmowa się skończyła. Po pożegnaniu się z tym mężczyzną udałem się do »Roxi Bar«, a następnego dnia stwierdziłem, że otrzymane wczoraj pigułki zniknęły. Po zakończeniu remontu wróciłem do Polski i z »Beniowskiego« zmustrowałem. W styczniu 1962 roku zamustrowałem na statek m/s »Kochanowski«, na którym pływałem do czerwca 1962 roku. Na statku tym z Jugosławii, gdyż tam on był budowany, popłynąłem do Brazylii,

skąd natychmiast wysłałem list do Nowego Jorku. Wyjaśniłem w nim, że jestem na statku »Kochanowski« i przebywam w Brazylii. Chciałem się z nimi spotkać, by wytłumaczyć, że zginęły mi pigułki otrzymane w Alborgu... W 1962 roku pływałem na statku s/s »Narwik«. W charakterze drugiego mechanika odbyłem jeden rejs do USA, ale nie skontaktowałem się z pracownikami wywiadu. W październiku 1962 roku zamustrowałem na m/s »Ceynowa« i znów popłynąłem na Daleki Wschód.

W czasie tego rejsu z jednego z portów zachodnioeuropejskich wysłałem list do Nowego Jorku. Napisałem w nim, że płynę na m/s »Ceynowa« na Daleki Wschód i chcę się z kimś spotkać w Singapurze. W drodze powrotnej z Chin, w Singapurze, w hotelu »Raffles« spotkałem starego znajomego. To jemu zawsze przekazywałem zebrane w Chinach wiadomości. Teraz otrzymałem 100 dolarów, które pokwitowałem. Ów człowiek pytał mnie, jaką trasą płyniemy i jaki wieziemy ładunek. Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą, ale właściwie niewiele na ten temat wiedziałem. Na zakończenie rozmowy pracownik wywiadu powiedział, bym dalej zbierał wiadomości o Chinach i spotkał się z nim w Singapurze w czasie następnego rejsu... Po powrocie do kraju nikomu nie mówiłem o mojej współpracy z wywiadem amerykańskim.

W czasie kolejnego rejsu na m/s »Ceynowa«, w Singapurze lub w Hongkongu, otrzymałem list



wysłany na moje prawdziwe nazwisko, lecz zaczynał się on od »kochany Johnny«. Pisała do mnie jakaś dziewczyna z Japonii. Uważam, że list ten zawierał tajnopis, którego jednak ja nie mogłem wywołać, gdyż nie miałem tych pigułek. W związku z tym, że nie wiedziałem, co jest w tym liście, chciałem porozmawiać z pracownikami wywiadu. W tym celu udałem się do konsulatu amerykańskiego w Hongkongu. Pracownik tego konsulatu, z którym już poprzednio się kontaktowałem — rudawy, w okularach — kazał mi pójść na stare miejsce spotkań przed YMCA. Po pewnym czasie przyszedł tam pracownik wywiadu i powiedział, że kończą ze mną współpracę, gdyż mają już lepsze źródła informacji. Na jego polecenie podpisałem zobowiązanie, że zachowam w tajemnicy fakt, iż współpracowałem z wywiadem amerykańskim. Na zakończenie otrzymałem 100 dolarów tytułem odpłaty. Zobowiązanie o zachowaniu w tajemnicy faktu współpracy musiałem podpisać swoim prawdziwym nazwiskiem. Pożegnałem się i wróciłem na statek.

Kiedy pływałem na m/s »Djakarta«, wdałem się w rozmowę z ... Ten powiedział, żeby mu się postarał o jakąś robotę, na której mógłby zarobić. Wówczas przyznałem się, że współpracuję z wywiadem amerykańskim, że przekazuję mu informacje o Chinach, za co otrzymuję pieniądze. Wspomniałem też, że jeśli on chce również nawiązać taką współpracę, to mogę im jego

nazwisko podać. Wyraził na to zgodę. Poprosiłem go jednak, by pracownikom wywiadu nie mówił o naszej rozmowie. Podczas następnego spotkania z pracownikiem wywiadu w Hongkongu przekazałem mu nazwisko i stanowisko tego marynarza, zaznaczając, że moim zdaniem zgodzi się on na współpracę z nimi. Dopiero po tym fakcie nastąpiło zerwanie współpracy ze mną.

Po powrocie do kraju zmustrowałem z m/s »Djakarta«. Później pływałem na statkach m/t »Karpaty«, m/s »Romer« i s/s »Dąbrowski«. W tym czasie żadnych kontaktów z wywiadem amerykańskim nie utrzymywałem. W listopadzie 1966 roku zostałem zamustrowany na statek m/s »Phenian« i zawinąłem między innymi do portu w Hongkongu. Kiedy poszedłem do miasta, zaczął mnie nieznajomy mężczyzna. Zwrócił się do mnie per Johny. Przypomniiał mi moją współpracę z wywiadem amerykańskim, wyznał, że sam jest pracownikiem tego wywiadu, i zaproponował mi kontynuowanie współpracy. Pojechałem z nim do domu, który przypominał hotel, i tam dopiero ten człowiek powiedział mi, że wywiad amerykański interesuje się Chinami oraz Japonią i że ja mógłbym zbierać informacje o sytuacji panującej w chińskich i japońskich miastach. Ponadto chciał, bym uzyskał i przekazał mu informację na temat sytuacji w Hajfongu, a szczególnie, czy w mieście tym nie ma problemów z energią elektryczną. Pracownik ten miał wykaz portów, do których zawija m/s

»Phenian«. Wiedział również, że pływam na tym statku, chociaż mu o tym nie mówiłem. Skąd miał te informacje, tego nie wiem. Wypytywał mnie również, jaki ładunek wiezie nasz statek do Hajfongu. Nie orientowałem się w tym i powiedziałem, że jakieś części do maszyn. Człowiek ten ustalił, że w czasie następnego mojego pobytu w Hongkongu spotkamy się w tym samym miejscu o określonej godzinie. W drodze powrotnej ponownie przy płynęliśmy do Hongkongu i ja udałem się na umówione miejsce. Tamten zgłosił się również. Pojechaliśmy do tego samego mieszkania co poprzednio, a tam czekał już drugi nie znany mi mężczyzna. Zaproponowali mi, abym poddał się badaniom prawdomówności. Gdy wyraziłem na to zgodę, przeprowadzono próbę. Po badaniu przekazałem pracownikowi wywiadu informacje dotyczące sytuacji w miastach chińskich i w Hajfongu. Otrzymałem 200 dolarów, które pokwitowałem, i adres kontaktowy, pod który miałem przysyłać informacje, gdy będę pływał do portów dalekowschodnich.

W czasie następnego rejsu na m/s »Phenian«, w 1967 roku, wysłałem list pod wskazany adres. Poinformowałem, że będę w Hongkongu. W omawianym miejscu spotkałem się z pracownikami wywiadu i przekazałem im zdobyte wiadomości o Korei, Chinach i Japonii. Otrzymałem 200 dolarów, które pokwitowałem. W czasie tej rozmowy pracownik wywiadu zaproponował mi, że-



byłbym kupił sobie w Polsce aparat fotograficzny, najlepiej produkcji radzieckiej, i żebyś robił nim w portach Dalekiego Wschodu zdjęcia dla wywiadu amerykańskiego. Ja wówczas poprosiłem tego człowieka, by dostarczył mi długopis tajnopiszący. On obiecał, że da mi konkretną odpowiedź w czasie następnego spotkania. Na tym rozstaliśmy się i ja miałem go zawiadomić listownie o terminie następnego pobytu w portach Dalekiego Wschodu. Od tego czasu nie spotkałem się już nigdy z pracownikiem wywiadu amerykańskiego ani też nie wysłałem do niego żadnych listów. Po powrocie do kraju w listopadzie 1967 roku zmustrowałem z tego statku i od tego czasu nie opuszczałem Polski”.

W wyjaśnieniach złożonych przed sądem Balcer przyznał się do zarzucanych mu w akcie oskarżenia czynów, starając się oczywiście pomniejszać swą winę. Twierdził na przykład, że współpracę z wywiadem może wytłumaczyć jedynie młodzieńczą lekkomyślnością i że od kilku lat nosił się z zamiarem... wyznania prawdy Służbie Bezpieczeństwa. W ostatnim słowie wyraził skruchę. Przyznał, szlochając, że „wypadł za burtę”, upadł moralnie, skrzywdził swoją rodzinę, kolegów i całe społeczeństwo. Prosił sąd o wymierzenie sprawiedliwego wyroku, który w przyszłości pozwoliłby mu zrehabilitować się. Dzisiaj, jak ustaliłem, czyni to konsekwentnie. „Mądry po szkodzi”. Po osobistej tragedii, której mógł przecież uniknąć. Jak inni.

— Poszedłem do „Dalmoru” na statek, gdyż chciałem przedostać się do Zachodniej Europy, aby tam pozostać, a później wyjechać do Ameryki do kuzynów — wspomina trzydziestoletni Stefan K. — Mój wuj, zamieszkały w Milwaukee, chciał ściągnąć mnie do siebie. Nawet dostałem od niego list, a w nim zaproszenie, ale kiedy pojechałem do ambasady USA w Warszawie, powiedziano mi, że muszę czekać cztery do pięciu lat na zgodę na stały wyjazd. Uległem namowom wuja i zamustrowałem się na statek, by drogą legalną przedostać się do Zachodniej Europy. Stamtąd wuj obiecał zabrać mnie do Stanów. Podczas pierwszego rejsu, kiedy znalazłem się w porcie Aberdeen, zszedłem ze statku z zamiarem zdezerterowania. Jeszcze w porcie spotkałem pewnego Polaka, mieszkającego w Szkocji od czasu drugiej wojny światowej, i poprosiłem go, aby pomógł mi w czasie tych pierwszych kroków na obcej ziemi. Zgodził się i udzielił mi rad, jak mam postępować. Powiedział, że jeżeli zostanę w Aberdeen, to prawdopodobnie odeślą mnie do Polski lub z powrotem na statek. Jego zdaniem powinienem pojechać do Londynu. Nie miałem pieniędzy, więc sprzedałem mu zegarek, aby móc kupić bilet kolejowy. Otrzymałem za niego pięć funtów. Za bilet, jak sobie przypominam, zapłaciłem około trzech i pół funta, pozostałe półtora miałem na

taksówkę, aby dojechać ze stacji do miejsca, które mi napisał na kartce, żebym nie miał kłopotów z taksówkarzem. Kiedy dotarłem pod wskazany adres, zostałem skierowany przez portiera do jakiejś pani. Poprosiłem ją, by mi pomogła zostać w Anglii. Powiedziałem, że uciekłem z polskiego statku i chciałem pojechać do Ameryki do wuja. Ta pani oświadczyła, że musi zawiadomić „emigrejszyn” o moim nielegalnym przekroczeniu granicy angielskiej. Pytała, czy miałem inne powody do ucieczki. Powiedziałem, że nie. Spisała z mojego dowodu osobistego dane personalne i później zadzwoniła do urzędu emigracyjnego, żeby zajęli się tą sprawą. Ze mną rozmawiała w języku polskim, natomiast z „emigrejszyn” w języku angielskim. Nie wiem, co mówiła, ponieważ nie znałem języka angielskiego. Kiedy odłożyła słuchawkę, powiedziała mi, że zaraz ktoś po mnie przyjedzie, więc żebym czekał na dole w korytarzu. Zszedłem na dół i czekałem. Minęło chyba z pół godziny, nim przyjechali po mnie dwaj urzędnicy z „emigrejszyn”. Zabrali mnie do swego samochodu i zawieźli do ich biura. Wtedy przyszedł trzeci osobnik, który znał język polski. Pytał, dlaczego zostałem w Anglii i nie chcę wracać na statek. Odpowiedziałem, że zamierzam wyjechać do Ameryki. Chciał, żebym mu pokazał swoją książeczkę żeglarską. Powiedziałem, że została na statku u kapitana. Żądał więc innych dokumentów. Dałem mu dowód osobisty, legitymację



związków zawodowych i prawo jazdy. Zapytałem, co ze mną zrobią. Odpowiedział, że być może odesłają do Polski. Dłużej nie chciał ze mną rozmawiać i wyszedł z pokoju. Wszystkie moje dokumenty zabrali ci z „emigrejszyn”, a mnie odwieźli samochodem do więzienia Brixton. Tam zostałem zaprowadzony do lekarza i po badaniach znalazłem się w pojedynczej celi na pierwszym piętrze, w której spędziłem trzydzieści trzy lub trzydzieści cztery dni. Dokładnie nie pamiętam. Chyba po dwóch dniach spotkałem Polaków, uciekinierów z polskich statków. Między innymi był tam Zbigniew Banaś ze statku „Dalmoru”, który zdezerterował w tym samym mniej więcej okresie co ja. On opuścił statek rybacki, bo uważał, że praca na nim jest za ciężka. Chciał znaleźć lżejszą w Anglii na lądzie. Nasze rozmowy obracały się wyłącznie wokół jednego tematu. Zastanawialiśmy się, co z nami będzie, czy zostaniemy odesłani do Polski, czy zezwolą nam zostać w Anglii. Po kilku dniach Banaś został zwolniony z więzienia. Ja spędziłem tam jeszcze ze dwa tygodnie. Już na wolności ponownie spotkałem Zbyszka i razem z nim pracowałem u Polaka, Briksa, który mieszka w Anglii od czasu wojny. Ma on własną firmę malarską i remontów domów, a jego nazwisko nie jest prawdziwe. Poprzedniego nazwiska nie znam. Facet ma około sześćdziesięciu lat i sprawia bardzo niesympatyczne wrażenie. Poza tym oburzał mnie jego stosunek do Polski i Polaków.

Kiedys dał mi się napić soku pomarańczowego, ale zaraz podkreślił, że jest to bardzo drogi i dobry sok, że takiego na pewno w Polsce nie ma. Później kazał mi myć samochód, ale przedtem oświadczył, że jest to bardzo drogi wóz i że-  
bym go przypadkiem nie podrapał. Powiedział też, że mogę zużyć wody, ile zechcę, gdyż w Anglii za wodę się nie płaci i jest jej bardzo dużo, nie tak jak w Polsce. Kiedys znów mówił, że jak będę dobrze pracował, to nauczy mnie jeździć samochodem. O Polsce i Polakach, którzy przyjeżdżają do Anglii, miał bardzo złą opinię. Twierdził, że jak uczą się pracować, to mogą nieźle żyć w tej Anglii. Za tydzień pracy płacił siedem funtów, to bardzo mało, a wymagania miał ogromne. Wiedział, że może mnie wykorzystać, bo nie znam języka angielskiego i innej pracy nie znajduję. Po dwóch tygodniach miałem dosyć jego łaski i odszedłem. Zgłosiłem się do biura zatrudnienia, jakie było w SPK, i powiedziałem, że nie mam ani pracy, ani pieniędzy. Spytałem, czy nie mogliby mi pomóc. Otrzymałem skierowanie do hotelu „National” przy ul. Battord Way. Pracowałem tam jako robotnik przy wymianie bielizny. Otrzymywałem sześć i pół funta tygodniowo. Pracowałem tam od sierpnia do końca maja następnego roku. Zwolniłem się, gdyż otrzymałem dokument bezpaństwowca i mogłem już otrzymać pracę na statku. Podczas mego pobytu w więzieniu przybył do mnie pracownik wywiadu angielskie-

go. Powiedział wprost, kim jest, i zaczął mnie wypytywać o moje osobiste, i nie tylko, sprawy. Spytał, czy służyłem w wojsku, a kiedy odpowiedziałem, że tak, dopiero się zaczęło... Przystąpił do maglowania mnie na temat służby wojskowej, ostrzegając, bym mówił prawdę i niczego nie ukrywał, bo mogę tego pożałować. Interesował się dosłownie wszystkim. Później pytał, dlaczego uciekłem z Polski, czy aprobuję komunizm, czy religia jest u nas prześladowana... Ja powtarzałem uparcie, że chcę jechać do wuja do USA... Przesłuchujący mnie przedstawiciel wywiadu znał język polski, moje odpowiedzi umieszczał na ankietach, które musiałem podpisać.

— Powinienem jeszcze wrócić do pierwszych dni po zwolnieniu mnie z więzienia — mówi Stefan K. po krótkiej przerwie. — Otóż zawieziono mnie wówczas do „emigrejszyn”, gdzie otrzymałem zezwolenie na pobyt w Anglii. Zostałem tam sfotografowany przez reportera z gazety, który chciał mi dać za to jednego funta, ale ja nie chciałem go przyjąć. Potem ci z urzędu emigracyjnego przekazali mnie do SPK, gdzie chwilowo zamieszkałem. Podczas pierwszych dni pobytu w SPK przyszło do mnie dwóch dziennikarzy angielskich z tłumaczką i prosili, abym udzielił im wywiadu. Zadawali mi różne pytania: dlaczego uciekłem z Polski, czy lubię komunizm, czy wolno w Polsce chodzić do kościoła... Czy były jakieś artykuły o mnie w gazecie, nie



wiem. Po otrzymaniu paszportu bezpieczeństwa zacząłem pływać na greckim statku m/s „Betawista” w charakterze chłopca mesowego. Po przybyciu na statek zgłosiłem się do kapitana, który przyjął moje skierowanie ze związku marynarzy i paszport dla bezpieczeństwa, po czym odesłali mnie do stewarda, także Polaka, byłego majora Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Spotkałem tam również innych Polaków, którzy uciekli z Polski. Między innymi spotkałem Banaś, z którym przebywałem przez kilka dni w więzieniu, a później pracowałem u Briksa. On był zatrudniony na stanowisku smarownika w maszynowni. Głównym mechanikiem był tu także Polak, Chodak, o którym Banaś miał bardzo złą opinię. Uciekinier, Leopold Pruszyński, był palaczem w maszynowni. Nienawidził Polaków-oficerów na tym statku, ale cieszył się, że uciekł z Polski i może robić, co mu się tylko podoba. Z tym palaczem spotkałem się po kilku latach w Londynie i wówczas nie był już taki zadowolony z życia na Zachodzie. Zdrowie stracił, niczego się nie dorobił. Powiedział, że czynię bardzo dobrze, jeżeli chcę wracać do Polski. On też by tam pojechał, ale nie ma do kogo wracać. Chodak nie wierzył żadnemu uciekinierowi z Polski. Często podsłuchiwał pod butajem lub na korytarzu pod drzwiami, o czym oni mówią. Kiedyś, bodaj w Mozambiku, kilku marynarzy zeszło ze statku, a wtedy mechanik Chodak i kapitan zameldowali na policji, że oni uciekli,

że to są komuniści z Polski i nie chcą pracować. Policja na tej podstawie zamknęła wszystkich do aresztu. Po pewnym czasie zostali zwolnieni i mogli odjechać do Anglii. Z Mozambiku mój statek popłynął na Cejlon i do Indii. Z Indii poszedł do Włoch, a później do Grecji, gdzie został sprzedany na żyłki. Cała załoga została zwolniona. Po przybyciu do Londynu kilka tygodni nie pracowałem nigdzie. Później zacząłem pracować przy myciu talerzy i kubków w kawiarni na stacji kolejowej Juston. Spotkałem się tam z byłym pułkownikiem armii Andersa, który również mył talerze i kubki. Jak się dowiedział, że jestem dezterterem z PMH i zdradziłem kraj, w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Spotkałem tam także starych znajomych, również dezterterów z PMH. Teraz już inaczej spoglądaliśmy na wspaniały Zachód. Nie wszyscy byli zadowoleni z podjętych przed laty decyzji. Nasze rozmowy toczyły się wokół przeróżnych marynarskich przygód. Później zostałem zamustrowany na statki norweskie. Na jednych było lepiej, na drugich gorzej, a wtedy zwiewało się w pierwszym lepszym porcie i szukało szczęścia od nowa. Wielu takich jak ja topiło w alkoholu smutek i rozczarowania, inni znajdowali pociechę u portowych „dziewcząt”, ale to było drogie i niebezpieczne. Bronilem się przed tym, jak mogłem, ale było mi coraz gorzej. Zazdrościłem tym, którzy pływali pod polską banderą. Serce mi się krajało na jej widok. Pamiętam, kiedyś

na Wyspach Kanaryjskich nie wytrzymałem na widok polskiego statku z PŻM i poszedłem porozmawiać z załogą. Wypytywałem, co będzie, jeżeli wrócę do Polski. Powiedziałem, że uciekłem z polskiego statku, ale teraz przemyślałem wszystko i chcę wracać. Powiedzieli mi, że powinienem, że będę mógł się zrehabilitować, nie muszę obawiać się więzienia. Zwolniłem się ze statku, wróciłem jednak nie do kraju, lecz do Londynu. Znow mieszkalem w hotelu marynar-skim. Kieszeń pustoszała jednak, więc ponownie zamustrowałem na norweski statek, m/s „Tar-ranger”, gdzie byłem bardzo krótko z powodu wypadku. Znalazłem się w szpitalu w Portland, skąd po paru tygodniach pojechałem do Londynu. Wkrótce znow, jeszcze nie doleczony, znalazłem się na norweskim statku m/t „Fimöna”, a kilka tygodni później na innym, również norweskim, m/t „Staberg”. Tam znow miałem wypadek i trafiłem do szpitala w Las Palmas. I tak pły-wałem na kolejnych statkach, a między rejsa-mi pracowałem jako pomocnik malarza pokojo-wego lub przy innych dorywczych pracach. Mie-szkałem w Londynie — albo w Domu Maryna-rza, albo na prywatnych kwaterach... W Anglii poznawałem powoli życie polskiej emigracji. Spotkałem wielu Polaków, którzy stali się włó-częgami, ofiarami alkoholu lub narkotyków. Wielu z tych, którzy uciekli z Polski i korzystali z panującej tam „wolności”, straciło własną god-ność i brnęło coraz głębiej w bagno upadku i po-



niżenia, wielu z tych, którzy pozostali tam po drugiej wojnie, wzbogaciło się nie zawsze w sposób uczciwy i stało się nieprzystępnymi materialistami i wrogami obecnego ustroju w Polsce. Kiedy rozmawiałem z takimi, zarzucali mi, że jestem agentem komunistycznym, i pytali, ile ja dostaję za to... Postanowiłem wracać do Polski, mimo konsekwencji, jakie poniosę.

\*

Piotr R. urodził się w 1951 roku. Był absolwentem trzyletniej Zasadniczej Szkoły Rybołówstwa Morskiego w Darłowie, gdzie otrzymał solidne przygotowanie do wymarzonego przez siebie zawodu. Dyplom tej szkoły otworzył przed nim świat. Rozpoczął pracę w Szczecińskim Przedsiębiorstwie „Dalekomorskie Bazy Rybackie”, a po połączeniu się tego przedsiębiorstwa w 1970 roku z „Gryfem” został skierowany do jednostek łowczych w charakterze młodszego rybaka.

Edward Tadeusz M. jest starszy o 6 lat od Piotra. Urodzony w 1945 roku w Bydgoszczy, wychowywał się i zdobywał zawód w Szczecinie. W 1964 roku kończy przyzakładową wieczorową szkołę zawodową przy PKP. Jako ślusarz silnikowy i ogólny otrzymuje pracę w motowozowni PKP. Służbę wojskową odbywa na okrętach Marynarki Wojennej jako motorzysta okrętowy. Z wojska wraca do swego zakładu

na stanowisko specjalisty od naprawy silników wysokoprężnych. W czerwcu 1968 roku przenosi się do pracy w przedsiębiorstwie połowów dalekomorskich.

Obaj wyrastali w dobrych warunkach materialnych, wychowywali się w atmosferze patriotyzmu i szacunku dla ludzi, zdobyli w Polsce zawód, otrzymali pracę. Byli ludźmi młodymi i ambitnymi. Brakowało im tylko, rzecz zrozumiała, życiowego doświadczenia.

Piotr i Edward w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym zostali zamustrowani na statek rybacki szczecińskiego armatora s/t „Omulew” i wypłynęli w swój pierwszy daleki rejs na łowiska północno-zachodniego Atlantyku. Pierwszy w charakterze młodszego rybaka, drugi pomocnika palacza.

Czekał ich trudny egzamin życiowy, praktyczny sprawdzian ich przygotowania zawodowego i hartu ducha. Tu, z dala od kraju, od najbliższych, od kolegów i przyjaciół, którzy pomagają, pocieszą, doradzą i, jak trzeba, wyręczą, trzeba być samodzielnym, twardym, upartym.

Stara załoga, o surowych, spalonych wiatrem twarzach i twardych, męskich charakterach, nie rozpieszczała młodych kandydatów na wilków morskich. Każdy miał wyznaczony odcinek pracy, swoje obowiązki nie zamykające się bynajmniej granicami czasu, swoje lądowe zwyczaje i przyzwyczajenia. I dobre, i złe.

Edward wcześniej pokosztował marynarskiego

chleba, bo już w drodze do Plymouth musiał się dobrze napracować nad usuwaniem różnych drobnych awarii. A potem był bezkresny ocean. Przedłużała się droga na łowiska, wraz z pęcherzami na dłoniach pojawiały się pierwsze oznaki zniechęcenia i zawodu.

Na bogatych łowiskach George Bank ryba szła w sieci wspaniale. Załoga pracowała bez wytchnienia po 2—3 doby. Piotr dzielnie układał bahtał przy wybieraniu siatki, to znowu kławał jumpra. Po kilku dniach połowów kapitan przesunął go do łżejszej pracy, na pomocnika kucharza. Poznawał więc życie rybaków z różnych stron. Gdy wchodzili z ładowniami pełnymi świeżej ryby do wielkiego portu na drugiej półkuli, Piotr trzymał ster.

Przed nimi był wielki ląd. Daleka, nie znana, upragniona po ciężkich trudach na morzu ziemia. Upragniona zwłaszcza przez nie przywykłych do samotności, ciekawych wrażeń młodych ludzi. Staremu wilkowi morskiemu obyteму w świecie wystarczy bowiem dobrze zaopatrzona kabina i wygodna koja. Każdą godzinę postoju w porcie przelicza na ilość możliwej w tym czasie do złowienia ryby. Gdy „ryba idzie”, bywa zachłanny. Nie czuje trudu i zmęczenia.

Przed nimi był wielki ląd — Kanada. Urzekająca swoją surowością ziemia, przyciągający swą egzotyką wielki port, Halifax, dwustutysięczna (z przedmieściami) stolica Nowej Szkocji. Największa kanadyjska baza morska i rybacka,



port przez cały rok wolny od lodów. Ogromne chłodnie i magazyny zbożowe. Rozwinięty przemysł stoczniowy, spożywczy, petrochemiczny, metalurgiczny, włókienniczy, meblarski, odzieżowy. Kilka szkół wyższych.

Do Halifaxu od lat zawijały regularnie jednostki polskiej floty rybackiej łowiące na wodach północnego Atlantyku. Zawijał tu także s/t „Omulew”.

Piotr i Edward znaleźli się więc na tej wielkiej ziemi, wśród obcojęzycznego portowego gwaru. Młodzi, niedoświadczeni, wszystkiego ciekawi, dobroduszni, łatwowierni, naiwni.

Na takich właśnie czyhają w portach naganiacze.

Wszędzie ich można spotkać. Na ulicy, w sklepach i portowych tawernach, na molo. Niektórzy także łowili kiedyś na George Bank, a dziś wylawiają z portowego tłumu swoich rodaków. Co bezczelniejsi próbują się podkraść pod statki z ojczystą banderą, którą zdradzili, próbują handlować, jeśli się uda — ukraść, pogadać z marynarzami, zaolerować im to i owo...

I choć w wielotysięcznym mieście jest ich przecież niewielu, znajdują się wszędzie tam, gdzie mogą coś wskórać. Pojawiają się w najbardziej niespodziewanych momentach i miejscach. Działają często z zaskoczenia. Działają stanowczo i metodycznie.

„Po podwieczorku na statku — pisze w swym oświadczeniu Edward — udałem się do kina, w

którym grano bardzo dobry film produkcji amerykańskiej. Gdy wychodziłem z kina, przypadkowo i niechcący potrąciłem pana w wieku 39—40 lat. Przeprosiłem go po polsku, następnie po angielsku. Gdy usłyszał polskie słowo, bardzo się ucieszył i podjął ze mną rozmowę. Mówił słabo, jakimś obcym żargonem. Tłumaczył, że jest Australijczykiem, ale jego matka, której już nie pamięta, była Polką. W Kanadzie przebywa czasowo. Dopytywał się, z jakiego jestem statku, jaka na nim załoga, jak długo będę w porcie, ile zarabiam, jakie mam plany. Mówił, że poznał w Kanadzie wielu Polaków, którym się bardzo dobrze powodzi. Radził mi tam pozostać. Więcej tego człowieka już nie widziałem”.

Ten „Australijczyk” działał więc z zaskoczenia. Przeprowadził zaledwie rozpoznanie.

Tadeusz Gierej, który kiedyś zdezerterował z tego samego statku, wystąpił już bardziej zdecydowanie.

„Przedstawił mi wspaniały obraz życia w Kanadzie. Życia, którego nie znałem, które było obce i piękne, a które pokrywało się z moimi marzeniami o podróżach, przygodach i zamożności. Zaproponował mi, abym pozostał, a kiedy się zgodziłem, zapewnił, że następnego dnia zaprowadzi mnie do »emigrejszyny« (urząd emigracyjny). Oczywiście dotrzymał słowa i razem tam poszliśmy”.

Tak oto, bardzo oszczędnie, opisuje rolę Giereja Piotr. Nie przytacza jego argumentów, nie pow-

tarza słów. Jest zawstydzony tym, że był taki łatwowierny. Teraz już jest mądry. Po szkodzie, jaką wyrządził mu tamten i do jakiej dopuścił przez własną naiwność.

W ten sam sposób dał się Gierejowi omotać starszy przecież od Piotra Edward. „Spotkał mnie na molo — pisze. — Oświadczył, że mam szansę pozbycia się wszelkich kłopotów i zmartwień. Powinienem tylko pozostać w Kanadzie. Bardzo dużo opowiadał mi o beztróskim życiu, o niczym nie ograniczonych możliwościach pracy i wysokich zarobkach”.

Nie będziemy go tu rozliczać. Owe Gierejowe „niczym nie ograniczone możliwości pracy i wysokich zarobków” w Kanadzie sprowadzają się wyłącznie do roli naganiacza, działającego na polecenie — na razie tajemniczych i niewidocznych jeszcze — sił i osobistości, do namawiania polskich marynarzy i rybaków do dezercji i zdrady. Polska dała Gierejowi ceniony i dobrze płatny zawód. Nie chciało mu się jednak uczciwie pracować, nie potrafił współżyć z kolektywem, a tacy miejsca na statku długo nie zagrzeją. Oszukał i zdradził swoje rybackie i marynarskie środowisko.

Teraz żyje wśród wielkomiejskich mętów i hien portowych, przepija każdy zdobyty cent, pluje na kraj ojczysty, na swych rodaków.

Gierej nie jest osamotniony. Był tylko jednym małym oczkiem w dość gęstej sieci zarzucanej w latach siedemdziesiątych w Halifaxie na na-



szych marynarzy. Tym samym procederem trudnili się Zygmunt Pokonski, Janusz Jarczewski, Harry Jąłoszyński, inż. Rosicki i wielu innych. Rosicki zdobył w Polsce zawód architekta, wyjechał z kraju legalnie, w Kanadzie się ożenił i założył „interes”. Dobrze mu się wiedzie nie tylko dzięki zdobytemu na polskiej uczelni dyplomowi i skoligaceniu poprzez żonę z kanadyjskim generałem, księdzem i pastorem, ale przede wszystkim dzięki wykorzystywaniu taniej siły roboczej spośród pozostających bez środków do życia dezertarów z polskich statków. Ma znajomości we władzach emigracyjnych i policji, może każdemu załatwić azyl w Kanadzie i pracę we własnym przedsiębiorstwie budowlanym. Rodakom płaci 1/3 tego, co Kanadyjczykom, zatrudnia ich zawsze kilkunastu, „interes” zatem znakomity, ale i oni są mu wdzięczni. Przynajmniej mają pracę. Nieważne, jak długo. Ważne, że dziś, póki są zdrowi, póki chcą i mogą pracować. Jutro? Prawdopodobnie zastąpią ich inni, młodzi, zdrowi, naiwni, lekkomyślni. Tamci wrócą do porzuconych rodzin i zdradzonego kraju. Rodzinie wysupłają uciulany w niewolniczym trudzie grosz, przed władzami złożą samokrytykę, postarają się o rentę. Oto logika ich rozumowania. A konta bankowe Rosickich będą się mnożyć. Ten i ów w kraju westchnie: „Im się tam powodzi”.

Piotr i Edward, mimo że byli członkami tej samej załogi, znali się dotąd tylko z widzenia.

Każdy na statku robił co innego. Nie mieli czasu i okazji do zwierzeń. Któregoś sierpniowego ranka spotkali się znów, tym razem w kanadyjskim Urzędzie Emigracyjnym. Obaj postanowili w Kanadzie pozostać. I odtąd już los w wielkim, obcym mieście poprowadzi ich wspólnymi ścieżkami.

W oczekiwaniu na tłumacza podtrzymywali się wzajemnie na duchu. Obaj potrzebowali otuchy, obaj bali się konsekwencji podjętej decyzji. Gdyby wówczas jeden z nich wstał i powiedział: „Rozmyśliłem się, wracamy na statek”, drugi bez wahania uczyniłby to samo.

Przybył tłumacz. Starszy, schorowany mężczyzna, łysy, niski, przygarbiony, kulawy. Jakże przy tym czarujący i rozmowny! Rozbawił młodych, stremowianych powagą podjętej decyzji oraz urzędu, w którym się znaleźli, swoim zachowaniem i śmiesznym, im już nie znanym żargonem. Nazywał się Kohler. Dawniej w Polsce (w 1954 roku wyemigrował ze Szczecina) Maciej, teraz z angielska Moris. Tłumacz przysięgły, otrzymujący 50 dolarów od każdego przesłuchwanego. Nie tak znowu wiele, jeśli zważyć, że musi się sporo przy tym napracować.

Pierwsze przesłuchanie było krótkie, formalne. Ustalenie tożsamości, złożenie podania o azyl, skierowanie do przytułku prowadzonego przez Urząd Emigracyjny. Dostali przybory toaletowe i pościel oraz miejsce na wieloosobowej sali. Zakwaterowano tam już wcześniej Krzyszto-

fa Ł., Grzegorza Ł., Stanisława N., Jana S. oraz 3 młodych Kubańczyków, którymi wkrótce zainteresowała się CIA.

Następnego dnia rozpoczęły się szczegółowe przesłuchania. Za biurkiem siedział dystyngowany, ubrany w czarny mundur funkcjonariusz Urzędu Emigracyjnego, obok Kohler z „biblią świętą”. Przesłuchiwanie odbywało się pod przysięgą. Kładąc rękę na Biblii, delikwenci przyrzekali mówić „całą prawdę, i tylko prawdę”. Od prawdziwości zeznań uzależniono bowiem dalszy ich los.

Pytania dotyczyły nie tylko życiorysu, rodziny, znajomych, pobudek, które zaważyły na decyzji pozostania w Kanadzie. Oto niektóre z nich:

- czy należeli do organizacji komunistycznych?
- czy są wierzącymi i jakiego wyznania?
- czy mieli trudności z otrzymaniem pracy w przedsiębiorstwie morskim?
- czy w szkołach polskich prowadzi się naukę religii?
- czy nowy ustrój w Polsce przyniósł straty materialne ich rodzinom?
- czy znają szkoły lub uczelnie uprzywilejowane, niedostępne dla ogółu?
- czy zdają sobie sprawę z tego, że ich prośba o azyl może być poczytywana za zdradę ojczyzny, czy nie obawiają się, że z tego powodu ich rodziny będą miały kłopoty, że będą prześladowane?

Wiele pytań dotyczyło roli i działalności par-



tii w kraju, organizacji partyjnej i jej członków na statku, stosunków między wierzącymi i niewierzącymi, a także licznych osób, którymi władze emigracyjne się interesowały.

Przesłuchanie powtarzano kilkakrotnie, stawiając często te same pytania, tylko w innej kolejności, lub formułując je „podchwytliwie”. Tłumaczył zawsze Kohler, świadomie przekraczając niektóre ich odpowiedzi. Wyjaśniał im zresztą lojalnie, że jeśli chcą uzyskać azyl, muszą inaczej określić powód swojej decyzji, krytycznie oceniać swój kraj i stosunki w nim panujące, bo Kanada przyznaje azyl jedynie „prześladowanym politycznie”. Apelowal, by mu pomogli znaleźć i przekonująco sformułować te polityczne motywy. Kazał im wreszcie mówić cokolwiek, choćby pacierz, on w tym czasie składał za nich do protokołu „polityczne oświadczenia”.

Procedura przyznawania azylu, sprawdzania kilkakrotnie zeznań delikwentów i ich samych trwa dostatecznie długo, aby dać możliwość zainteresowanym instytucjom, głównie wywiadowi, wyciągnięcia wszelkich interesujących wiadomości wojskowych, gospodarczych, politycznych, personalnych.

Stwierdza były pomochnik kucharza na m/t „Jamno”, Zdzisław J., który zdezerterował w tym samym porcie kanadyjskim i w tym samym czasie.

„Najpierw na »emigrejszyn« wstawili mi gad-

kę umoralniającą, że swoim czynem zerwałem całkowicie z obozem komunistycznym i jestem zobowiązany do posłuszeństwa i lojalności wobec władz kanadyjskich. Mam więc obowiązek udzielania im tych wszystkich informacji i wiadomości, które im się przydadzą. Wyciągnęli arkusze z zestawem szczegółowych pytań dotyczących przebiegu mojej służby wojskowej i spraw dotyczących obronności naszego kraju. Odmówiłem udzielania odpowiedzi, powołując się na przysięgę wojskową. Tłumaczyli mi, że zeznania będą anonimowe i że o tym będzie wiedziało tylko kilka osób, którym można zaufać. Widząc mój upór, oficer stwierdził, że osobiście ma do mnie za tę postawę szacunek, ale musi powiadomić swój urząd, że jestem nielojalny”.

Od Zdzisława próbował jeszcze, również bezskutecznie, wydobyć coś niecoś Kohler.

Podczas przesłuchiwań, a więc przed faktyczną konfrontacją iluzji i marzeń, przed zderzeniem z codzienną rzeczywistością, z brutalnym, jak to później określa, życiem, ubiegający się o azyl są jeszcze dobrej myśli, „mają nadzieję”. Czasem chcą, częściej muszą wkupić się czyniś Kohlerowi i jego chlebowodawcom. A on umie to docenić.

Aż do decyzji o przyznaniu azylu, co trwa około 3 miesięcy, petenci pozostają na „garnuszu” rządu kanadyjskiego, korzystają z bezpłatnego mieszkania Urzędu Emigracyjnego. O zatrudnieniu ich w tym czasie nikt z nimi nie

chce nawet mówić. Nikt, oprócz Kohlera, który ma silnych mocodawców — nie tylko w Kanadzie — i spore pełnomocnictwa, mimo iż tak niepozornie wygląda. On -najszybciej poznaje, kogo na co stać, manewruje ludzkimi losami. Choć stara się ukrywać swoje właściwe oblicze, często jednak sztydło wychodzi z worka.

Tak było w 1968 roku. Kohler, wykorzystując rozpaczliwą sytuację grupy polskich deztererów, zmontował znacznych rozmiarów prowokację. Nakłonił 13 z nich do napisania podań do ambasady izraelskiej w Ottawie o „...przyjęcie do służby w armii izraelskiej”. Nie wiadomo, o co tutaj bardziej chodziło; czy o faktyczne zasilenie tej armii, czy o ordynarną prowokację polityczną wymierzoną w równą mierze przeciwko Kanadzie, jak i Polsce. Ambasada izraelska podjęła nawet starania o umożliwienie „płatnym najemnikom z Polski” wyjazdu do Izraela, co — ze zrozumiałych względów — spotkało się ze sprzeciwem i zakończyło wydaniem nakazu bezwarunkowej deportacji deztererów do Polski. Dało to z kolei asumpt określonym środowiskom do podjęcia kampanii propagandowej o cofnięcie tej decyzji. W tym czasie Kohler na wszelki wypadek ulotnił się do USA, skąd powrócił dopiero wówczas, gdy afery ucichła.

Piotr i Edward w przytulku Urzędu Emigracyjnego mieszkali przeszło trzy miesiące. Mieli dach nad głową i „wyżywienie bez papierosów”. „Jedzenie było lekkostrawne i w niedo-



statecznej ilości, obliczone na kanadyjski sposób życia. Polakom to nie starczało". Ale wciąż jeszcze wierzyli, że będzie lepiej.

Później, gdy otrzymali już zezwolenie na pobyt w Kanadzie, zaczęli samodzielne życie. I wtedy też zaczęły się ich prawdziwe kłopoty. Poczuli smak obcego chleba, gorycz rozczarowań i poniżenia. Tracili nadzieję.

Młody, zdrowy rybak, Piotr R., podejmuje najpierw pracę w hotelu „Nelson”, którego właścicielem jest dobrotliwy Hiszpan. Zmywa naczynia. Nie polega to na przyciskaniu guzików w zautomatyzowanej kuchni, jakie oglądał w kinach. Pracuje w pocie czoła, w brudzie i smrodzie, z zakasanyimi wysoko rękawami. Później dzięki protekcji Harry Jałoszyńskiego uzyskuje pracę w Instytucie Oceanograficznym w osiedlu Badford. Naprawia siatki planktonowe oraz wyrabia siateczki na sloje przeznaczone do pobierania próbek wody z oceanu. Ma określony teren, po którym wolno mu się poruszać, oraz godziną normę do wykonania. Po miesiącu zostaje stamtąd zwolniony, ponieważ nie było już dla niego zajęcia. Podejmuje naukę języka angielskiego, prowadzoną przez Urząd Emigracyjny, ale po paru tygodniach musi ją przerwać, gdyż trafia się okazja zatrudnienia na statku „Theta”, należącym do norweskiej kompanii „Carsen Shipping Company”. Statek ten zimą przewozi ryby z Nowej Fundlandii do USA, a z powrotem żywność i paszę; latem natomiast jego załoga

zajmuje się naprawą znaków morskich i badaniem ruchów tektonicznych w okolicach Nowej Fundlandii. Na tym statku przepracował okres świąt Bożego Narodzenia i powitał nowy, 1971 rok. Po 2 tygodniach musiał pożegnać marynarzy norweskich i fundlandzkich rybaków. Nie mając paszportu, nie mógł zawijać do portów USA. Za zaoszczędzony grosz kontynuuje naukę języka angielskiego, pobiera zasiłek dla bezrobotnych w Social Service.

Po skończeniu trzymiesięcznego kursu nauki języka wspólnie z Edwardem M. i Janem S. zakładają spółkę i wynajmują się do malowania domów. Pracują solidnie i ze swoich zobowiązań starają się wywiązywać jak najrzetelniej. Ale zleceń otrzymują niewiele. Ludność miejscowa traktuje ich jak nieproszonych gości, odnosi się do nich nieufnie, Polonia kanadyjska nie chce ich znać, wstydzi się ich i gardzi nimi, odcina się od nich na każdym kroku, chętnie natomiast odwiedza nasze statki, a ich załogi traktuje z ogromną serdecznością.

„W czasie kiedy szukaliśmy pracy, często pytano nas o narodowość. Gdy pracodawca usłyszał odpowiedź, najczęściej mówił: »Przepraszam, u nas nie potrzeba dezterów«, lub: »Polakom nie dajemy pracy, macie swój kraj, tam jej szukajcie«, albo jeszcze gorzej: »Przepraszam, u mnie nie ma pracy i wątpię, czy u kogokolwiek, panowie Polacy, ją znajdziecie«. Powodem tego była zła opinia o polskich uciekinie-

rach u bossów i pracodawców oraz strajki i bezrobocia” — wspominają dziś.

Nie mniej kłopotów nastrocza znalezienie przyzwoitej, a w ich sytuacji przede wszystkim taniej, kwatery. Ludzie wolą nie ryzykować, są nieufni, a jeśli już się zgodzą wynająć pokój, wydzierają im ostatni grosz. Placi się tu z góry od 18 do 30 dolarów za tydzień.

Rozpoczęła się stała wędrówka z tobołkiem z ulicy na ulicę, wycieranie obcych kątów. W ciągu paru miesięcy Piotr R. musiał sześciokrotnie zmieniać mieszkanie. Tu nikt nie zna litości i nie okaże zrozumienia. Ani chińskie małżeństwo Lee, ani kanadyjski Murzyn, ani szkocka siwowłosa dewotka, ani Grek Nik.

Rażniej im nieco w tym zwariowanym i „zmaterializowanym”, jak go określają, świecie we dwójkę. Nie zdążyli zaprzyjaźnić się na statku, który lekkomyślnie opuścili, za to związał ich tułaczy los na obcej, niegościnniej ziemi. Wspólnie przeżywali gorycz rozczarowań, upadek nadziei, jednocześnie dojrzewa w nich decyzja powrotu do kraju, chęć naprawienia błędu. Postanowili wracać, póki ich jeszcze na to stać, póki mają honor i znają swoje możliwości, póki alkohol, w którym wielu im podobnych szuka zapomnienia, nie stępił ich ludzkiej godności. Nie ma wybrańców losu, człowiek sam wybiera swój los. O tym też sami się przekonali, sami też dokonali wyboru, a swoje doświadczenia opisali, jak umieli, ku przestrodze bliźnich.



## Dzielnicowy MO contra DIA

ON

Ma swoje imię, nazwisko, stopień, pracuje w określonym komisariacie w jednym z polskich miast. Jest blondynem lub brunetem, codziennie przemierza swój rejon, zna jego problemy, mieszkańców. Codziennie salutuje do orła na milicyjnej czapce w odpowiedzi na pozdrowienia przechodniów. Ma rodzinę, przyjaciół i antagonistów.

Jak każdy, ma w życiu wiele radości i mnóstwo kłopotów... służbowych, prywatnych. Jak wszyscy ludzie pracy w jego wieku jest bardzo zajęty, ma niewiele czasu na pogawędkę z bliskimi, natomiast wiele obowiązków.

O nim samym można by pisać wiele, o jego życiu, pracy, zamięrowaniach, pasjach...

Ale ich — dzielnicowych — są tysiące. Stanowią na pewno tysiące indywidualności, borykają się z tysiącami kłopotów, rozwiązują tysiące problemów, cieszą się tysiącami osobistych osiągnięć i dręczą ich tysiące niepowodzeń. Łą-

czy ich wspólna odpowiedzialna praca w służbie narodu. Stoją na straży ładu i porządku publicznego, spokoju i bezpieczeństwa kraju i jego obywateli.

#### ONA

Agencja Wywiadowcza Obrony — Defence Intelligence Agency (DIA) — jest utworzonym w 1961 roku organem głębokiego rozpoznania, działającym bezpośrednio na korzyść Pentagonu. Spełnia ona rolę centralnego ośrodka koordynującego pracę służb specjalnych w rodzajach sił zbrojnych — G-2 w wojskach lądowych, A-2 w lotnictwie i ONI w marynarce wojennej — a ponadto organizuje własne źródła informacji w skali globalnej.

U podstaw powołania DIA legły aspiracje amerykańskich wojskowych do odegrania decydującej roli w polityce Stanów Zjednoczonych, do wywierania presji na rząd i narzucania swej woli politykom. Do tego potrzebny był sprawny, wszechobecny, wszytkowiedzący i „wszechmogący” aparat wywiadowczy. Aparat współdziałający na zasadzie równego partnerstwa z ogromnie rozbudowaną Centralną Agencją Wywiadowczą — Central Intelligence Agency (CIA), stanowiącą od dawna — według określeń samych Amerykanów — „państwo w państwie”.

DIA dysponuje ogromnym budżetem, najnowszymi zdobyczami techniki, które znajdują szerokie zastosowanie w wywiadzie, komputero-

wym systemem analizy i przetwarzania zdobywanych informacji oraz liczną kadrami specjalistów, legitymujących się dyplomami wyższych uczelni i dorobkiem naukowym w różnych dziedzinach, odpowiadających kierunkom zainteresowań i penetracji tej szpiegowskiej agencji. W latach 1963—1966 stan jej personelu wojskowego i cywilnego zwiększył się trzykrotnie, co najlepiej świadczy o zakresie i dynamice podejmowanych działań w interesie militarystycznych kół USA.

DIA nie zadowala się zadaniami wojskowymi. „Zbudowała sztab analityków wywiadu politycznego i ekonomicznego, obok analityków typu wojskowego” \*. Jest wszędzie i interesuje się wszystkim. Główny wysiłek kieruje, rzecz jasna, na rozpoznawanie krajów socjalistycznych. Jej ośrodki, placówki, oficerowie i naganiacze działają tam, gdzie docierają obywatele krajów socjalistycznych. Szczególnie duże zainteresowanie DIA wykazuje Polską. Wynika to zarówno z położenia geograficznego, jak jej miejsca i roli w obozie socjalistycznym.

Obok zadań natury wojskowej, w tym zwłaszcza „typowania i opracowywania celów”, polegających na „określaniu słabych punktów potencjalnego przeciwnika, wrażliwych na ataki lotnictwa i marynarki, okoliczności sprzyjają-

---

\* Roger Hillsman, były szef wywiadu w Departamencie Stanu, w książce *Ruszyć naród z miejsca*, wydanej w 1967 r.



cych ofensywnym akcjom sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i ich sprzymierzeńców", DIA zleca swym agentom zadania o charakterze gospodarczym i politycznym. Bowiem — jak stwierdza się w jednym z tajnych dokumentów sztabowych DIA — „socjalistyczny system gospodarczy pozwala optymalnie kojarzyć rozwój gospodarki narodowej z umacnianiem obronności, a zgodność celów gospodarczych i obronnych ma charakter kompleksowy i wielostronny”. Zadania o charakterze politycznym wynikają zaś między innymi ze sprzężenia współczesnej działalności wywiadowczej z ośrodkami wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej. Nowym i szczególnie niebezpiecznym elementem zimnowojennej polityki Reagana — obok forsownie rozwijanych zbrojeń rakietowo-jądrowych i konwencjonalnych włącznie z dalekosiężnym programem militaryzacji przestrzeni kosmicznej — stał się nawrót do zaniechanego niegdyś planu formowania specjalnych oddziałów i grup dywersyjnych, przeznaczonych do działań „poza liniami”, czyli na obszarze krajów socjalistycznych. Takie siły występowały już czynnie podczas wojny w Wietnamie i Laosie, przy czym — co znamienne — środki masowego przekazu w Stanach Zjednoczonych nie nadawały im wtedy rozgłosu, ponieważ ta „nowa broń” miała być objęta ścisłą tajemnicą. O różnych wyczynach grup „Secret Special Forces” — żywo przypominających akcje hitlerowskiej dywizji

„Brandenburg” na tyłach wojsk radzieckich w początkowym okresie agresji przeciwko ZSRR — napisano nieco więcej po zakończeniu wojny w Azji Południowo-Wschodniej. Dopiero jednak w czerwcu 1982 roku Pentagon, a w jego cieniu DIA, odkryły karty, planując zorganizowanie i rozmieszczenie takich oddziałów na terenie Europy.

Przewiduje się, że w ich skład wejdą zarówno żołnierze regularnych jednostek US Army po ostrej selekcji, jak i zdrajcy oraz uciekinierzy z krajów „za żelazną kurtyną”, gotowi przejść na obcy żołd oraz sprzedać swe ręce i wyjąłowane mózgi handlarzom śmierci zza Oceanu. Nie może bowiem wzbudzać jakichkolwiek wątpliwości cel tworzenia takich oddziałów. Nie bez określonych powodów ci „chłopcy wybierani” mają znać język krajów, gdzie — w razie wojny — przypadnie im zadanie skrytego dokonywania aktów dywersji, terroru, niszczenia obiektów kolejowych i telekomunikacyjnych, paraliżowania życia w większych aglomeracjach i w ogóle szerzenia zamętu na tyłach frontu... Tak przynajmniej wyobrażają sobie ich działalność fachowcy z DIA. Dala temu wyraz gazeta „Washington Post”, zazwyczaj nieźle poinformowana o tym, co dzieje się na szczytach sił zbrojnych USA. Według publikowanych na jej łamach enuncjacji można sądzić, że przypisuje się szczególną rolę tym oddziałom na terenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Polski, Czechosłowa-

cji i Węgier. W tych krajach — jak snują swe nadzieje specjaliści od dywersji — z inspiracji i technicznej pomocy CIA mogłyby wyłonić się podziemne grupy oporu, tworząc dogodny grunt dla operacji specjalnych. A te wszystkie spekulacje czy konkretne przygotowania mają być, zdaniem administracji Reagana, dowodem „sympatii” między innymi dla narodu polskiego. „Żeby Polska była Polską”, jak nucili w propagandowej szopce telewizyjnej „made in USA” pod takim właśnie tytułem zdrajcy Rurarz i Spasowski razem z ówczesnym sekretarzem stanu, generałem Haigiem. Cyniczna to gra, ale w przekonaniu określonych kół w Stanach Zjednoczonych godna kontynuowania. Dlatego głównie, że są ludzie, którzy dają się nabrać na jej fałszywe tony...

Nie mały udział ma w niej DIA, a jej personel jest prawie wszędzie, nie tylko na terenie USA, lecz także w państwach NATO, w amerykańskich placówkach dyplomatycznych, konsularnych, handlowych, kulturalnych, turystycznych i innych. Naganiacze tej szpiegowskiej agencji są usadowieni w portach, na lotniskach, w hotelach, restauracjach, kawiarniach, domach rozrywki i na dworcach kolejowych zachodniej Europy, wszędzie tam, gdzie mogą się bezpośrednio zetknąć z obywatelami państw socjalistycznych, w tym także i Polski.

W latach sześćdziesiątych szczególną aktywnością „wyróżniają się” dwa ogniwa ściśle związane



z DIA — 513 i 66 grupa wywiadu wojskowego USA.

Pierwsza „przechwytuje” uciekinierów i dociera do osób czasowo wyjeżdżających z Polski, starając się wydobyć od nich różne informacje. Dokładniej rozpoznaje ludzi — jej zdaniem — ciekawszych, przygotowując warunki do ich ewentualnego zwerbowania z założeniem, że będą wykorzystani od zaraz bądź dopiero w przyszłości. Zadaniem grupy drugiej jest bezpośrednie pozyskiwanie do współpracy wytypowanych osób, szkolenie ich i utrzymywanie z nimi łączności po powrocie do kraju, kiedy spełniają już rolę płatnych agentów.

Obie grupy, nie licząc konkurencyjnych ośrodków i placówek CIA, wykorzystują — jak z tego widać — międzynarodowy ruch osobowy, turystyczne, handlowe, kulturalne i sportowe kontakty naszych obywateli, ich przyjazdy w rejony pozostające poza zasięgiem — jak im się wydaje — wglądu polskiego kontrwywiadu oraz wyjazdy obywateli państw zachodnich do Polski.

Wywiady szeroko rozpościerają swoje gęste sieci. Wpadają w nie różni ludzie. Jedni — ci nieliczni — sami w nie się pchają bądź dają się nimi oplątać. Jednoznaczne są ich sylwetki, sylwetki zdrajców, zdemoralizowanych trutniów, podejmujących się działalności szpiegowskiej z najbardziej niskich pobudek. Ich haniebną karierę zamykają surowe, ale sprawiedliwe wyroki sądów polskich. Inni, dostawszy się w te sieci —

najczęściej przez własną naiwność lub lekko-  
myślność — odnajdują drogę powrotu. Wracają  
do kraju, zgłaszają się do Służby Bezpieczeństwa  
czy milicji, opowiadają co, gdzie i kiedy ich  
spotkało.

Jedni i drudzy stanowią niewielki margines.  
Ogromna reszta rozważnie omija pułapki. Nie  
daje się niczym sprowokować. Nie daje się wpro-  
wadzić w przykrą dla siebie sytuację. Unika nie-  
szczęścia.

W życiu nie wszystko jednak przebiega według  
utartych szablonów.

\*

Mieszkaniec jednego z polskich miast, Kazi-  
mierz N., rzemieślnik, człowiek niemłody i sta-  
teczny, wybiera się w drugą w swym życiu da-  
leką podróż za granicę. W pierwszą się nie wy-  
bierał. Do pierwszej był zmuszony. Było to w  
czasie okupacji. Łapanka, kilka siniaków na  
ciele od kolb żoldackich, brudny, bydlęcy wa-  
gon, szczelnie zamknięty ze wszystkich stron...  
i długie lata niewolniczej pracy w hitlerowskiej  
Rzeszy.

Wspomina te odległe dzieje, oglądając ze wzru-  
szeniem swój paszport z odcisniętymi w nim  
orłami. Paszport swego ojczystego kraju.

Jedzie do brata, który w latach międzywo-  
jennych wyemigrował w świat, pozostał w ob-  
cych stronach, wśród obcych ludzi.

Przed wyjazdem za granicę Kazimierz N. obszedł swoich znajomych i przyjaciół w skrojonym na tę okazję nowym garniturze, pożegnał się z nimi, obiecał podzielić się wrażeniami po powrocie do kraju. On, Kazimierz N., polski rzemieślnik, człowiek niemłody i stateczny, trzymając paszport w rękę czuje się ambasadorem swego kraju. Kraju, który się odradzał na jego oczach i z jego udziałem, który jest teraz jego dumą. I to tłumaczy swoim synom, żądając od nich dobrych wyników w nauce — w technikum, na studiach — godnej, aktywnej postawy w życiu i patriotycznego zaangażowania w pracy.

Znalazł się wreszcie we Francji. Jakież było jego zdziwienie, gdy stosunkowo szybko się przekonał, że oprócz brata oczekiwał na jego przybycie jeszcze ktoś, ktoś całkiem mu obcy, kto zakłócił jego pobyt w tym pięknym, gościnnym i tradycyjnie przecież nam przyjaznym kraju.

Kazimierz N. bacznie wszystko obserwował, stawiał rozważnie każdy krok, aby omijać pułapki, wreszcie, gdy poczuł się zagrożony, przerwał swój pobyt, pożegnał brata i najkrótszą drogą powrócił do Polski.

Był to rok 1963. Grudzień. Pociągi były puste. Ludzie spędzali święta przy wigilijnych stolach, w gronie swych najbliższych. Stanął pewnie na przydworcowym placu, spojrzał na panoramę swego miasta, które po wiekach wróciło do Macierzy, które ukochał jak rodzinne, poznańskie strony, głęboko odetchnął surowym, ale jakże



swojskim powietrzem. Nie czuł się bynajmniej osamotniony, choć nikt po niego nie wyszedł. Tu wszystko i wszyscy byli mu bliscy...

Mimo świąt, wkrótce po powrocie do domu, Kazimierz N. odszukuje „swego” dzielnicowego. Składa mu życzenia, ale nie tylko o to mu chodzi. Kazimierz N. chce jemu powierzyć — jako najbliższemu mu przedstawicielowi władzy, do którego ma zaufanie, który przecież i jego, Kazimierza N., zna dobrze i darzy wzajemnym szacunkiem — ważną tajemnicę, chce mu opowiedzieć swoje przeżycia i spostrzeżenia z Francji, chce uzyskać jego opinię, czy postępował słusznie, chce się poradzić, „co dalej”? Chce uprzedzić innych.

Taki już los dzielnicowego... I „w świątek, i w piątek” musi być na posterunku. Tym razem sierżant J.G. nie żałował, że musiał odejść od świątecznego stołu. Długo też do niego nie wracał. Bezpośrednio bowiem po spotkaniu z Kazimierzem N. udał się do komisariatu, zasiadł do maszyny i napisał notatkę służbową z rozmowy, notatkę, w której stwierdził między innymi: „Kazimierz N. przebywał w miejscowości Noyelles Godault koło Lille, gdzie mieszka były oficer carski Władimir Rychliński, usiłujący zwerbować go do pracy szpiegowskiej”.

Sprawą zainteresował się kontrwywiad. Informacje uzyskane od Kazimierza N. dotyczyły bowiem starego i dobrze znanego „klienta”. Rzucały nowe światło na jego działalność, stwarzały

nowe operacyjne możliwości rozpoznania aktywnego ośrodka wywiadowczego Agencji Wywiadowczej Obrony Stanów Zjednoczonych (DIA), działającego przeciwko Polsce z terenu Francji i związanego z rezydującym tam wówczas sztabem NATO. „Siwy lis” — taki pseudonim nadał mu jeden z jego współpracowników, Gerard Cichy. Przymiotnik określa jego wygląd, rzeczownik zaś — charakter. Feliks Kubiak nie był tak oględny w słowach i nazywał go po prostu „kanalią” albo „bydlęciem”.

Może nie byłoby sensu poświęcać mu tyle miejsca, gdyby nie fakt, że spośród tlicznej zgrai płatnych naganiaczy, co to „siedzą sobie tam jak u Pana Boga za piecem”, polują na ludzi, wpędzając ich w szpiegowskie sieci, rzecz jasna za solidną zapłatę od każdego „łebka”, którego namówią do zdrady, on — Władimir Rychliński — od lat wyróżniał się wyjątkową aktywnością. Jego działalność wciąż stanowiła potencjalne zagrożenie dla wielu osób nie tyle może naiwnych, ile raczej nieświadomych skutków jego chytrych umizgów, przechodzących później w bezcelne prowokacje.

Urodził się w roku 1894 w Dubnie, narodowość rosyjska. W roku 1915 ukończył szkołę oficerską w stopniu porucznika. Do lutego 1917 roku służył w 2 pułku piechoty rosyjskiego korpusu ekspedycyjnego na froncie francuskim, skąd został przeniesiony do sztabu głównego armii carskiej. Kilka miesięcy służył w 22 pułku strzel-

ców syberyjskich, a następnie pełnił na terenie Ukrainy funkcję łącznika między sztabem a francuską misją wojskową. W 1919 roku został tłumaczem międzyalianckiej komisji w Niemczech. 22 sierpnia 1920 roku wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną już jako oficer brytyjskiej brygady artylerii polowej. W 1921 roku uciekł do Polski, tu zdał maturę, przez jakiś czas był nauczycielem w polskich szkołach podstawowych, a w 1926 roku został delegowany przez Ministerstwo Oświaty do Francji, aby uczyć dzieci polskich emigrantów antykomunizmu. W tym zawodzie, pełniąc jednocześnie rolę tłumacza przysięgłego przy francuskim sądzie apelacyjnym, pracował do wojny. Od 1949 roku, do momentu zdemaskowania siatki szpiegowskiej Robineau, skierowany przez wywiad francuski pracował w konsulacie francuskim w Szczecinie. Nawiazywał i utrzymywał wówczas kontakty z byłymi oficerami carskimi i białogwardzistami. Uniknął aresztowania — w czasie realizacji sprawy Robineau był na urlopie we Francji — ale został odsunięty od działalności szpiegowskiej na rzecz wywiadu francuskiego. Przeszedł na żołąd wywiadu USA. „Siwy lis” każdą kolejną kompromitację starał się okupić nowymi, choć zawsze krótkotrwałymi, sukcesami. Uważał się za mistrza w swoim szpiegowskim fachu. Powiedział, że zna się dobrze na ludziach, wie, „czym, kogo, z której strony”. Służbę dla wywiadu znakomicie ułatwiała mu praca tłumacza przysięgłego,



a zwłaszcza współpraca z firmą turystyczną Augusta Gralli w Lens. Znał zapotrzebowania swoich „panów” na informacje o określonych obiektach bądź z określonych miejscowości.

Jego ręce wypełniały zaproszenia przesyłane z Francji dla osób zamieszkałych w Polsce. Mieszka tu a tu, pracuje tam a tam... Porównywał je z kwestionariuszami wywiadowczymi, selekcjonował interesujące wywiad przypadki, zbierał informacje o zapraszanych, obmyślał sprytnie pułapki. Na tej samej zasadzie typował i przygotowywał — czasem sam, czasem ze swymi chlebobdawcami — kurierów i łączników spośród tych, którzy wyjeżdżali z Francji do Polski. Nie skutkowały nagabywania? Skutkował szantaż i nacisk. Tak to przynajmniej tłumaczył na procesie Gerard Cichy.

Oczekiwał W. Rychliński na upatrzone wcześniej ofiary na dworcach i lotniskach Francji, podejmował je we własnym mieszkaniu, wyciągał od nich informacje, przygotowywał do spotkania z „miłymi kulturalnymi amerykańskimi” żurnalistami...”

Nie podejrzewał tylko, że tej jego działalności postanowił położyć kres dzielnicowy MO, pracujący w pewnym komisariacie położonego gdzieś w Polsce miasta, codziennie przemierzający swój rejon, znający jego mieszkańców, dbający o ich spokój i bezpieczeństwo.

Był styczeń 1964 roku. Zmarznięty śnieg głośnie chrząścił pod butami dzielnicowego MO, sierżanta J.G., gdy szedł rano do swego komisarjatu. Już od lat miał tę drogę tak wymierzoną, że zdążył i z ludźmi pogadać, i przyjść na czas do pracy. W ten sposób codziennie dokonywał przeglądu sporej części swojego rejonu.

Ledwo zdążył zawiesić płaszcz i przywitać się z kolegami, gdy w drzwiach pokoju pojawił się przełożony.

— Ubierzcie się, sierżancie, jedziemy. — W samochodzie dopiero wyjaśnił: — Jedziemy do powiatówki, zastępca komendanta prosił nas do siebie. Widocznie coś ważnego i pilnego. Wiecie może, o co chodzi? — spytał.

Sierżant J.G. zamyślił się. Tyle spraw ma na głowie. Skąd może wiedzieć, co interesuje tych z powiatu.

Sekretarka powitała ich miłym uśmiechem i pytaniem:

— Dla kogo kawa, dla kogo herbata? Bo major o tej porze pije zwykle małą czarną — dodała wyjaśniająco.

Nie zdążyli się zameldować, a już major ścisnął ich dłonie. Zaprosił do stolika i począł wyjaśniać cel wezwania. Po chwili do gabinetu wszedł komendant powiatowy. Jednocześnie sekretarka przyniosła cztery filiżanki kawy. Nastrój niepewności i, co tu ukrywać, lekkiego zdenerwowania został rozładowany. W pokoju unosił się przyjemny zapach świeżo parzonej kawy.

— Dziękuję, towarzyszu sierżancie. Informacja przekazana przez was, a uzyskana od Kazimierza N., ma duże znaczenie dla naszego kontrwywiadu. Ważne, że z rozmowy z obywatelem wyciągnęliście należyte wnioski, że relacja o tym, co go spotkało za granicą, trafiła do nas szybko — wyjaśnił wreszcie powód spotkania major. — Widzicie, nie każdy decyduje się od razu iść z tym, co go gryzie, do komendy. Nie każdy poza tym zdaje sobie sprawę, że takie czy inne, według niego mało ważne spostrzeżenia, mogą mieć dla nas duże znaczenie. Ludzie powinni mieć do nas zaufanie. My powinniśmy mieć u ludzi autorytet i szacunek. Wtedy będziemy wiedzieli wszystko. Nikt i niczym nas nie zaskoczy, a obywatele, podobnie jak Kazimierz N., przychodzić będą do nas sami. Będą się zwierzać ze swoich trosk, radzili w trudnych sprawach. Tam, gdzie trzeba, będziemy im pomagali. Taka jest nasza rola.

Major spojrział na twarze siedzących w pokoju mężczyzn i uśmiechnął się widząc rozmarzoną minę sierżanta. Widać było wyraźnie, że zgadza się z tym wszystkim, co usłyszał przed chwilą, że on też tak właśnie widzi swoją rolę.

— W sprawach wywiadu każda, nawet drobna informacja, jakiś sygnał, może stanowić klucz do rozwiązania zagadki — kontynuował major. — Skąd mamy te informacje czerpać? Właśnie od społeczeństwa, od ludzi, którym bezpieczeństwo kraju tak samo jest drogie, jak nam.



Weźmy na przykład Kazimierza N. Jego reakcja najlepiej świadczy o wysokim poczuciu własnej godności, o jego patriotyzmie. A przecież jest on zwyczajnym, przeciętnym obywatelem. Obcym wywiadowi nie jest łatwo „kupić” Polaka, nakłonić go do zdrady ojczyzny i działalności przeciwko niej. Takich jak Kazimierz N. jest wielu. Nie ma w tym żadnej ich winy, że stają się obiektem zabiegów i umizgów ze strony wywiadów. Odrzucają przecież wszelkie propozycje, pędzą natrętów do diabła. Tylko potem, gdy wrócą do kraju, przychodzą refleksje, działają różne psychiczne hamulce i nie wszyscy nam o tym meldują. Stąd mogą się zdarzyć pewne luki w śledzonym przez nas obrazie pracy naganiaczy, agentów, ośrodków. Kto zresztą wie, czy gdyby Kazimierz N. nie miał do was zaufania, towarzysz, zdobyłby się na odtworzenie swoich przeżyć komu innemu. Był przecież wobec siebie w porządku i to go uspokajało. Mógł się liczyć z tym, że spotka się z niedowierzaniem, z brakiem zaufania, z podejrzliwością. Na pewno nie chciał już mieć z tym jakichkolwiek kłopotów. Na zagranicę, po tym, co tam przeżył, „położył krzyż raz na zawsze”, jak powiedział.

Major skończył już swoją kawę i kończył dość długi wstęp. Teraz powinien przejść do sedna sprawy. Westchnął ciężko i ciągnął dalej:

— Próba pozyskania do współpracy Kazimierza N. przez zidentyfikowany przez nasz kontrwywiad ośrodek wywiadu świadczy o zaintere-

sowaniu tego ośrodka naszym miastem, o dążeniu do ulokowania w nim agenta. Być może, jest to związane z budową nowych zakładów... Do komendy wojewódzkiej zgłosił się niedawno obywatel, który podczas swego pobytu w RFN był wielokrotnie pytany o budujący się na terenie jego powiatu zakład przemysłowy. Indagującym go agentem, którzy, jak się okazało, byli również pracownikami DIA, chodziło o określenie terenu budowy oraz dróg do niej prowadzących. W jego przypadku poszli więc nieco dalej niż w stosunku do Kazimierza N. Ujawnili swoje konkretne zainteresowania.

Po wizycie u majora sierżant J.G. wracał do domu znanymi sobie ulicami, mijał licznych przechodniów. Śnieg pod butami lekko chrząścił, mroźny wiatr smagał twarz. Idąc myślał o niedawnej rozmowie z majorem. Nie spodziewał się wcale, że przeciwko dysponującej ogromnym budżetem i najnowszymi zdobyczami techniki Agencji Wywiadowczej Obrony stanie on — dzielnicowy MO.

Jeszcze raz przemyślał rozmowę, którą przeprowadził z nim również zastępca komendanta powiatowego do spraw bezpieczeństwa, jeszcze raz zastanowił się nad otrzymanymi poleceniami. Teraz widział pewne sprawy w nowym świetle. Charakter tej rozmowy, decyzje, jakie podczas niej zapadły, upoważniały go do bezpośredniego kontaktu — konsultacji i współpracy — z porucznikiem K. z kontrwywiadu.

Jak dawniej widywał się z Kazimierzem N., chociaż od tamtej grudniowej nocy więcej do tego drażliwego tematu nie wracali. Sierżant nie widział takiej potrzeby. Ale teraz wiele się zmieniło. Teraz chciałby usłyszeć i rozważyć od nowa tę historię.

Umówili się na spotkanie w kawiarni na nowym osiedlu. Obaj zaglądali do niej rzadko, bo to i czasu niewiele, i żadnemu z nich nie „po drodze”. Sierżant zjawił się w umówionym miejscu o kilkanaście minut wcześniej. Przyszedł po cywilnemu, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Rozejrzał się po sali, zaczekał, aż zwolni się stolik w przytulnym kącie, zamówił kawę.

Próbował, oczekując na swego rozmówcę, przeczytać popołudniową gazetę. Zdążył tylko przejrzeć jej tytuły. Punktualnie o umówionej godzinie przy wejściu pojawił się Kazimierz N.

Ich rozmowa była zupełnie szczerą. Już na wstępie okazało się, że i Kazimierz N. od kilku dni jej pragnął. Telepatia, zastanowił się sierżant.

Mówili o różnych aktualnych sprawach. Kazimierz N. z nie ukrywaną dumą opowiadał o synach, którzy bardzo dobrze zaliczyli półroczce, o swej pracy i planach. Najważniejszym wszakże tematem były jego wspomnienia z Francji.

Z zadowoleniem przyjął wiadomość, że pochwalił go zastępca komendanta powiatowego. Był tym szczerze wzruszony.

— Panie sierzancie — powiedział — a jakże



ja mógłbym postąpić inaczej? Przecież ja jestem Polakiem.

Za oknami zadymionej kawiarni szalała śnieżycą. Co jakiś czas ktoś wpadł zziębnięty, otrzypywał w korytarzu buty i nie znajdując wolnego miejsca przy stoliku przeciskał się do baru, byle się trochę zagrzać, czegoś ciepłego napić.

A w kącie cichej sali, przy kieliszku koniaku, Kazimierz N. snuł po raz wtóry swoje wspomnienia. Opowiadał teraz wszystko ze szczegółami. Wspólnie kojarzyli sobie pewne fakty. Zastanawiali się... Ustalili w ten sposób i odtworzyli szczegółową chronologię wydarzeń.

Dokumenty na wyjazd wraz z instrukcją o sposobie załatwienia tego wyjazdu Kazimierz N. otrzymał od Władimira Rychlińskiego, który pośredniczył w tego rodzaju sprawach z ramienia firmy turystycznej Gralli. Rychliński zatem wiedział, kto, skąd, do kogo i na jak długo przyjeżdża. Zainteresował się Kazimierzem N. Posłał swoją żonę do jego rodziny, by go tam powitała.

Wkrótce po przyjeździe Kazimierz N. dowiadywał się, że nie tylko Rychlińscy zapalali do niego miłością. Aż czterokrotnie przyjeżdżał do brata tajemniczy (nigdy się nie przedstawiał) jegomość, wypytując go, kiedy i na jak długo spodziewa się gościa z kraju oraz jaki przewidywał dla niego plan pobytu.

Z jego natrętnych i prymitywnych wywodów wynikało, jakoby przyjazd Kazimierza N. miał związek z wielką polityką, z sytuacją międzynarodową, z „obroną świata przez Stany Zjednoczone przed groźbą komunizmu”, a zatem trzeba go przyjąć gościnnie i stworzyć takie warunki, w których czułby się jak najlepiej.

Być może tych nie zapowiadanych i niepożądanych wizyt byłoby jeszcze kilka, gdyby Amerykanin nie przebrał miary i swoją beczelnością nie uraził honoru i godności brata. Gdy wyciągnął plik banknotów, które chciał wręczyć „na pokrycie kosztów przyjazdu Kazimierza N.”, otrzymał potężnego kopniaka i wyleciał daleko za drzwi na zakurzoną ulicę. Dosłownie. I już więcej się nie pokazał.

Była to właściwa i skuteczna metoda.

Zdziwiło to wprawdzie Kazimierza N., ale incydent ten uznał za jakieś nieporozumienie.

— Nie mam nic wspólnego z polityką — zapewniał brata. — Jestem prostym, uczciwym człowiekiem, nikomu nie zagrażam, nikomu — dodał z uśmiechem — nie chcę wadzić.

Pierwsze refleksje przyszły podczas przyjęcia powitalnego, na które przybyli Rychlińscy.

Rychliński niezwykle serdecznie „zaopiekował się” Kazimierzem N. Oferował mu różne grzeczności. Proponował umożliwienie zwiedzenia Francji, oglądanie filmów, wyjazd do Paryża... Zapraszał go do siebie. Było tego za wiele jak na pierwsze spotkanie, a poza tym Kazimierz N.

wcześniej zdążył się dowiedzieć, że Rychliński ma jakieś podejrzone powiązania i tajemnicze kontakty, że miejscowi Polacy po prostu go unikają.

Wtedy też przypomniał sobie, że przed wyjazdem brat prosił go o przysłanie lub przywiezienie szczegółowego planu jego miasta — był on podobno potrzebny znajomemu adwokatowi prowadzącemu sprawę spadkową. Wprawdzie, planu tego nigdzie nie mógł kupić, ale na wszelki wypadek spytał znajomego mecenasa, czy taki dokument wolno mu wysłać. Teraz przepisał więc brata, komu ten plan był potrzebny. Czyżby Rychlińskiemu? Zgadzało się.

Minał tydzień pobytu Kazimierza N. we Francji, kiedy nagle, podczas nieobecności rodziny, przyszła Rychlińska i, ubolewając, że o nich nie pamięta, zaprosiła do siebie w gościnę.

U progu małego domu, jakich wiele w tej górniczej miejscowości, gospodarz wita go wylewnie i serdecznie. Na stole do wyboru — polska żubrówka i wyborowa, francuski koniak, szkocka whisky. Rozmowa ma charakter ogólny: pogoda, pierwsze wrażenia, samopoczucie, ale po chwili gospodarz, tak „z życzliwości”, pyta o warunki materialne, o żonę, dzieci, sytuację w rodzinnym mieście... Na pożegnanie wręcza gościowi kilka książek „dla zabicia nudy”.

Mija znowu parę dni. Brat i bratowa pracują. On na dole w kopalni, ona w jakimś sklepie. Kazimierz N. jest sam, zaczyna się nudzić.



Przewertował już zawartość domowej biblioteczki, przeczytał książki od Rychlińskiego. Włącza radio, ale języka nie rozumie, a Polski aparat „nie łapie”.

Pojawia się niepokój o najbliższych, tęsknota za domem, za krajem, który już teraz spowija jesienna mgła. Tu wszystko takie inne. Nie było babiego lata, nie czuć tych niepowtarzalnych zapachów polskiej jesieni. Brak znajomych, przyjaciół... Do tego wszystkiego to braterskie ostrzeżenie: unikaj ciekawskich, nie wdawaj się w rozmowy z Rychlińskim. No i ta intrygująca zagadka — gdzieś tu czyhają na mnie Amerykanie. O co im, do diabła, chodzi?

Chwilę zadumy przerywa dzwonek u drzwi. Rychliński. Serdeczny i wesoty. Rześki staruszek. Przyszedł z przyjacielską, sąsiedzką wizytą.

Rozmowa znowu nic nie znacząca. Ale tylko do czasu. Stary lis prowokuje. Porusza „sprawy handlowe”.

— Musi pan sobie coś kupić, no i rodzinie także. Jest okazja. Bratu się wprawdzie nie przelewa, haruje na dole, odłożyć wiele nie może, zarabia tyle tylko, aby żyć z dnia na dzień. Mimo to rozwiązanie się znajdzie. Mogę panu pomóc.

— Panie — zachnął się Kazimierz N. — Nie po to tu przyjechałem. Nie chcę niczyjej pomocy, a tym bardziej jałmużny. Ja bym mu sam pomógł, gdyby potrzebował... Za kogo pan

mnie ma? Czy pan może myśli, że my w Polsce...

Wstał, zdenerwowany i urażony. I gdyby nie przebiegłość Rychlińskiego i jego bogate doświadczenie w prowadzeniu tego typu rozmów, spotkałby go niewątpliwie ten sam los, co owego Amerykanina. Gość zaczął się sumitować. Przeproszał, wyjaśniał... Tłumaczył, że miał najlepsze intencje, zapewniał o najwyższym poważaniu i szacunku dla swego rozmówcy. Mieszał z błotem tych, którym tylko handelek w głowie, którzy nie mają godności, którzy by się diabłu sprzedali. Starał się przedstawić jako człowiek godny szacunku i zaufania. Ale gdy tylko temperatura spotkania opadła, powrócił, już z innej strony, do tego, z czym przyszedł.

— Widzi pan, mam w Polsce wielu przyjaciół, którym chciałbym sprawić jakąś przyjemność. Dlatego, niech mnie pan źle nie rozumie, chciałem połączyć jedno z drugim. Ja bym tu panu dał dolary na jakieś zakupy, a pan by w kraju przekazał ich równowartość moim starym, dobrym kumplom.

Kazimierz N. propozycji nie przyjął. Rychliński nie zrezygnował. Pewnego dnia zaproponował, że pozna Kazimierza N. z „przemitym amerykańskim dziennikarzem”, z którym jest mocno zaprzyjaźniony.

W określonym dniu spotkali się we trójkę. Amerykanin nie znał języka polskiego, więc Rychliński tłumaczył. Rozmowa nie nie zna-

cząca. W końcu postanowili udać się na zwiedzanie Lille. Najpierw mieszkanie Rychlińskiego opuścił „dziennikarz”. Czekał na nich w swoim samochodzie zaparkowanym na bocznej uliczce.

W drodze do Lille Rychliński spytał Kazimierza N., czy nie zechciałby pojechać także do Paryża. Nie dzisiaj, oczywiście. Umówimy się... A w Paryżu, panie, jest co oglądać. Kazimierz N. zgadza się. Ustalają termin wyjazdu. Amerykanin wręcza Rychlińskiemu 50 franków na bilet. „To mi wystarczy” — pomyślał Kazimierz N. W ciągu całej podróży nie tyle był pochłonięty oglądaniem Lille i okolic, ile tym, co obaj panowie — Amerykanin i jego unижony sługa, carski oficer Rychliński — mówili. Z potoku ich słów i pytań wyłowił te, które niedwuznacznie wskazywały na ich właściwą profesję: czy służył i kiedy w wojsku, czy zna się na uzbrojeniu i stopniach wojskowych, czy w jego mieście stacjonują jednostki wojskowe, czy spotyka tam oficerów i jakich stopni, czy często podróżuje po kraju, czy wie... co to jest wywiad?

W Noyelles Amerykanin zatrzymał samochód z dala od mieszkania Rychlińskiego. Pożegnali się. Kazimierz N. pozostał z Rychlińskim. Do domu wracali pieszo. Po drodze Kazimierz N. spytał, czy zdążą w ciągu dnia odbyć wycieczkę do Paryża?

— Na pewno nie — odpowiedział Rychliński. — Posiedzimy tam sobie z pięć dni.



— Pięć dni? — zdziwił się Kazimierz N. — A co ja tam będę robił tak długo? O co temu dziennikarzowi chodzi?

— Niech pan będzie o wszystko spokojny. Pogadają tam z panem. Mnie przy tym nie będzie, bo „oni” mają swojego tłumacza. To są solidni panowie. O tym nikt się nie dowie. Być może — ciągnął dalej — będą tam pana badać. Niech pan nie kłamie, bo oni mają taki aparat, który wykaze każde kłamstwo. Był tutaj jeden kolejarz z Poznania, którego w czasie badania złapali na kłamstwie. Za to inny człowiek, z Nowej Huty, który im w pełni zaufał i przekazał bardzo cenne informacje, wywiózł z Paryża walizę pełną zakupów. Teraz żyje sobie spokojnie i nikt go nie rusza.

Nie miał Kazimierz N. już żadnych wątpliwości, co się za tym kryje, choć dotąd nikt nie mówił mu wprost, o co chodzi.

Miał świeżo w pamięci przestrogi brata, bratowej i ich sąsiadów. Był jednak ciekaw, co będzie dalej. Był siebie pewny, miał do siebie zaufanie.

— Tanio to ja się nie sprzedam — oświadczył Rychlińskiemu.

— Na pewno dobrze zapłacą — odpowiedział „staruszek”. — Inaczej to i ja bym sobie nimi dupy nie zawracał — dodał niby w swojskim stylu.

— Ale w jaki sposób? — dociekał.

— Są różne formy. Jedna bezpieczniejsza od

drugiej. Na przykład przez Pekao. Wie pan, niby rodzina, czort do tego dojdzie...

Bratu nie wspomniał o tej historii ani jednym słowem. Nie chciał go drażnić. Ostatecznie ci tutaj, wśród tych ludzi, musi żyć. Ale czy mnie, rozmyślał, wolno samowolnie brnąć w to dalej? Czym się to skończy i po co mi to potrzebne? Czy w kraju władze mi uwierzą?

Postanowił wysłać telegram do żony: „Chcę pilnie wracać, wyślij po mnie depezę”.

Nie pojechał do Paryża. Wrócił do swego rodzinnego miasta. Wkrótce otrzymał od Rychlińskiego list z życzeniami świątecznymi i noworocznymi. Przy okazji Rychliński dopytywał się, jak mu minęła podróż do kraju i czy gwałtowne wezwanie do domu było fikcyjne, czy też były ku temu istotne powody. Zapowiedział przysłać paczki z pomarańczami.

Sierżant J.G., zgodnie z wcześniejszą umową, zaraz po rozmowie z Kazimierzem N. miał się spotkać z pracownikiem kontrwywiadu, porucznikiem K. Zatelefonował, gdzie należało, poprosił go do aparatu, przedstawił się i zaproponował spotkanie.

Teraz popijając kawę odtwarzał przebieg i treść relacji Kazimierza N. Co pewien czas porucznik chwycił za długopis i notował jakiś nowy szczegół.

Porucznikowi nie były obce strony, w których przebywał Kazimierz N. Tam właśnie wyrastał, wśród polskiej górniczej braci, nim po wojnie z ojcem przyjechał do Wałbrzycha.

Gdy po latach syn przedstawił mu dyplom wrocławskiego uniwersytetu, ojciec długo nie mógł ze wzruszenia wydobyć z siebie słowa. To był ich wspólny dyplom. Obaj na niego zapracowali. Obaj wtedy to samo, myśleli. Z uznaniem przyjął stary górnik decyzję syna o podjęciu pracy w Służbie Bezpieczeństwa. Powiedział tylko: „Wierzę w ciebie, synu”.

Teraz porucznik K. przypominał sobie i ojcowskie słowa, i skromne górnicze osiedla we Francji, i ich dzielnych, mocno z Polską związanych, mieszkańców.

Sierżant J.G. spojrział na zegarek.

— Na mnie już czas — powiedział. — W razie potrzeby jestem zawsze do waszej dyspozycji.

Rozstali się jak starzy przyjaciele. Porucznik jeszcze tego samego dnia miał jechać do Warszawy.

Stara sprawa o kryptonimie „Adwokat”, prowadzona przed laty przez kontrwywiad, sprawa agenta i naganiacza wrogich wywiadów Rychlińskiego, nagle ożyła. Wzbogaciła się o nowe szczegóły działalności tego człowieka, tym razem na rzecz ośrodka DIA.

Tymczasem między Kazimierzem N. a Rychlińskim trwa wymiana korespondencji. W liście z 2 marca 1964 roku Rychliński stara się do-



wiedzieć, czym mógłby zrobić Kazimierzowi N. „przyjemność”, co przysłać jemu lub jego dzieciom. Tłumaczy motywy swego postępowania. „Ponieważ pan jest bardzo sympatyczny Polak. My rzadko takich spotykaliśmy i mnie podoba się podtrzymywać korespondencję z polską rodziną”. Ponadto informuje, że: „Brata pana widzimy rzadko i nie mówimy o naszej korespondencji z panem. To są nasze sprawy prywatne i oni nie muszą o tym wiedzieć. Więc niech pan też nic im nie mówi”. Wreszcie zaprasza do siebie Kazimierza N., jeśli zechce, to z małżonką, „bo z dziećmi byłoby za drogo”. Dopisuje: „To wszystko jest między nami”.

Po konsultacjach z kontrwywiadem (za pośrednictwem dzielnicowego) Kazimierz N. odpisał, że mógłby ewentualnie wyjechać do Francji — jeśli, oczywiście, otrzyma paszport — ale nie śmie już brata narażać na koszty przejazdu. Z zaproszenia Rychlińskiego mógłby skorzystać pod warunkiem, że pomoże mu on uzyskać jakąś godziwą pracę, najlepiej w jego fachu, za którą pokryje kosztą przejazdu i utrzymania. Mógłby też dokonać zakupów, na których głównie zależy jego zonie.

W czerwcu tego samego roku Rychliński ponownie zapewnia Kazimierza N., że o ich kontaktach ani jego brat, ani bratowa się nie dowiedzą, bo „...to jest wyłącznie całkiem prywatna nasza sprawa”. Przypomina też, by postarał się dowiedzieć, czy do końca roku otrzyma

paszport. W tym samym liście żona Rychlińskiego, prosząc Kazimierza N. o kawior, informuje, że może go przesłać przez zaprzyjaźnionego z nimi Gerarda Cichego z Francji, który jeździ do Polski z wycieczkami. Podaje w związku z tym adres znajomej Cichego w Poznaniu.

W sierpniu Rychliński załącza pozdrowienia od żony i — po raz pierwszy — „od znajomego”.

W styczniu 1965 roku Kazimierz N. otrzymuje zaproszenie do Francji wraz z deklaracją pokrycia kosztów podróży w obie strony. Wystawcą tego zaproszenia jest nie znana mu osoba: Jan Wdowczyk. Sprawę wyjaśnia list Rychlińskiego.

„Szanowny Panie Kazimierzu

Wysyłam panu oświadczenie utrzymania sporządzone przez pana Jana W., którego pan poznał u nas w czasie swego pobytu we Francji. Na pewno pan go dobrze sobie przypomina. Miejscowość, gdzie on zamieszkuje, jest oddalona od brata o jakieś 60 km. Połączenie dość trudne, autobusami 2—3 godziny w jedną stronę. Zresztą ja spotkam pana na dworcu w Lille. Nadeślę szczegółowy rozkład jazdy na trasie Warszawa—Poznań—Lille. Niech pan rozpoczyna starania z chwilą nadejścia tego dokumentu. Wczoraj zarejestrowałem go osobiście w konsulacie generalnym PRL w Lille. Za 7—10 dni prześlę fundusze na podróż... Robotę gwarantujemy i pan będzie mógł zwrócić pożyczkę”.

Przekazując te dokumenty — tym razem już

oficerowi kontrwywiadu, który po zebraniu danych osobowych Kazimierza N. i zweryfikowaniu kanałami operacyjnymi prawdziwości jego relacji nawiązał z nim osobisty kontakt — Kazimierz N. wyraził chęć wyjazdu do Francji, „jeśli polski kontrwywiad uzna to za celowe”. Zwierzył się jednocześnie, że jego żona nie ma zamiaru mu towarzyszyć, że nie jest zadowolona, iż on jest skłonny z zaproszenia skorzystać, a zresztą jako wystawione przez obcą osobę traktuje je podejrzliwie i obawia się, żeby nie miał z tego powodu nieprzyjemności.

Oficer kontrwywiadu, porucznik K., był przewidujący. W notatce z tego spotkania napisał między innymi: „Należy wnioskować, iż osoba Wdowczyka została wykorzystana przez wywiad jedynie do firmowania zaproszenia. Wydaje mi się, że Kazimierz N. z Wdowczykiem może się nawet nie spotkać, gdyż Rychliński będzie go oczekiwał na stacji, a następnie odda w ręce wywiadu”. Zaproponował też szereg przedsięwzięć mających na celu pełną kontrwywiadowczą kontrolę sytuacji operacyjnej, a także odpowiednie przygotowanie Kazimierza N. do podjęcia i realizacji tajnej misji.

Kazimierz N. przyjeżdża do Lille 23 kwietnia 1965 roku. I już na wstępie spotyka go pierwsze rozczarowanie: nie widzi Rychlińskiego, który — zgodnie z umową — miał go oczekiwać na stacji. W ogóle nikt go nie wita. Wszystko wydaje mu się jeszcze bardziej obce niż poprzednio. Co ro-



bić dalej? Do brata nie może się udać, bo on nic o jego przyjeździe nie wie. A poza tym takie posunięcie prawdopodobnie przekreśliłoby starannie przygotowany plan. Podejmuje decyzję, zwierza się ze swych kłopotów współtowarzyszce podróży z Polski, którą serdecznie podejmuje oczekujący na dworcu siostrzeniec. Oboje są Polakami. Chętnie zabiorą go do swego samochodu, podwiozą, gdzie trzeba. Ale gdzie? Do Wdowczyka. On firmował zaproszenie, on powinien mnie skontaktować z Rychlińskim, postanawia Kazimierz N.

U kresu drugiego etapu podróży czeka Kazimierza N. następne rozczarowanie. Najpierw spotyka starego Wdowczyka, ojca Jana, który o niczym nie wie, jest zaskoczony, podejrzewa jakąś pomyłkę. Tak samo reaguje jego synowa, chociaż ona po chwili zaczyna się czegoś domyślać. Jest zdenerwowana, odwołuje go na bok i prosi, by nic nie mówił teściowi o wysłanym przez męża zaproszeniu.

Wprowadza go do domu, częstuje jakimiś kanapkami, wyjaśnia, że pochodzi z tego samego co on miasta, że wyszła za mąż zaledwie przed trzema laty. Ogólna rozmowa — co słychać w jej rodzinnym mieście, jak minęła podróż. Wieczorem wraca z pracy jej mąż. Jedzą kolację. Apetyt Kazimierzowi N. nie dopisuje. Inaczej sobie to wszystko wyobrażał.

Po kolacji z młodymi Wdowczykami jadą samochodem do Rychlińskiego. Odległość około

60—70 km. Rychlińscy są w domu. Uradowani, chociaż zdziwieni. Sprawa szybko się wyjaśnia — nie otrzymali ostatniego listu od Kazimierza N., w którym podawał datę swego przyjazdu. Następnego dnia rano Rychliński wysyła depezę i list — jak oświadcza — do pracownika wywiadu amerykańskiego w Paryżu.

Mijają trzy dni. W tym czasie Rychlińscy wielokrotnie wracają do tego samego tematu, zasypują go pytaniami: czy po powrocie z Francji interesowała się nim milicja, czy i kto wypytywał o jego pobyt we Francji, czy przy zdawaniu paszportu o nic go nie indagowano, czy udzielano mu jakichś wskazówek w związku z ostatnim wyjazdem za granicę?

Dwudziestego szóstego kwietnia wieczorem pod domem Rychlińskiego zatrzymuje się granatowy Peugeot 404, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Pierwszego Kazimierz N. poznaje — to „dziennikarz”. Teraz przedstawia się jako Carl. Wysoki, tegi, dobrze zbudowany, mańkut. Tak, Kazimierz N. nie ma wątpliwości, to jest ów „dziennikarz” poznany uprzednio u Rychlińskiego.

Drugi przedstawia się jako „Mik”. „Mikołaj”, mówi po polsku. Jest młodszy od Carla. Nie wygląda na więcej niż 30 lat. Wzrost prawie taki sam. Także ciemny blondyń, krótko ostrzyżony, włosy lekko przerzedzone, twarz pociągła, policzki zapadłe, podbródek wysunięty do przodu, cera tłusta, wągrowata, nogi pałakowate.

Dłuższy czas rozmawiają z Rychlińskim po francusku. Kazimierz N. nic nie rozumie. W końcu zegnają gospodarzy i zabierają gościa z Polski do Paryża. Tam lokują go w hotelu „Tilsit” przy ul. Brey. Dopiero rano Carl załatwia formalności w recepcji. Wychodzą do miasta, ale nie idą daleko. W samochodzie zaparkowanym w pobliżu hotelu czeka Mik i ich szef. Jadą do „biura”. Po drodze zatrzymują się na śniadanie.

Oryginalne jest to biuro. Uliczka w pobliżu Łuku Triumfalnego, zwykła kamieniczka zamieszkała przez licznych lokatorów, trzecie piętro, pokój z kuchnią. Nie ma nawet przedpokoju. Wewnątrz tapczan, niski stół, kilka foteli, szafka z telefonem.

Wstępna rozmowa, później pytania dotyczące życiorysu. Proszą o wszystkie szczegóły, od urodzenia aż do przyjazdu do Francji. Mik tłumaczy. Carl notuje. Pytają, co go skłoniło do przyjazdu do Francji, a — tym samym — wyrażenia zgody na współpracę z wywiadem.

— Wyście mnie sami do tego nakłonili. Po rozmowie z Carlem w sześćdziesiątym trzecim roku nie dawaliście mi spokoju. Poprzez Rychlińskiego dostawałem listy, pomarańcze, rower dla syna, zaproszenie. Obawiałem się, że to może zwrócić uwagę polskich władz. Skorzystałem z przesłanego przez was zaproszenia. Rychliński obiecał mi tu pracę. Chcę zarobić...

Wyjaśnienia te trafiły im widać do przeko-



niania. Powrócili do życiorysu. Pytali o krewnych i znajomych. Żądali dokładnego adresu zamieszkania, kazali robić szkice. Szczególnie interesowali się, kogo zalicza do swoich przyjaciół, do kogo ma pełne zaufanie. Żądali charakterystyk tych osób. Obiecali powrócić do tego tematu w okresie późniejszym. Radzili, by sobie wszystko dokładnie przemyślał, a później im szczegółowo opisać. Podobnie inne zagadnienia, o które pytano go w dalszej kolejności: lokalizacja i rodzaje jednostek wojskowych, ich liczebność i wyposażenie. Podczas rozmowy na ten temat pracownicy wywiadu posługiwali się mapą, na której mieli naniesione różne symbole. Każdą informację konfrontowali z mapą. Nie wszystko się zgadzało. Prosił o szkice niektórych obiektów (przewidziano to w planie szkolenia przed wyjazdem). Przekazał informacje takie i tyle, że nie mogło to przynieść szkód naszej obronności, a przeciwnika utwierdzało w przekonaniu, że ma dobre chęci i nadaje się do współpracy.

W sumie więc egzamin ten Kazimierz N. zdał, zgodnie z wcześniejszymi założeniami, a nota wystawiona mu przez obie strony musiała być pozytywna. Pierwsza rozmowa trwała około trzech godzin, po czym Mik odprowadził go pod hotel i pokazał miejsce, w którym miał czekać o godzinie dziewiętnastej.

Następnego dnia już od jedenastej dalszy ciąg rozmowy na temat życiorysu. Mieszkanie to sa-

mo co poprzednio. Wszystko o rodzinie, znajomych, adresy, nazwiska... Znów wspólna kolacja i pożegnanie przed hotelowym pokojem.

W dniu 29 kwietnia Mik czeka w umówionym miejscu z nowym osobnikiem. Przedstawia go jako kolegę, który zna język polski i oprowadzi Kazimierza N. po Paryżu. Człowiek ten nic o sobie nie mówił, ale Paryż znał. Oprowadzał po nim swego podopiecznego przez dwa dni, bacznie śledząc sposób jego zachowania się, zainteresowania, nawyki.

Pierwszego maja 1965 roku Mik oświadcza, że zabiera Kazimierza N. na badania do psychologa w celu sprawdzenia jego prawdomówności.

Badania odbywały się w pokoju hotelowym i miały typowy w takich przypadkach przebieg. Najpierw luźna rozmowa, seria pytań, potem aparat do wykrywania kłamstw.

Kazimierz N. nie chciał się na to zgodzić. Protestował.

— Albo mamy do siebie zaufanie, albo w ogóle nie mamy o czym rozmawiać — tłumaczył. — Nie uznaję żadnej maszynki, nie wierzę maszynom. Cenię swój honor i swoje słowo. Jeśli nie macie dla mnie szacunku, to do widzenia.

Spokojnie przepraszali, wyjaśniali, argumentowali, że oni też „co pół roku muszą się badać”. Po przekornym upewnieniu się, „czy to aby nie boli”, wyraził zgodę.

Pouczyli, że postawią trzy grupy pytań. Jedna będzie zasadnicza, dwie próbne. Przy próbnych

będą dostrajali aparat do organizmu. Na każde z pytań ma kategorycznie odpowiadać „tak” lub „nie”. Mik zapoznał go z treścią pytań.

Zaczęły się badania. Musiał zdjąć marynarkę, podwinąć lewy rękaw koszuli, usiąść spokojnie na fotelu tyłem do aparatu. Podłączono urządzenie, założono mu czujniki na piersi, na lewej ręce i na palcach prawej metalowe żabki i gumki. Poczuł, że do aparatu założonego na lewą rękę pompowane jest powietrze. Podobnie jak przy badaniu ciśnienia. Siedział spokojnie, wygodnie ułożony w fotelu. Czuł się pewnie. Jak dotąd wszystko odbywało się tak, jak mu to opisano przed wyjazdem.

Zaczęli zadawać pytania próbne. W każdej z grup było ich 15—20. Niektóre się powtarzały. A więc na przykład: czy jest żonaty, czy ma dzieci.

Pytał Mik. „Lekarz” wcale się nie odzywał. Śledził tylko pracę aparatu.

Po każdej serii ogłaszali przerwę, wypuszczali powietrze z założonego na rękę mankietu pneumatycznego, proponowali rozluźnienie napięcia nerwowego i mięśni. Każdą serię powtarzali dwukrotnie, przy czym te same pytania były zadawane w innej kolejności. W drugiej grupie, obok pytań tzw. życiorysowych, znalazły się i takie, jak: czy fałszował życiorys, czy kłamie, czy po powrocie do Polski w 1963 roku mówił komuś o koledze Rychlińskiego.

Seria trzecia zawierała pytania zasadnicze, czy:



- przyjechał na polecenie wywiadu radzieckiego,
- przyjechał na polecenie wywiadu polskiego,
- przyjechał na polecenie polskiego kontrwywiadu,
- pracuje w polskim wywiadzie,
- pracuje w radzieckim wywiadzie,
- kiedyś pracował w jednym z tych wywiadów,
- ma znajomych w Służbie Bezpieczeństwa,
- ma znajomych w radzieckim wywiadzie,
- ktoś z rodziny należy do partii,
- wie, że w państwach zachodnich istnieje wywiad,
- zna kogoś pracującego w MO.

Na wszystkie z tych pytań, z wyjątkiem ostatniego, dawał odpowiedzi negatywne. Na ostatnie odpowiedział „tak, znam kilku milicjantów, z jednym piłem nawet wódkę”. W ten sposób „użył sobie”, rozprężył się nerwowo. A potrzebował już chwili wytchnienia, bo pytania padały szybko i odpowiedzi musiały być błyskawiczne. Tymczasem on musiał się kontrolować. Ta ostatnia odpowiedź wprowadziła chwilę wesołości. Była naturalna. Tak ją też potraktowano. Czy stały mieszkańiec jakiejś miejscowości może nie znać osobiście żadnego miejscowego milicjanta?

Badanie trwało przeszło 3 godziny. Było wyczerpujące. Zapytał o wynik. Nie odpowiedzieli mu od razu. Wyprostował się, przeszedł po pokoku. Przez uchylone drzwi w sąsiednim pomieszczeniu dostrzegł „szefa”, który rozmawiał z Mi-

kiem. Prawdopodobnie cały czas śledził przebieg sprawdzianu.

Mikabrał go na obiad. Zachowywał się z rezerwą. Obaj niecierpliwie czekali na rezultat badań. Ale tylko jeden z nich musiał ukrywać zdenerwowanie, maskować niepewność. Bardzo długo Kazimierzowi N. ciągnęły się te minuty. Nie interesował go Paryż, miraż dobrych zarobków, nie smakowały apetyczne dania podawane przez uprzejmego kelnera. Miał żal do siebie. Po co mi to wszystko, zastanawiał się.

Tak. To były najgorsze chwile i gdyby wtedy mógł jego reakcję notować jakiś aparat, gdyby mu przyjrzał się uważnie dobry psycholog, kto wie, jak potoczyłyby się jego dalsze losy.

Nie można zbyt długo trwać w napięciu. Po nim zawsze przychodzi odprężenie. Kieliszek kogniaku, łyk mineralnej wody i znowu odzyskuje formę. Znow jest sobą. Kazimierzem N., Polakiem, patriotą, spełniającym dla swego kraju ważną misję. Silnym, zawziętym, przygotowanym na wszystko, zdecydowanym osiągnąć zamierzony cel.

Po upływie godziny zjawia się „szef”. Ma wesołą minę. Rozmawia z Mikiem po angielsku. Obaj gratulują Kazimierzowi N. „Badania wypadły bardzo dobrze”. Zmienia się nagle nastrój. Mik staje się serdeczniejszy, „szef” wykazuje zadowolenie, wszyscy święcą swoje sukcesy. Dopiero teraz Kazimierzowi N. zaczął smakować obiad, Paryż wydał się bardzo ciekawy, a życie

interesujące Podniósł kolejny kieliszek koniaku. „Za współpracę, panowie”, ale w sercu ten toast dedykował komu innemu. Ludziom, którzy znaleźli do tego serca drogę. Najgorsze, myślał, mam już chyba z głowy. Nadal pozostał jednak czujny i ostrożny. We wszystkim musiał dopatrywać się podstępny przeciwnika. I tak przez cały czas, aż do przekroczenia polskiej granicy.

Po zakończeniu badania Kazimierz N. otrzymał dwa dni „wolnego”. Mógł swobodnie dysponować czasem, zwiedzać Paryż, poczynić drobne zakupy, otrzymał bowiem kilkadziesiąt franków „diety”. Ale i w tym czasie towarzyszyli mu jego „opiekunowie”. Sami załatwiali mu zmianę hoteli, dbali o jego bezpieczeństwo, pilnowali, by nie nawiązywał żadnych kontaktów, by nigdzie i nikomu nie przedstawił się jako Polak.

Tak oto Kazimierz N., skromny polski rzemieślnik, spacerował ulicami Paryża, poznawał paryskie hotele, kawiarnie i restauracje.

Później rozpoczęło się szkolenie, podczas którego pracownicy wywiadu kładli główny nacisk na problematykę wojskową. Z uwagi na miejsce zamieszkania Kazimierza N. interesowały ich szczególnie jednostki wojskowe.

Szeroko omawiali więc sposób zbierania informacji, ćwiczyli rozpoznawanie poszczególnych rodzajów wojsk i identyfikowanie sprzętu wojskowego. Wszystkie wiadomości z tego zakresu musiał opanować pamięciowo. Uczono go również techniki szyfrowania i rozszyfrowywania mel-



dunków oraz zasad łączności radiowej. Następnie, kiedy już zdaniem instruktorów był dostatecznie przygotowany do wykonywania podstawowych zadań, zaczęto omawiać sposoby nawiązywania kontaktów z osobami mieszkającymi w pobliżu obiektów wojskowych bądź tam zatrudnionymi. Tłumaczono mu, iż wszelkie informacje winien zdobywać w sposób „kapturowy”, czyli podczas towarzyskich spotkań, na przyjęciach czy wycieczkach. W żadnym wypadku — przestrzegano — nie wolno zwracać uwagi swoim zachowaniem czy ciekawością. Zawsze trzeba mieć przygotowaną legendę, wytłumaczenie, wszystko musi być naturalne, nie może wzbudzać jakichkolwiek podejrzeń. Należy też zachować pełną dyskrecję wobec żony, rodziny i znajomych. Wszelkie notatki i materiały przechowywać w bezpiecznym miejscu, a po ich wykorzystaniu bezwzględnie niszczyć. Nie pozostawiać żadnych śladów.

W końcu przystąpiono do najwyższego stopnia wtajemniczenia Kazimierza N. Upoważniono go do typowania i werbowania nowych współpracowników.

Najpierw trzeba dobrze poznać człowieka — tłumaczyli mu preceptorzy. Wszystko o nim wiedzieć, mieć do niego pełne zaufanie i przeświadczenie, że albo przyjmuje propozycję, albo, jeśli nawet ją odrzuci, nikomu o tym nie zamelduje. Dlatego trzeba go „mieć w garści”, uzależnić od siebie; musi liczyć się z szantażem, a wtedy na

pewno nie zwróci się do władz. Werbować należy przede wszystkim takich, którzy mogą mieć dla wywiadu pewną wartość — mogą zbierać i przekazywać konkretne dane.

Procedura angażowania człowieka do współpracy miała przedstawiać się następująco:

Kazimierz N. został zobowiązany do przekazania ośrodkowi danych personalnych wytypowanego do współpracy kandydata, a ośrodek po sprawdzeniu informacji w kartotekach mógł wyrazić zgodę lub zabronić dalszych poczynañ. W przypadku pozytywnej odpowiedzi Kazimierz N. miał swobodę działania i mógł przystępować do werbunku i współpracy szpiegowskiej z pozyskaną przez siebie osobą.

Nie było żadnych podstaw, aby podważać wiarygodność relacji Kazimierza N. Amerykanie w jego przypadku odstąpili od podstawowej reguły pracy wywiadu i poszli na duże ryzyko. Najpewniej potrzebowali wszechstronnych informacji z danego rejonu i za uzyskanie ich gotowi byli płacić każdą cenę.

Pracownicy wywiadu uzgodnili też z Kazimierzem N., że w wypadku gdyby dostrzegł wartościowego kandydata do współpracy, ale nie miał do niego zaufania lub z innych względów nie chciałby podjąć próby werbowania go, wówczas winien go nakłonić do wyjazdu do Francji lub RFN i przy pomocy ośrodka zorganizować ten wyjazd (dostarczyć zaproszenie od najo-

mych, zapewnić, że znajdzie tam dobrze płatną pracę).

Kazimierz N., obok stałego wynagrodzenia oraz honorariów za meldunki, miał otrzymywać specjalne premie za każdego zwербowanego przez siebie człowieka oraz za wytypowanie i wysłanie za granicę odpowiednich kandydatów na szpiegów.

Zaproponowano mu współpracę na okres 3 lat i obiecano, że jeśli będzie dobrze wywiązywał się z zadań, to jego szpiegowskie uposażenie znacznie wzrośnie. Najbliższej podwyżki miano dokonać podczas jego następnego pobytu we Francji, mniej więcej za rok.

Przed wyjazdem do kraju Kazimierz N. otrzymał 1000 franków i 150 dolarów. Za tę sumę miał dokonać zakupów w paryskich magazynach. Pomagali mu przy tym Amerykanie. Zgodnie bowiem z ustaloną legendą przez cały czas swego pobytu we Francji pracował zarobkowo i to winno znaleźć odzwierciedlenie w tym, co ze sobą przywiezie do kraju.

Rychlińscy wiedząc dobrze, co się święci, jeszcze przed jego wyjazdem do Paryża radzili, aby w wolnych chwilach przerzucał cegły albo cement. Trzeba mieć ręce spracowane — tłumaczyli. Wiadomo przecież, że tutaj Polak ma szansę zdobyć jedynie pracę fizyczną. Ale żadna praca nie hańbi. Żeby pan widział, Kazimierzu, jak tu niejeden lekarz czy inżynier z Polski haruje.



Ważne, że może zarobić i zawieźć do kraju sporo ciuchów. Ludziom z zazdrości ślipia na wierzch wyłazą. Pana ręce, przekonywała Rychlińska, będą świadczyły, że pan uczciwie i ciężko zapracował na to, co z sobą przywiózł. Nie będzie żadnych podejrzeń.

Zrobił, jak mu radzono. Mistrzowie szpiegowskiego fachu wydawali się być z niego bardzo zadowoleni. Po takim uczniu obiecywali sobie wiele.

Meldunek sierżanta J.G., dzielnicowego MO, zapoczątkował nie tylko opisaną wyżej grę z ośrodkiem wywiadowczym i związany z nią proces pracy operacyjnej różnych jednostek Służby Bezpieczeństwa, ale nakazywał również zająć się, i to natychmiast, osobnikiem o nazwisku Cichy.

Taką kolejność opracowania przyjęto nieprzypadkowo. W pracy kontrwywiadu obowiązuje jedność — ścisły związek i wzajemne uwarunkowanie — całokształtu czynności (i ich rezultatów) podejmowanych zarówno w kraju, jak i za granicą, a mających na celu rozpoznanie, udokumentowanie oraz unieszkodliwienie wrogiej działalności. W danym przypadku wszystkie przedsięwzięcia zmierzały właśnie do rozpoznania i dokumentowania działalności Rychlińskiego i Cichego oraz osób poprzez nich z ośrodkiem

wywiadowczym związanych, a także — nawet przede wszystkim — przeciwdziałania szkodliwym skutkom tej działalności.

Poznanie stosowanych metod i zainteresowań ośrodka pozwoliło w sposób właściwy koordynować w kraju pracę operacyjną.

Niezależnie więc od opisanej gry — nie jedynej zresztą w całym procesie rozpoznawania ośrodka — równolegle i jednocześnie realizowano liczne przedsięwzięcia w kraju. Przede wszystkim zaś zajęto się Gerardem Cichym przyjeżdżającym do Polski z wycieczkami polonijnymi.

Nie była to postać obca pracownikom kontrwywiadu.

Już znacznie wcześniej Służba Bezpieczeństwa w Katowicach założyła sprawę, której nadano kryptonim „Turysta”. Punktem wyjścia wszelkich dociekań były uzyskane przez MSW informacje, z których wynikało, że G. Cichy współpracuje z wywiadem francuskim i w czasie pobytu w Polsce wykonuje zadania szpiegowskie.

Z pierwszej analizy materiałów wypływał wniosek, że Cichy w latach 1945—1947 był tłumaczem przysięgłym w prefekturze, a obecnie jest pilotem wycieczek do Polski, organizowanych przez biuro turystyczne Gralli w Lens. Po raz pierwszy po wyzwoleniu przyjechał do Polski w 1947 roku, wraz z żoną, w odwiedziny do swych rodziców zamieszkałych w powiecie Wodzisław (dlatego informację dającą podstawę do wszczęcia sprawy przekazano Katowicom).

W 1957 roku w czasie dwutygodniowego pobytu w Polsce utrzymywał kontakty z por. inż. Zygmunt L., wówczas pracownikiem WKR w Raciborzu, prowadzącym dokumentację mobilizacyjną. Por. L. za nieprzestrzeganie tajemnicy — komendant WKR stwierdził, że szereg informacji przedostaje się na zewnątrz — został w 1957 roku dyscyplinarnie przeniesiony na inne stanowisko. W czasie późniejszych przyjazdów do Polski, już z wycieczkami, Cichy nawiązywał i utrzymywał liczne kontakty z różnymi osobami, przysyłał listy oraz paczki na adresy prywatne oraz odbywał tajemnicze spotkania z ludźmi nie związanymi z turystyką.

Już w pierwszym okresie obserwacji pracownicy SB zwrócili uwagę, że po przyjeździe do Polski i zakwaterowaniu wycieczki w hotelu G. Cichy stawał się niezwykle ruchliwy. Odbywał liczne spotkania, składał wizyty w mieszkaniach prywatnych, wysyłał mnóstwo listów. Był przy tym zaskakująco ostrożny.

Sprawę o kryptonimie „Turysta” prowadziła SB w Katowicach, a następnie w Opolu. Większość czynności wykonywała jednak placówka w Poznaniu, dokąd przyjeżdżał z wycieczkami. Jego kontaktami zajmowały się także inne jednostki terytorialne, a czynności te koordynowała centrala kontrwywiadu.

W jednym z dokumentów tej sprawy stwierdza się, że Cichy podczas pierwszych przyjazdów do Polski zachowywał się normalnie, nie wyka-



zywał większej aktywności, niczym nie wzbudzał podejrzeń. Z czasem dopiero zaczął nawiązywać liczne znajomości na terenie Poznania oraz wysyłać listy, paczki i pieniądze na cały kraj. Dość bliskie kontakty utrzymuje z pracownikami PKP; odwiedza ich w mieszkaniach, zaprasza do lokali, przywozi im lekarstwa, nawet korzysta z gościnnych noclegów w hotelu PKP.

Wśród osób, z którymi spotyka się najczęściej, znajdują się między innymi:

- Stefan Z., lat 63, właściciel zakładu rzemieślniczego. W latach 1915—1919 służył w armii niemieckiej, a do 1921 roku posiadał obywatelstwo niemieckie. Cichy wręczał mu jakieś dokumenty, przysyłał pieniądze, podejmował w restauracjach, gdzie sam płacił rachunki;
- Zygmunt W., lat 37, pracownik gastronomii na dworcu w Poznaniu. W czasie wojny brał udział w akcjach sabotażowych. Po wyzwoleniu służył w Wojsku Polskim. W 1948 roku wydany z partii za naruszanie norm statutowych, a w 1949 roku zwolniony z wojska. Kontaktował się z Cichym i pomagał mu nawiązywać rozliczne znajomości. Podczas jednego ze spotkań, w pustym wagonie na dworcu PKP, Cichy przekazał mu sporą kwotę w banknotach 100-złotowych;
- Feliks Kubiak, lat 54, starszy asystent na dworcu głównym PKP w Poznaniu. Bardzo bliski znajomy Cichego, który przechowywał

zazwyczaj u niego walizki, rzeczy osobiste, korzystał z jego telefonu służbowego, wyręczał się w różnych sprawach.

Poznań stanowił punkt docelowy wycieczek organizowanych przez biuro Gralli, wykorzystywane — o czym świadczyły uzyskane dowody — przez DIA. Stąd uczestnicy już indywidualnie rozjeżdżali się do krewnych lub znajomych w kraju. Stąd wycieczki wracały z powrotem do Francji. Tu piloci tych wycieczek mieli najwięcej spraw do załatwienia: rezerwacja hoteli, wagonów itp.

Nic też dziwnego, że przedsiębiorczy Gerard Cichy starał się właśnie tutaj znaleźć człowieka, który by mu pomagał w załatwianiu tych spraw. Takim wymarzoną kandydatem — z czasem pełnił jak gdyby rolę nieoficjalnego agenta, przedstawiciela Gralli w Poznaniu — był Feliks Kubiak, pracujący jako starszy ustawiacz na górze rozrządowej, człowiek od lat związany z koleją, mający wśród kolejarzkiej braci rozliczne znajomości, mogący na kolei wszystko sprawnie załatwić. Ale nie tylko na kolei. Jako stary poznanianin wiedział, jak, z kim i za ile załatwiać w tym mieście kłopotliwe sprawy.

Żaden z nich nie pamięta, jak wyglądało ich pierwsze spotkanie i w jaki sposób nabrali do siebie sympatii. W każdym razie ich znajomość rozpoczęła się u progu kariery Cichego jako pilota wycieczek do Polski, gdzieś w końcu lat pięćdziesiątych.

Kubiak, człowiek bardzo skryty, nie mający żadnych przyjaciół, zazdrosny o młodszą o lat kilkanaście żonę, był bardzo łaśy na pieniądze. Mówili o nim znajomi, że i duszę by diabłu sprzedał. Przyjmowanie francuskich turystów potraktował jak świetny interes. Bywał przy każdym przyjeździe wycieczki, to rękę podał wysiadającej z wagonu madame, to walizkę podźwignął, to taksówkę zamówił, to poinformował o połączeniach kolejowych, nie wstydząc się przy tym wyciągnąć dłoni po drobny napiwek. Mundur kolejarski usprawiedliwiał jego obecność na dworcu, budził zaufanie, a że był taki usługowy, turyści chętnie okazywali mu swą wdzięczność.

Pierwszy go dostrzegł i docenił Cichy. Zlecał mu różne sprawy do załatwienia, traktował go tak, jak na to zasługiwał. Zrobił go swoim lokajem, tragarzem, ordynansem, asystentem, pełnomocnikiem — zależnie od sytuacji.

Ten dystyngowany mężczyzna w sile wieku, z manierami salonowca, rzucał — bywało — ze stopni wagonu swój płaszcz, walizkę i różne bagaże w wyciągnięte i zawsze gotowe do usług ręce starszawego przecież i steranego życiem Kubiaka.

Dla Kubiaka rzeczą najważniejszą była możliwość zarobków. Czując, że poza funkcją służącego Cichy może mu powierzać załatwianie „czystszych” obowiązków, na każdy jego przyjazd przygotowywał się należycie. Oczekiwał na pociąg z Francji wygolony, domyty, ubrany na



obraz i podobieństwo swego dobrodzieja. I wtedy zaczął stopniowo asystować Cichemu w hotelach, restauracjach, przyjmować go w swym mieszkaniu... Krytyczna kolejąrska brać, a także rumieniące się na widok szarmanckiego „Francuza” panienki z hotelowych recepcji poczęły o nim mówić „cień Cichego” lub „cień pana Gerarda”. W takiej roli, z tym przydomkiem pozostał już do ostatnich dni swojej wolności. Echa tych czasów odbiły się jeszcze na sali sądowej, gdy ten i ów ze świadków nie umiał go inaczej określić.

Z tych to względów Kubiak wyróżniał się wśród innych kontaktów Cichego. Ponieważ w roku 1965 nie było już wątpliwości, iż za Cichym stoi wywiad amerykański, a w 1962 roku Kubiak przebywał we Francji i jako pracownik PKP mógł zainteresować pracowników DIA, jemu właśnie poświęcono najwięcej uwagi.

Ustalono, że w listopadzie 1965 roku Cichy dostarczył Kubiakowi zaproszenie do Francji wystawione przez rzekomego wujka — Wojciecha Kuliga. Kubiak zaczął załatwiać formalności związane z wyjazdem, ale w grudniu otrzymał list od Cichego, który polecił mu wstrzymać wszelkie przygotowania „na skutek powstania nie sprzyjających warunków”.

Na czym polegały te „nie sprzyjające warunki” wyjaśnił, przynajmniej częściowo, Cichy Kubiakowi w końcu marca 1966 roku podczas pobytu w Poznaniu. Z rozmowy tej wynikało nie-

zbiecie, że wyjazdem Kubiaka był zainteresowany niejaki Karol lub Carl „związany z armią Stanów Zjednoczonych”, który był oddelegowany do Francji, „a obecnie na żądanie de Gaulle’a (mowa o eksmisji siedziby NATO do Brukseli) musi ten kraj wraz z wojskami USA opuścić”. Na tym, stwierdził, skończyła się nam tylko wiadoma sprawa. Z tych względów, tłumaczył dalej, twój wyjazd jest teraz nieaktualny. Pieniądze przeznaczone na opłacenie podróży możesz zużytkować, jak chcesz.

Oceniając to wydarzenie prowadzący sprawę oficer kontrwywiadu stwierdza (14 maja 1966 r.): „Wymowa tych faktów w świetle tego, że Kubiaka uważamy za »kolejarza poznańskiego«, który w latach 1962—1963 na terenie Francji przekazał wywiadowi amerykańskiemu informacje szpiegowskie, jest jednoznaczna i przemawia za powiązaniem zarówno Kubiaka, jak i Cichego z działalnością wywiadowczą”.

W maju 1966 roku Kazimierz N. otrzymał wiadomość o wyjeździe z Paryża jego „znajomych”. Informacja ta, zbiegła się w czasie z relacjonowaną wyżej rozmową Cichego z Kubiakiem i stanowiła jeszcze jeden dowód, że ośrodek wywiadu amerykańskiego przygotowuje się do ewakuacji z terenu Francji.

W czerwcu 1966 roku przyjeżdża na stałe do Polski Wojciech Kulig. Ten sam Kulig, który dwukrotnie firmował swoim nazwiskiem zaproszenia do Francji dla Feliksa Kubiaka.

Kulig urodził się w 1897 roku we wsi nowosądeckiej. W latach 1923—1939 służył w policji państwowej. Z chwilą wybuchu wojny został wcielony do wojska i ze swym batalionem przeszedł na Węgry. Stamtąd już sam, poprzez Jugosławię, trafił do Francji i wziął udział w działaniach wojennych w stopniu starszego sierżanta, na stanowisku szefa kompanii. Okres okupacji spędził w niewoli niemieckiej. W 1947 roku został zdemobilizowany i do czasu otrzymania renty w 1965 roku pracował w garbarni jako robotnik. Mieszkał w Roubaix, niedaleko Lens.

W 1959 roku zapragnął odwiedzić kraj, zobaczyć po przeszło 20 latach rodzinę: żonę, dzieci, braci. Wyjazd załatwił poprzez biuro Gralli. Po kilku tygodniach pobytu w Polsce wraca do Francji, ale myśli o przeniesieniu się na stałe w swoje rodzinne strony. Może z wdzięczności dla tego biura, dzięki któremu odnalazł kraj swego dzieciństwa i rodzinę, staje się jego współpracownikiem, werbującym kandydatów na wyjazd do Polski. W zamian za te usługi sześciokrotnie wyjeżdża do Polski w charakterze pomocnika pilota wycieczek.

Zgodnie z przewidywaniami Kulig zeznał, że obydwa zaproszenia dla Kubiaka (w 1962 i 1965 roku) wystawił na usilną prośbę Gerarda Cichego, składając — o ile sobie dobrze przypomina — jedynie swój podpis na wypełnionych już formularzach.



W październiku 1968 roku uzyskano sprawdzoną informację, z której wynikało, że w grudniu tego roku G. Cichy zamierza przyjechać do Polski po raz ostatni. Wiadomość ta wywołała błyskawiczną reakcję. Gdyby dokumentację sprawy śledził człowiek zupełnie nie znający zasad pracy kontrwywiadu, nawet i on bez trudu doszedłby do wniosku, że zbliża się jej finał.

Wielostronicowe dokumenty gromadzone systematycznie od kilku lat zastąpione zostały krótkimi, treściwymi decyzjami i ustaleniami. Zaskakuje tempo ich wykorzystywania i obiegu (szyfrogramy, depesze). Nie ma już zbędnych słów, nie ma niepotrzebnych kalkulacji. Wszystko dzieje się jak w koncówce sensacyjnego filmu, którego kadry biegną w przyspieszonym tempie, akcje się zazębiają, słychać mocniejsze uderzenia. To już ostatnie akordy.

Decyzje nie są zaskakujące. Były od dawna przemyślane i przedyskutowane. Teraz nie może już w grę wchodzić żadna niespodzianka. Pracownicy kontrwywiadu musieli wcześniej rozważyć wszelkie możliwe rozwiązania, musieli odpowiednio wywazać zyski i straty, ryzyko i odpowiedzialność. W walce tej, która przyjmuje różnorakie formy, muszą mieć zawsze ukryty atut, aby przebić cudzego asa. Tylko wtedy można mówić o skutecznym rozpoznawaniu zamierzeń przeciwnika oraz zapobieganiu i demaskowaniu jego działalności.

Niechaj w tych stwierdzeniach zamknie się odpowiedź na wiele pytań, których tu nie postawiono, ale które cisną się same na usta.

W dniu 16 grudnia 1968 roku Prokurator Warszawskiego Okręgu Wojskowego, po zapoznaniu się z materiałami, wydaje postanowienie o wszczęciu śledztwa w sprawie przeciwko Włodzimierzowi Rychlińskiemu o przestępstwo z art. 23 kk WP w związku z art. 7 dekretu z dnia 13 czerwca 1946 roku o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa tzw. małego kodeksu karnego. W uzasadnieniu tego postanowienia czytamy:

„Z przedstawionych materiałów wynika, że cywil W. Rychliński, zamieszkały we Francji, pozostaje w kontakcie z ośrodkiem wywiadu amerykańskiego i udziela pomocy w rozpoznawaniu i typowaniu do szpiegowskiej działalności osób przyjeżdżających z Polski do Francji oraz kontaktowaniu ich z pracownikami tegoż wywiadu.

Z uzyskanych przez Służbę Bezpieczeństwa informacji wynika, że w najbliższym czasie ma przyjechać do Polski osoba, która pozostaje w kontakcie z Rychlińskim i prawdopodobnie jest łącznikiem wywiadu amerykańskiego.

Mając na uwadze powyższe, celem wszechstronnego wyjaśnienia okoliczności sprawy, postanowiono jak w sentencji”.

Prokurator WOW wydał jednocześnie postanowienie o zatrzymaniu wszelkiej korespondencji.

i przesyłek pocztowych, których adresatem lub nadawcą był W. Rychliński.

Gerard Cichy wjechał do Polski przez punkt graniczny Kunowice w dniu 17 grudnia 1968 roku. Został poddany skrupulatnej kontroli celnej oraz od momentu przekroczenia granicy był obserwowany.

Pociąg relacji Paryż—Moskwa przybył na stację graniczną Kunowice o godzinie jedenastej. Mimo że był lekki mróz, Cichy otworzył okno i wychylony na zewnątrz wagonu wyciągniętą dłońą pozdrowiał znajomych celników. Czuł się tu jak swojak. Wiedział o kłopotach i radościach niektórych pracowników punktu kontroli celnej, pamiętał imiona ich żon i dzieci. Bywało, że czule wypytywał, jakie Kasieńka przyniosła świadectwo i wręczał tatusiowi na służbie drobny prezencik. To nagroda za dobrą cenzurkę, to na umilenie wakacji, dodawał. „Bywało — powie później w śledztwie — że niejednokrotnie spotkania z polskimi celnikami były dla mnie nad wyraz przykre”. Zdarzało się, że bardzo dokładnie przeszukiwali jego rzeczy osobiste oraz garderobę. Niekiedy musiał się nawet rozbierać do naga. Takich przypadków naliczył piętnaście. Wszystkie jednak kończyły się pomyślnie, chociaż bywało, że celnicy wpatrywali się dość długo w jego liczne zapiski czynione w notafniku po odebraniu szpiegowskiego meldunku, a wówczas on przeżywał męki i miał wrażenie, że zza kolumny cyferek i nazwisk wylania się przed



oczyna kontrolującego zakodowany transport wojskowy. Kosztowało go to wiele nerwów — przyzna — ale jednocześnie dąrgało do stosowania niezwykle finezyjnego systemu kodowania szpiegowskich materiałów i ciągłej samokontroli. Mimo to pewnego razu oficer WOP w notatce służbowej podkreślił, że w kalendarzyku Cichego dostrzegł szereg oderwanych od siebie cyfr oraz niezrozumiałych określeń i zapisów, wyglądających na jakieś podejrzanе hasła lub znaki umowne. Ale Cichy o tym nie wiedział. Nigdy nie przewoził gotowych materiałów szpiegowskich, żadnych jawnych notatek czy szkiców. I bardzo długo był przekonany o doskonałości swej metody i bezsilności polskiego kontrwywiadu. Refleksje przyszły później. Znacznie później.

Tym razem zauważył nowe twarze wśród celników, a i kontrola była znacznie ostrzejsza.

— Normalnie — tłumaczył speszonym turystom. — Święta idą. Celnicy też ludzie...

Na trasie Kuncwice—Poznań, już po zakończeniu kontroli, przeszedł obok jego przedziału znajomy z widzenia celnik. Zapytał, czy nie ma czegoś do wypicia, bo go cholernie pragnienie mężczy. Cichy powiedział, że ma tylko francuski koniak.

„Po chwili celnik wrócił, znowu przystanął koło mego przedziału i powiedział, że teraz chciałby się napić. Poczęstowałem go małym kieliszkiem koniaku. Podczas tej podróży chciałem

również poczęstować koniakiem oficera WOP, ale odmówił, tłumacząc, że jest na służbie" (protokół przesłuchania z 28 grudnia).

Do Poznania pociąg przybył z niewielkim opóźnieniem. Na peronie zgromadzili się krewni, czekający na gości z dalekich francuskich kopalń i fabryk. A wśród nich krzepki emeryt kolejowy — Feliks Kubiak. On wiedział dokładnie, w którym miejscu zatrzyma się francuski wagon, on w ogóle wiedział wszystko, więc wokół niego zgromadził się gwarny tłumek. Zwykle czekał na peronie z orkiestrą, ale tego chłodnego dnia tylko wiatr świstał po peronach.

Ledwo pociąg zatrzymał się, nad stacją przetoczyło się donośne: „cześć Feluchna!” i z otwartego okna wagonu spłynęły w wyciągnięte dłonie „przyjaciela” walizki, paczki, teczka, neser. I wreszcie mała paczuszka. To dla ciebie, oświadcza przymilnie Cichy.

Na peronie krótka rozmowa przewodnika z turystami i po chwili w asyście objuczonego bagażami Kubiaka idzie on do tramwaju, którym dojedzie pod sam hotel. Wychodzą stamtąd po trzydziestu minutach, zegnają się na ulicy, każdy udaje się w swoją stronę.

Cichy zjadł obiad w restauracji, przejrzał — czekając na posiłek — poznańskie gazety, w których interesował go nawet dział ogłoszeń i kolumna sportowa. Zdążył na czas. Gdyby nie był tak dobrze znany kierownikowi sali, który popędzał keinerja, zdążyłby może i „Trylogię” prze-

czytać przed podaniem obiadu. Podobno w Poznaniu był taki wypadek.

Po obiedzie krótka drzemka w hotelu, potem kilka telefonów... Z jednymi umawia się na spotkania, innych gorąco pozdrawia, składa życzenia świąteczne, daje dowody pamięci.

Wieczorem kolacja w gronie wyróżnionych znajomych i zasłużony wypoczynek.

Następnego dnia wstaje wcześnie. Śpiewa wesoło przy goleniu, czeka na kilka połączeń telefonicznych. Przed południem składa wizyty w mieście, a potem spotyka się z Kubiakiem. Idą do „Merkurego”. Tu podchodzą do stoiska Pekao. Cichy szarmancko całuje w rękę kierowniczkę i zamawia zestaw wódek. Wracają do hotelu. W hotelowej restauracji jedzą obiad, piją piwo i winiak. Płaci Cichy. W pokoju pisze kilka kartek świątecznych, wręcza Kubiakowi jeszcze jeden prezent, kilka paczek oraz plik listów i kartek do wysłania.

— To paczka dla mojego ojca — mówi. — Gdyby pytał o mnie, to mu odpisz, że przywiózł ją jeden z moich znajomych.

Następnie Kubiak rozlicza się z różnych wydatków. Długa jest to lista. Cichy musi dorzucić trochę franków. Wreszcie, gdy już wszystkie interesy „mają z głowy”, częstują się koniakiem, snują wspomnienia. Kubiak wzdycha za Francją, pozdrawia swoich „przyjaciół”. Żegnają się do jutra. Wieczorem gość z Francji schodzi na kolację. Dośiada się do swych znajomych. Spędza



z nimi beztrudni wieczór przy muzyce, koniaku i herbacie. Około północy towarzystwo, trzymając się pod ręce, wychodzi na spacer. Puste są poznańskie ulice. Pada drobny śnieg. Żegnają się przed hotelem Cichy wchodzi do gmachu sam. Chce jeszcze coś miłego powiedzieć recepcjonistce, ale płacze mu się język. Bierze klucz, kłania się nisko i windą jedzie na górę.

Tu na trzecim piętrze, w głębokich fotelach, czeka na niego dwóch mężczyzn. Przedstawiają się, ujmują go pod ręce i windą jadą na dół.

W dniu 19 grudnia 1968 roku Cichy został aresztowany pod zarzutem działalności szpiegowskiej na rzecz wywiadu amerykańskiego. Pod tym samym zarzutem aresztowano również Feliksa Kubiaka. W tym samym czasie grupy operacyjno-śledcze przystąpiły do zatrzymywania innych wytypowanych wcześniej osób, podejrzanych o współpracę z paryskim ośrodkiem wywiadu amerykańskiego.

Rozpoczęło się wielomiesięczne śledztwo, ale pracy operacyjnej nie przzerwano.

Po Francji poszła wieść, że Cichy i Kubiaka „przyskrzynili” na nielegalnej wymianie dewiz, który to proceder, jak wszem wiadomo, jest w Polsce „srodze” ścigany.

I po cholere im to było, wzdychali „ich przyjaciele”, nie wykazując przy tym żadnego współczucia. I dalej prowadzili swoją działalność.

Dysponując dokumentacją operacyjną, wyjaśnieniami aresztowanych oraz zeznaniami licznych

świadków, możemy pokusić się o odtworzenie historii współpracy Gerarda Cichego i Feliksa Kubiaka z wywiadem.

W końcu 1948 roku Cichy zrzekł się obywatelstwa polskiego i przyjął obywatelstwo francuskie. Postąpił tak, ponieważ zdecydował się pozostać we Francji, „a co za tym idzie zamierzał podjąć pracę i zdobyć prawa emerytalne” (protokół przesłuchania z 30 czerwca 1969 roku).

Wcześniej jednak ożenił się. Ślubu udzielił mu proboszcz parafii polskiej ksiądz G.

Dwa miesiące po ślubie, w grudniu 1947. roku, ksiądz G. w towarzystwie nie znanego Cichemu Francuza zjawia się w jego mieszkaniu. Przedstawia obcego jako swego przyjaciela i powiada, że chcieliby z Cichym pogadać. Francuz pokazuje legitymację wydaną przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — zakrywa przy tym nazwisko — siada obok księdza i proponuje, aby Cichy zaczął wstępować do organizacji polonijnych. Tłumaczy przy tym, że zależy mu na informacjach o działalności tych organizacji, ich zebraniach, działaczach, przenikaniu do nich komunistów.

W czasie tej pierwszej wizyty nie zapadają konkretne decyzje, ale Francuz odwiedza jeszcze kilkakrotnie Cichego i wraca do tematu. Staje się coraz bardziej natarciwy.

Tymczasem Cichy dość często zmienia pracę. W końcu w 1958 roku rozpoczyna karierę w firmie turystycznej Gralli. Początkowo jest zatrud-

niony jako pracownik biurowy, do którego obowiązków należy przyjmowanie zgłoszeń na wyjazd do Polski i pisanie podań. Wreszcie zaczyna pilotować grupy turystyczne. Od 1958 roku w tym charakterze przyjeżdżał do Polski przeciętnie piętnaście razy w roku.

W 1958 roku poznał Włodzimierza Rychlińskiego, który współpracował z firmą Gralli w charakterze tzw. korespondenta. Był poza tym znanym w całej okolicy tłumaczem przysięgłym.

Od 1960 roku francuskie władze bezpieczeństwa zaczynają go kontaktować z Szefflerem, który został mu przedstawiony jako pracownik OTAN-u (francuski skrót nazwy Paktu Północnoatlantyckiego — *przyp. autora*). Było to — wyjaśnia — na początku 1960 roku.

Pewnego dnia otrzymał telefoniczne wezwanie, aby zgłosił się w Lille przy ul. Royale, w prywatnym budynku. Podano mu dokładny adres. Telefonował w tej sprawie Marcel Sobry, którego znał jako funkcjonariusza francuskiej służby bezpieczeństwa zajmującej się emigracją z Polski. Sobry był częstym gościem w biurze Gralli, interesował się, kto, do kogo, po co i na jak długo wyjeżdża, jak się zachowuje w Polsce, z kim nawiązuje kontakty itd. Informacji tych udzielał mu nie tylko Cichy, ale również sędziwy przedsiębiorca August Gralla, jego żona Stanisława oraz inni pracownicy biura, którym zalecał prowadzenie „towarzyskich rozmów” z interesantami.



Do Lille Cichy miał się udać w oznaczonym terminie razem z Sobrym, który czekał na niego w umówionym punkcie w swoim samochodzie.

Kiedy zatrzymali się pod wskazanym adresem, Cichy nie dostrzegł, aby na budynku były umieszczone jakieś szyldy. Nie zauważył też żadnego posterunku, żadnej wartowni, przeciwnie, wszystko wskazywało na to, że stoją przed zwyczajną czynszową kamienicą.

Sobry otworzył własnym kluczem bramę (we Francji lokatorzy sami zamykają bramy swych domów) i prowadził po schodach na górę. Cichy chwycił go wtedy poufale za rękę i spytał:

— Słuchaj, Marcel, gdzie my idziemy, po co i do kogo?

— Bądź spokojny — powiedział policjant. — Moi szefowie chcą się z tobą widzieć.

W pokoju siedziało czterech mężczyzn. Sobry, przyjmując postawę zasadniczą, zameldował krótko: „Pan Gerard”. Mężczyźni się skłonili.

Pokój był spory. Mógł liczyć około 30 metrów kwadratowych. Sprawiał wrażenie dobrze urządzonego gabinetu. Trzydrzwiowa oszklona biblioteka, serwantka z maskotkami, kredens z barkiem, duże biurko, głębokie fotele, krzesła obite pluszem. Dwa okna zasłonięte przyjemną dla oka kotarą, szary dywan na podłodze, na ścianie jakiś obraz. Tyle utkwiło mu w pamięci.

Miejsce za biurkiem zajmował dystyngowany starszy pan, o siwiejących skroniach. „Jesli w życiu prowadził się dobrze, mógł mieć niewie-

le ponad sześćdziesiątkę" — stwierdził już w czasie przesłuchiwań Cichy. Twarz miał okrągłą, pulchną, różową. Ubrany był w jasnoszary garnitur, białą koszulę i krawat. Podczas rozmowy nerwowo manipulował piórem lub długopisem. On zaczął rozmowę:

— Jesteśmy przełożonymi pana Marcela. Niech pan siada — wskazali krzesło przy biurku.

Obok siedział mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni. Typ południowca, o orlim nosie, szczupły, ubrany w jasny garnitur. W rozmowie nie brał żadnego udziału, jego rola prawdopodobnie sprowadzała się do protokolowania. Dwaj pozostali byli w wieku około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat.

Sobry po wprowadzeniu Cichego i przedstawieniu go obecnym odmeldował się i wyszedł. Rozmowę kierował mężczyzna siedzący za biurkiem. Prosił o dane personalne Cichego, dane bardzo szczegółowe. Przesłuchanie trwało dwie godziny. Padły liczne pytania, niektóre niezwykle wnikliwe. Celował w tym jeden z tych dwóch młodszych, który później przedstawił się jako Sze fler.

Cichy po akcencie rozmówców zorientował się, że jedynie „szef” jest Francuzem. Pozostali mogli być Amerykanami lub Anglikami. Przełożony Sobry'ego przedstawił ich jako przedstawicieli NATO, nie określając bliżej ich narodowości.

W trakcie tej rozmowy nie mówiono nic na temat zainteresowań siedzących w pokoju męż-

czyzn, nie wspomniano też o przyszłych zadaniach przewidzianych dla Cichego.

Minęły dwa miesiące i Cichy zapomniał już niemal o długiej rozmowie w Lille. Pewnego dnia zadzwonił jednak telefon.

— Jak się pan miewa, Gerardzie? — spytał obcy głos. — Czy poznaje pan, kto mówi? A spotkanie w Lille jeszcze pan pamięta? To świetnie! Otóż chcielibyśmy się z panem spotkać ponownie. Może tym razem w Lievin? Dobrze? Na komendzie policji o godzinie dziewiętnastej.

W wyznaczonym dniu, tuż po Wielkanocy, Cichy udał się do Lievin swoim samochodem. W komendzie policji przedstawia się dyżurnemu:

— Jestem Gerard Cichy, ktoś tu na mnie czeka.

— Tak, zgadza się. Proszę iść na ostatnie piętro.

Na górze, na korytarzu, czeka na Cichego jeden z rozmówców z Lille, ten który przedstawił się jako Szefler. Wita go serdecznie, zaprasza do pokoju pełniącego chyba jednocześnie rolę świetlicy, gdyż stoi tu stół pingpongowy, jest bar, na ścianach wisi stara zbroja, szable, bagnety. Przy stoliku nakrytym zielonym płótnem siedzi przełożony Szeflera i jeszcze jeden mężczyzna, którego Cichy widzi po raz pierwszy (lat około 40—45, szatyn, włosy szesane na bok, wzrost około 170 cm). Powitanie i banalna rozmowa w języku francuskim. Wkrótce jednak gospodarze przechodzą do konkretów. Padają pytania na temat ostatniej podróży Cichego do Polski. Jak



się podróż udała, ilu uczestników liczyła wycieczka, jak przebiegała kontrola celna i paszportowa, jakie czynności wykonują oficerowie Wojsk Ochrony Pogranicza, jak się odbywa kontrola biletów przez polskich kolejarzy...

Udzielając odpowiedzi, Cichy jest precyzyjny, nie kryje swych spostrzeżeń, dzieli się wrażeniami. Jeden ze słuchających robi notatki. W pewnym momencie Szefler pyta:

— Czy przejeżdżając przez terytorium Niemieckiej Republiki Demokratycznej mógłby pan obserwować ruch na dworcach, transporty wojskowe lub inne ciekawe wydarzenia? Czy mógłby pan rozmawiać z obywatelami NRD?

Cichy po zastanowieniu miał odpowiedzieć: „Ależ, panowie, to jest szpiegostwo”, na co Szefler wyjaśnił: „To nie jest szpiegostwo. To jest sprawdzanie tych wiadomości, które my już i tak posiadamy. OTAN jest organizacją wojskową, która musi przeciwstawiać się Układowi Warszawskiemu, musi znać jego zamierzenia, aby przygotować obronę wolnego Zachodu”.

Po tym wyjaśnieniu Cichy tłumaczył się, że przejeżdżając przez NRD „nie stoi w oknie”, że musi być obecny przy licznych kontrolach, a z obywatelami NRD nie rozmawia, bo język niemiecki zna słabo, a poza tym oni nie mają prawa wchodzić do wagonu tranzytowego zajętego przez wycieczkę.

Gospodarze zaproponowali wypicie czegoś mocniejszego. Cichy, jako że był własnym samocho-

dem a ponadto bez obiadu, wypił tylko dwa kieliszki. Rozmowa znów zeszła na tematy banalne, o filmach, o pogodzie... W końcu wrócili jednak do sprawy zasadniczej i ustalili, że Cichy będzie miał w czasie podróży oczy i uszy otwarte, a o ciekawych spostrzeżeniach opowie im przy następnym spotkaniu. Terminu nie uzgadniano. Na pożegnanie zastrzeżono tajemnicę spotkań i rozmów.

Czas szybko leci. Cichy poprowadził kilka następnych wycieczek do Polski. Dręczyła go ta sprawa — tłumaczył w śledztwie. „Bałem się spotkań z pracownikami OTAN-u. Chciałem zarabiać, chciałem żyć, w podróży wypoczywać, a nie szpiegować. Łudziłem się, że może o mnie zapomnieli, może że mnie zrezygnowali. Na próżno. Z Sobrym nadal widywałem się często, ale już nie zamęczał mnie pytaniami jak poprzednio”.

W sierpniu 1960 roku znów telefon do biura: „pamięta pan”, i propozycja spotkania w jednej z pobliskich miejscowości.

Na określonym placu czeka na niego trzech mężczyzn w samochodzie. Jest Szeffler, jego kierownik i nowa zupełnie twarz. „Nasz przyjaciel” — przedstawił go zwierzchnik Szefflera. Udają się do restauracji, zajmują stolik w kącie sali, zamawiają piwo. „Przyjaciel” okazuje się być Francuzem. Sypie kawałami. Wesolek. Przyśpieszają szybko do rzeczy.

— Jak ostatnio przebiegały pańskie wojaże

po świecie? — pyta jeden z nich. — Co nowego pan nam przywiózł?

Próbuje ponoć zbyć te pytania ogólnikami. Pałają wtedy następne, bardziej szczegółowe. Dotyczą przebiegu kontroli celnej, paszportowej, stanku oficerów WOP, celników, spostrzeżonych na trasie transportów wojskowych... Aby zachęcić Cichego do szczerych zwierzeń, prowadzący spotkanie napomyka, że słyszał o jego staraniach o uzyskanie prawa do pełnienia funkcji tłumacza przysięgłego.

— Jeśli pan na to zasłuży — szepcze poufale — jeśli będzie nam pan dostarczał dokładnych i wyczerpujących informacji, to kto wie, czy nie pomożemy panu. Pan wie, kim my jesteśmy i na czym nam zależy, wie pan również, że załatwienie takiej sprawy to dla nas żaden problem. Jeden telefon i po kłopotcie. No więc? — Podnosi kufel z piwem i badawczo patrzy w oczy Cichego.

Dobrze wymierzili ten strzał. Zrobił na Cichym wrażenie. Argumenty polityczne odwołujące się do „zagrożenia i obowiązku obrony Zachodu” to nie dla niego. Niech o tym myślą inni. On, Cichy, jest człowiekiem praktycznym. A z funkcji przysięgłego tłumacza w środowisku licznej Polonii płyną konkretne, obliczalne korzyści.

Szybko więc dokonuje wolty.

— Panowie — wyjaśnia — zbyt wysoko i siebie, i was cenię, aby wam opowiadać rzeczy niepewne. Pojmuję waszą rolę, zdaję sobie sprawę,



że moim obowiązkiem jest wam pomóc. Ale do tego trzeba się przygotować, zmienić całkowicie tryb spędzania czasu w podróży... Chyba mnie rozumiecie.

Na tym obiecującym oświadczeniu spotkanie zakończono. Ustalono, że Szeffler od tej pory będzie dla Cichego „Georgiem”.

Odtąd pracownicy wywiadu spotykali się z nim systematycznie, przeważnie przed wyjazdem do Polski lub po powrocie, ale w różnych miejscach (początkowo tylko w restauracjach lub kawiarniach). Wypytywali go o znajomych w Polsce i skrzętnie notowali jego odpowiedzi. Płacili rachunki. Od czasu do czasu wręczali mu butelkę whisky na pożegnanie.

Podczas któregoś z kolejnych spotkań zaczęli się wspólnie zastanawiać nad możliwościami zmiany trasy pilotowanych przez Cichego wycieczek do Polski. Jego mocodawcom zależało na tym, aby mógł jeździć także przez Czechosłowację. Interesowali się również, czy ma znajomych, którzy mogą często — obojętnie z Francji czy Polski — jeździć do Czechosłowacji.

Do czerwca 1963 roku we wszystkich spotkaniach uczestniczył przedstawiciel kontrwywiadu francuskiego, ale jego rola sprowadzała się w zasadzie do przechwytywania informacji dotyczących uczestników wycieczek do Polski, których inwigilowanie należało do stałych zadań Cichego.

W czerwcu 1963 roku pracownik ten polecił

Cichemu, aby przybył na spotkanie do restauracji. Chwilę czekali, pijąc piwo, na jego przełożonego, który miał do nich dołączyć i poinformować pilota wycieczek do Polski o ważnych decyzjach. Kiedy minęła ustalona godzina i zwierzchnik nie pojawił się, towarzysz Cichego udał się do telefonu. Po powrocie do stolika ściszym głosem zaczął wyjaśniać:

— Sytuacja się zmieniła. Nastąpiło oziębienie naszych stosunków z jankesami — tłumaczył. — To co było, co nas łączyło z OTAN w zakresie wywiadu, już się skończyło. O wszystkim musisz zapomnieć.

Upewniwszy się, że nikt na nich nie zwraca uwagi, wyciągnął kartkę z nadrukiem francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, na której był następujący tekst:

„Ja niżej podpisany zobowiązuję się do zachowania w tajemnicy wszystkich kontaktów, które z naszą służbą bezpieczeństwa utrzymywałem, oraz treści wszelkich rozmów prowadzonych z jej pracownikami. Zobowiązuję się uroczyście nie nawiązywać w przyszłości żadnych kontaktów z kimkolwiek nie upoważnionym przez francuską służbę bezpieczeństwa”.

Cichy podsunął mu kartkę podpisał, niżej wstawił datę i miejscowość. Akt ten opili, zamawiając po dwie kolejki wódki, i rozstali się w pogodnym nastroju.

W 1962 roku — wyjaśniał 3 stycznia 1969 roku — załatwił zaproszenie do Francji dla Feliksa

Kubiaka. Czy wiedział, że Rychliński związany jest z wywiadem? Tak. Pracownicy wywiadu przedstawiali mu swego czasu Rychlińskiego, jako „ich człowieka”. Wýwnioskował z tego, że współpracowali z nim także.

W sierpniu lub we wrześniu 1963 roku Rychliński — ni stąd ni zowąd — zagadnął go o „przyjaciół”. Obaj mieli na myśli pracowników amerykańskiego wywiadu.

Kilka dni później, po powrocie z Polski, udał się do mieszkania Rychlińskiego, aby mu przekazać pozdrowienia od Kubiaka. „Nie pamięta”, dlaczego nie uczynił tego w biurze Gralli, gdzie spotykali się niemal codziennie. Rychliński przyjął go herbatą i koniakiem w swoim gabinecie i poinformował, że z Kubiakiem jest związany współpracą wywiadowczą. Powiedział, że podczas pobytu „kolejarza” we Francji w 1962 roku najpierw on przeprowadził z nim rozmowę, a później skontaktował go z ich wspólnymi przyjaciółmi, którzy Kubiaka zwerbowali.

Do tego tematu Rychliński miał wrócić dopiero w marcu 1964 roku. Zaproponował wówczas Cichemu, aby przewoził informacje wywiadowcze od Kubiaka. Jego rola miała się ograniczać do wysłuchania Kubiaka i przekazania informacji Rychlińskiemu. Podjął się tego zadania. Otrzymał hasło kontaktowe, które brzmiało: „Milou pozdrawia ciocię Franię”. Kubiak miał odpowiedzieć: „Cioci Frani nie znam, ale ciocia Jadwiga miewa się dobrze”.



— Kubiak będzie pamiętał to hasło. — tłumaczył. — Jest ono tak proste, że nie może wylecieć mu z głowy. Poza tym łączy się z konkretnym faktem — uśmiechnął się złośliwie przy tym wyjaśnieniu. — Kiedy był u mnie, Milou poszarpał mu nogawkę spodni. Nie mógł mu tego wybaczyć aż do chwili odjazdu. (Rychliński miał psa o tym imieniu — *przyp. autora*).

Kilka dni później Cichy objawił się Kubiakowi w nowej roli. Kiedy wymienił to hasło podczas spaceru, jego „pomocnik” ochłonawszy po chwilowym zaskoczeniu pokiwał głową i mruknął: „teraz to już rozumiem”. Wydawał się być zadowolony.

Było to wiosną 1964 roku. Funkcję łącznika Cichy sprawował rzekomo tylko półtora roku. Niewiele pamięta z tego okresu. Szczegóły „zatarły mu się w pamięci”.

„Po powrocie do Francji — wyjaśniał w śledztwie — złożyłem Rychlińskiemu sprawozdanie. Kiedy wymieniłem pierwszą część hasła, relacjonował, podał mi odzew i był zadowolony, że to ja właśnie jestem tym, który miał się do niego zgłosić. Widać Kubiak ma do mnie zaufanie. Porozmawiałem z nim także o okolicznościach jego werbunku. Dałem mu do zrozumienia, że wszystko o tym wiem i, aby wzbudzić większy dla siebie szacunek, dodałem, że dobrze znam i wysoko cenię tych, co go zwerbowali. Poleciłem mu gromadzenie tych wszystkich informacji wywiadowczych, które zbierać się zobowią-

zał. Przypomniałem, że fakt zwerbowania zobowiązuje go do świadczeń na rzecz wywiadu amerykańskiego. Z mojej relacji Rychliński był zadowolony. Powiedział: to dobrze, to bardzo dobrze!

Pierwsze zadania wywiadowcze przekazane Kubiakowi przez Cichego dotyczyły informacji o kolejowych transportach wojskowych i jednostkach WP stacjonujących w Poznaniu oraz na terenie województwa poznańskiego. Zgodnie z tym poleceniem pierwszy meldunek dotyczył transportu wojskowego. Kubiak donosił, że w składzie pociągu były wagony kryte, w których znajdowali się żołnierze, oraz platformy z samochodami.

W każdym meldunku „kolejarz” podawał numer transportu, określał, skąd, dokąd i kiedy przejeżdżał, precyzował, ile i jakich wagonów zawierał i co się w nich mieściło. Charakteryzował też i podliczał sprzęt, identyfikował rodzaje wojsk. Informował również o przejazdach rodzajów wojskowych. Wszystkie te dane miał zazwyczaj wypisane w swoim notesiku. Posługiwał się sobie tylko znanym szyfrem. Po przekazaniu informacji Cichemu, zwykle podczas spaceru, gdy byli przekonani, że nikt ich nie śledzi, Kubiak natychmiast, przy świadku, niszczył kartkę z notatkami. Cichy w trakcie relacji Kubiaka na ogół nie notował. „Czasami tylko — tłumaczył w śledztwie — kiedy meldunek był długi oraz zawierał wiele cyfr, które trudno by było zapamiętać, co nieco zanotowałem”. Zapiski starał się robić dopiero w hotelu, a szersze opracowanie

po przekroczeniu granicy PRL. On też miał swój szyfr. Nie pisał na przykład „czołgi”, lecz wstawiał nazwisko „Charlecki”. Cyfra obok nazwiska oznaczała liczbę wozów.

— Gdybym wpadł — wyjaśnił tok swego rozumowania — tłumaczyłbym się, że facet o takim nazwisku pożyczył ode mnie dwadzieścia złotych i obiecał oddać przy najbliższej okazji.

Nie był to jedyny i stały sposób szyfrowania przez niego meldunków. W zależności od sytuacji używał różnych określeń i trzeba przyznać, że jego pomysłowość w tym zakresie była niewyczerpana. Z satysfakcją stwierdzi w śledztwie, że te notatki wielokrotnie były przeglądane przez osoby dokonujące kontroli granicznej i nigdy nie wzbudziły jakichkolwiek podejrzeń z ich strony.

Oto jak Cichy opisuje przebieg spotkań z Kubiakiem (protokół przesłuchania z 19 marca 1969 r.):

„Pierwszego dnia po przybyciu do Poznania nigdy nie przekazywałem Kubiakowi zadań wywiadowczych, gdyż byłem zmęczony podróżą i musiałem odpocząć. Umawiałem się z nim na spotkanie w dniu następnym, najczęściej na ulicy lub w parku w okolicy dworca kolejowego. Uważałem, że rozmowa w czasie spaceru nie wzbudzi niczyich podejrzeń, a ja będę mógł kontrolować, czy nas ktoś nie obserwuje. Takich upatrzonych i sprawdzonych przez siebie miejsc miałem kilka. Początkowo spotykaliśmy się w godzinach przedpołudniowych, a potem po południu.



Po tych spotkaniach najczęściej udawałem się do biura »Orbisu«.

Zwykle na początku rozmowy przekazywałem Kubiakowi przyjacielskie pozdrowienia od Rychlińskiego, a potem, spacerując lub siedząc na ławce w parku, przystępowałem do spraw zasadniczych. Niekiedy bywało, że na wstępie informowałem go, jak został oceniony jego ostatni meldunek, który zawiozłem do Francji. Niektóre meldunki nie były zrozumiałe i musiałem mu na to zwracać uwagę, niektóre wydawały się być przesadzone, podawane »na wyrost«, i wówczas musiałem je prostować, uzupełniać i potwierdzać.

Po wymianie tych uwag przystępowałem do przekazywania zadań. Ściśle tak, jak mi polecono. O zadaniach dotyczących kolejowych transportów wojskowych tylko przypominałem, bo Kubiak stosunkowo najlepiej je wykonywał. Sam dobrze wiedział, z jakich elementów winien składać się meldunek. Czasami notował sobie moje polecenia w kalendarzyku kieszonkowym albo na luźnych karteczkach, które później niszczył. Pozwalałem mu na to, jednak zawsze kontrolowałem, czy te zapiski nie są zbyt czytelne, czy nikt nie zorientuje się, o co w nich chodzi. Muszę przyznać, że wykazywał przy tym wiele sprytu. Moje uwagi przyjmował zawsze spokojnie i stosował się do nich. Wiedział też, w jaki sposób ja szyfruję jego meldunki. Nasze notatki dotyczące tej samej sprawy, nigdy nie były iden-

tyczne i to gwarantowało mi bezpieczeństwo. Te nasze spotkania trwały kilka minut. Sprawdzalem, czy zadania zrozumiał i zapamiętał. Nigdy nie brałem od niego meldunku na piśmie, gdyż chodziło mi o własne bezpieczeństwo. Często po takim spotkaniu — przyjęciu meldunków i przekazaniu zadań wywiadowczych — udawaliśmy się na śniadanie lub obiad albo na małą wódkę. Rachunki zawsze ja płaciłem. Nigdy nie przekraczałem sumy stu złotych”.

Cichy długo nie chciał przyznać się do tego, że zainteresowania wywiadu, a więc i meldunki Kubiaka, dotyczyły również zagadnień gospodarczych.

Pamięć w śledztwie „przywracało” mu między innymi cytując fragmenty wyjaśnień Kubiaka. W ten sposób odtwarzano i uzupełniano obraz oraz przebieg ich szpiegowskiej działalności. Oto fragment protokołu przesłuchania Cichego z dnia 14 kwietnia 1969 roku:

„W tym miejscu cytuję podejrzanemu fragment wyjaśnień podejrzanego Kubiaka złożonych do protokołu w dniu 7 lutego 1969: »Gerard Cichy żądał ode mnie informacji wywiadowczych dotyczących zakładów Cegielskiego. Cichy wypytywał mnie, co się produkuje w tych zakładach i ile osób tam pracuje...« Pytanie: Jakie wyjaśnienia zamierza złożyć podejrzany w związku z cytowanym mu wyżej fragmentem wyjaśnień F. Kubiaka z dnia 7 lutego 1969 roku? Odpowiedź: Cytowany mi wyżej fragment wyjaś-

nień F. Kubiaka z dnia 7 lutego 1969 roku zrozumiałem. Wyjaśniam, iż prawdą jest, że żądałem od F. Kubiaka informacji wywiadowczych dotyczących zakładów im. H. Cegielskiego w Poznaniu. W skład tych informacji miały wchodzić dane o profilu produkcji tych zakładów, a konkretnie dane dotyczące poszczególnych wyrobów finalnych. Nie pamiętam natomiast, abym żądał od F. Kubiaka informacji dotyczących stanu osobowego załogi zakładów. Przypominam sobie, że podczas przyjmowania meldunku dotyczącego zakładów im. H. Cegielskiego Kubiak nie pytany przeze mnie oświadczył, ile osób liczy załoga zakładów. Nie mogę też powiedzieć, czy Kubiak miał również ustalić, jakiego typu sprzęt produkują wspomniane zakłady dla potrzeb wojska, gdyż nie pamiętam dokładnie treści wszystkich zadań wywiadowczych zlecanych mu do wykonania, a dotyczących tych zakładów. W związku z tym nie jestem pewien, czy i jakie informacje o produkcji specjalnej tych zakładów przekazał mi Kubiak w meldunku wywiadowczym".

Po zacytowaniu mu kolejnego fragmentu wyjaśnień Kubiaka z dnia 7 lutego 1969 roku Cichy stwierdza:

„Prawdą jest, że przekazałem Kubiakowi zadanie dotyczące ustalenia danych o produkcji specjalnej zakładów im. H. Cegielskiego, ale było to w późniejszym terminie. Pamiętam, że pierwsze zadanie wywiadowcze na temat tych zakładów dotyczyło głównie profilu produkcji i okre-



lenia położenia fabryki w terenie. Po wykonaniu tego zadania przez Kubiaka złożyłem meldunek Rychlińskiemu, a ten zlecił Kubiakowi wykonanie następnego zadania wywiadowczego. Sprowadzało się ono do określenia ilości i zakresu produkcji specjalnej tych zakładów. Chodziło tu o konkretne ustalenie, jaki sprzęt i w jakich ilościach produkują zakłady im. H. Cegielskiego dla potrzeb wojska. Zgodnie z poleceniem Rychlińskiego zadanie to przekazałem Kubiakowi”.

Nazajutrz, 15 kwietnia, Cichy w takich samych okolicznościach (obciążony wyjaśnieniami Kubiaka) tłumaczy:

„Nie wykluczam, że meldunki Kubiaka były daleko szersze i zawierały więcej konkretnych informacji o zakładach im. H. Cegielskiego, niż to podałem do poprzednich protokołów... Odpowiadając na zadane pytanie, wyjaśniam, że w sezonie letnim 1964 roku, działając z polecenia W. Rychlińskiego, zleciłem Kubiakowi zebranie informacji wywiadowczych o zakładach przemysłu metalurgicznego znajdujących się na terenie Poznania. Feliks Kubiak sukcesywnie, w miarę uzyskiwania informacji, składał mi meldunki o poznańskich zakładach mających związek z metalurgią. Jeden z meldunków, z lata 1964 roku, dotyczył zakładu produkującego różne odlewy. Kubiak określił wówczas dokładne położenie fabryki, podając nawet nazwę ulicy, przy której się ona znajduje. Podał też pełną nazwę zakładu oraz określił profil produkcji ze szczególnym

uwzględnieniem produkcji specjalnej. Pamiętam, że meldunek zawierał dane na temat oddziału specjalnego w tym zakładzie. Wszystkie informacje zanotowałem i po przyjeździe do Francji przekazałem Rychlińskiemu”.

Po odczytaniu kolejnych fragmentów wyjaśnień Kubiaka Cichy stwierdza:

„Wyjaśnienia Kubiaka polegają na prawdzie. Rzeczywiście przypominam sobie, że podawał mi w meldunku, iż w zakładach tych produkowane są również odlewy stanowiące elementy składowe różnych maszyn używanych w przemyśle metalurgicznym. Nie pamiętam natomiast, do jakich maszyn były te odlewy... Jeśli zakład przemysłowy, którym interesował się wywiad, miał bocznice kolejową, Kubiak uwzględniał to w meldunku: określał liczbę torów i długość tej boczniczy”.

Składając relację z pierwszych swoich spotkań z pracownikami wywiadu amerykańskiego, Cichy dość dużo mówił na temat ich zainteresowań. Kazali mu mieć „oczy i uszy otwarte”. Pytali go o dostrzeżone transporty wojskowe, o możliwości prowadzenia rozmów z mieszkańcami NRD, interesowali się jego znajomymi, wypytywali, kto kim jest, co robi, żądali charakterystyk. Takim dobrym jego znajomym był właśnie Kubiak. Skąd Rychliński mógł znać Kubiaka? Tylko dzięki Cichemu. Dlaczego wywiad przystąpił do werbunku od razu po jego przyjeździe do Francji? Bo otrzymał od Cichego jego charakte-

rystykę, bo wiedział, że Cichy już nad nim popracował, już przygotował go do tego aktu. Czy którykolwiek z pozostałych pilotów biura Gralli mógł to uczynić? Może tak, ale Cichy był z Kubiakiem związany, on go „odkrył”, był z nim „za pan brat”.

Teraz nasuwa się istotne pytanie: dlaczego przedstawiciele wywiadu zdecydowali się na ryzyko utraty wartościowego i wykwalifikowanego agenta, jakim był Cichy, polecając mu podjęcie kontaktów szpiegowskich z Kubiakiem?

Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa. Właśnie dlatego w naszych dotychczasowych rozważaniach przytoczyliśmy tyle różnych faktów, gdyż tylko one mogą nam pomóc w skonstruowaniu takiej odpowiedzi. Musi się ona składać z kilku elementów.

Po pierwsze, ośrodek, z którym mamy do czynienia, nie grzeszył, jak to stwierdziliśmy w przypadku Kazimierza N., subtelnością stosowanych metod. Hazard, zdobywanie informacji „za wszelką cenę”, nieliczenie się z bezpieczeństwem i losem agentów to codzienna praktyka, wynikająca z założenia, że współpracownik będzie intensywnie eksploatowany, ale tylko przez określony, stosunkowo krótki, okres. Po upływie tego czasu liczone się prawdopodobnie ze spaleniem, wpadką, a co za tym idzie — z jego utratą bądź dezinformacją.

I sprawa druga, dotycząca Kubiaka. On, podobnie jak Kazimierz N., po szczęśliwym powrocie



do kraju miał wysłać na skrzynkę ośrodka kartkę z określonym tekstem, co stanowiłoby dowód dobrowolnego przyjęcia przez niego zaciągniętych wobec wywiadu zobowiązań. Kubiak tego nie uczynił! Czekał, co będzie dalej. To, że często widywał się z Cichym, o którego związkach z wywiadem nie miał pojęcia, to że Cichy opowiadał o nim zarówno Rychlińskiemu, jak i innym pracownikom wywiadu, nie dawało podstaw do podjęcia z nim współpracy. Ciągłe bowiem nie było tej kartki, którą należało traktować jako deklarację lub zobowiązanie. Wprawdzie Cichy kilkakrotnie, przesyłając mu pozdrowienia od Rychlińskiego, sugerował i prosił, aby Kubiak zrewanżował się za nie i przesłał mu pozdrowienia pocztą, a później wręcz pytał, dlaczego tego nie uczynił, dlaczego nie pisze do Rychlińskiego, ale to nie przyniosło spodziewanego efektu. „Cały czas — wyjaśnił Kubiak 20 grudnia 1968 roku — kiedy spotykałem się z Cichym jako z przedstawicielem wywiadu, a nawet podczas jego ostatniego pobytu przed dwoma dniami, ponawiał on pytanie, dlaczego nie piszę do Rychlińskiego i namawiał mnie, abym wreszcie napisał”. Zastanawiając się nad tą kwestią można dojść do wniosku, że ośrodkowi chodziło o to, aby Kubiak osobiście potwierdził fakt współpracy. Może przedstawiciele wywiadu mieli wątpliwości, czy przypadkiem Cichy nie przypisuje mu tylko autorstwa meldunków wywiadowczych? A może miało to znaczenie przy rozliczeniach? Przecież Cichy wy-

płacił kilkakrotnie Kubiakowi kwoty w wysokości 100 a nawet 250 franków? Pracownicy wywiadu niewątpliwie zastanawiali się nad przyczynami milczenia Kubiaka, sprawdzali go. Przed Cichym się nie zdekonspirował, dopóki ten nie wymienił hasła. Podjęto więc ryzyko. Kto miał z nim nawiązać kontakt? Logika wskazuje, że na pewno nie Cichy. Ale ta logika obowiązywała tylko wtedy, gdy wszystko toczyło się zgodnie z planem, a zatem gdyby Kubiak wysłaniem kartki potwierdził swą gotowość współpracy. A on tego nie uczynił. Dlaczego? Jak więc przyjmie łącznika? Czy zgodzi się na współpracę? Kto mu przypomni, jak powinien działać, kto będzie udzielał mu wskazówek, szkolił go? I chyba z tych względów wybór padł na Cichego. Ich łączyły naturalne, tradycyjne, wszystkim znane związki. Kubiak był uzależniony od Cichego, miał dla niego szacunek, darzył go zaufaniem i sympatią. To zmniejszało ryzyko. Była podstawa, aby zakładać, że jeśli nawet odrzuci propozycję współpracy, to Cichemu krzywdy nie wyrządzi. Cóż bowiem byłby wart bez swego dobroczyńcy, gdy cały jego tryb życia regulował zegar Cichego? Zawazyły być może jeszcze takie względy, jak doświadczenie Cichego i jego pewność siebie.

A jak to było z Kubiakiem?

Podróż do Francji, na zaproszenie dostarczone przez Cichego, odbył pociągiem. Do Lens przybył 1 listopada 1962 roku. Na stacji oczekiwał go Cichy, który swoim samochodem zawiózł

go do swego mieszkania. Pierwsze dni pobytu we Francji spędził kolejno u różnych pracowników biura Gralli. Oni to gościli go, a na pożegnanie obdarowywali drobnymi prezentami. Po paru dniach trafił do Włodzimierza Rychlińskiego, który już wiedział o nim sporo, rozmawiali więc ze sobą jak starzy znajomi.

W czasie pobytu Kubiaka u Rychlińskiego przyjechał w odwiedziny jakiś mężczyzna. Dość długo rozmawiali w innym pomieszczeniu, po czym Rychliński przyszedł po Kubiaka i przedstawił mu swego gościa jako „żurnalistę” Clarka albo Carla. Usiedli. Gospodarz nalał po kieliszku koniaku, zaparzył kawę i rozpoczęła się pierwsza rozmowa Kubiaka z pracownikami wywiadu. Był to zaledwie początek tej równi pochyłej, która doprowadziła go na ławę oskarżonych.

Clark bardzo interesował się Kubiakiem. Zadawał pytania po angielsku. Rychliński tłumaczył. Clark robił notatki lewą ręką! Rysopis już nam znany. Wszystkie pytania dotyczyły głównie danych biograficznych Kubiaka. Kiedy rozmowę zakończono, gościem z Polski zajęła się Rychlińska, gdyż jej mąż miał jeszcze coś do załatwienia z Clarkiem. Później Rychliński poprosił Kubiaka ponownie do pokoju, w którym siedział Clark, podsunął mu kartkę papieru i kazał podpisać „Nie martw się — powiedział — potem wszystko ci wyjaśnię. Podpiszesz, że dostałeś pieniądze. Oni tak płacą”. Kubiak podpisał. Powie po 6 latach:



— Głupio mi trochę było, ale pieniądze przyjąłem. Było tego siedemset pięćdziesiąt franków. Nie dociekałem, z jakiego tytułu zostały mi wręczone. Dopiero później się zorientowałem, ale wówczas już było za późno na ich zwrot”.

Za późno — według Kubiaka. Pieniądze przyjął, bo „pecunia non olet”. Już pod tym względem Kubiaka znamy dobrze.

Clark pożegnał się i odjechał swoim czarnym samochodem. W jego portfelu znajdowało się pokwitowanie Kubiaka za otrzymane od wywiadu amerykańskiego pieniądze.

Upłynęło kilka dni i Rychliński zarządził wyjazd do Paryża. Udali się tam koleją. Z dworca taksówka podwiozła ich pod hotel „Orly”. Tam Rychliński załatwił dla nich pokój. Odpoczęli chwilę i udali się do filii gralowego biura w Paryżu. Opiekę nad Kubiakiem przejął chwilowo kierownik tej filii — Wacław Kucharski. Pierwszy wieczór spędzają w „Folies Bergère”. Kubiakowi kręci się w głowie. Od razu zastosowano mocne uderzenie.

W przerwie przedstawienia Kucharski bierze go na drinka do bufetu i proponuje... wspólny wyjazd do RFN. „Panie — powiada — tam mogłby pan dobrze zarobić, coś powiedzieć, czymś zaświecić”. Za dużo tego na Kubiakową głowę. Odrzuca propozycję, odsuwa koniak, wraca do „swego” Rychlińskiego.

— Zorientowałem się — skomentował to zdarzenie w śledztwie — że Kucharski chciałby

mnie zaprowadzić do jakiejś szajki niemieckiej, która by chciała ode mnie wyciągnąć jakieś wiadomości. A ponieważ ja szwabow nienawidzę, propozycję tę odrzuciłem.

Drugiego dnia pobytu w Paryżu Rychliński wychodzi do miasta raniutko, nakazując Kubiakowi, aby nie opuszczał pokoju, gdyż ktoś ma ich odwiedzić.

Tym „ktosiem” był Clark. Przyszedł razem z Rychlińskim, który przyniósł koniak i „coś do zagryzienia”. Zaczęła się druga rozmowa, podobnie jak pierwsza, za pośrednictwem Rychlińskiego.

Tym razem pytania odnosiły się do miejsca pracy Kubiaka, ściślej, DOKP Poznań i kolejnictwa w ogóle. Ta rozmowa trwała już kilka godzin. Opisywał więc Kubiak strukturę DOKP, kadre, dworzec główny, tory, tabor kolejowy, ruch na stacji, sposób formowania pociągów wojskowych, ochronę kolei. Kiedy doszedł do transportów wojskowych, Clark podsunął mu album z fotografiami, na których znajdowały się stopnie, dystynkcje i znaki różnych rodzajów wojsk.

— Wtedy już wiedziałem — wyjaśnia Kubiak 20 grudnia 1968 roku — że Clark jest przedstawicielem wywiadu, ale jeszcze nie domyślałem się jakiego.

Nazajutrz po tym spotkaniu, około godziny 9.00, Rychliński proponuje spacer po Paryżu. Ale

ten „spacer” szybko się kończy, bo oto na kątowej z ulic — dla Kubiaka wszystkie były do siebie podobne — spotykają Clarka. Rychliński „urywa się”, a Kubiak ze swoim nowym opiekunem wchodzi do mieszkania na pierwszym piętrze dużej kamienicy. Po kilkunastu minutach do pokoju, w którym znalazł się poznański kolejarz, wkracza wysoki, lekko łysiejący brunet. Nie wita się z przybyszem z Polski, nie podaje swego nazwiska, przystępuje do tłumaczenia na język polski pytań zadawanych przez Clarka.

Najpierw powtórka z dnia poprzedniego. Żąda ścisłych odpowiedzi. Później pytają, czy zna się na schematach układów torowych i na nastawniach, czy potrafi wykonać rysunek szyn albo określonego obiektu, sprawdzają, korygują, doradzają.

Do protokołu z 14 I 1969 roku oświadczył, że w trakcie tej rozmowy zorientował się, iż obaj mężczyźni są przedstawicielami wywiadu amerykańskiego, bo „palili amerykańskie papierosy z napisem US Army, a jeden z nich miał amerykańską zapalniczkę. No i te pytania”.

— Ta zapalniczka bardzo mi się podobała — stwierdził ośmielony. — Oglądałem ją i chciałem od niego „wycyganąć”, ale powiedział, że mi jej nie da, bo musiałby po drugą taką jechać do Ameryki.

Po blisko trzech godzinach „maglowania” tłumacz wręczył Kubiakowi 270 franków i kazał je



pokwitować. Spytał przy tym, „czy chce dla nich pracować”. Kubiak wyraził zgodę.

Następnego dnia Rychliński dość wcześnie „zarządził pobudkę i znowu pognął Kubiaka w miasto”. Nie wiadomo, czy dla orzeźwienia po mocno zakrapianej kolacji, czy dla „zmylenia pogoń”, dość długo kluczyli różnymi uliczkami, spokojnymi i pustymi o tej porze dnia „Słuchaj, stary — przerwał milczenie Rychliński. — Prowadzę cię na zbadanie, czy mówisz prawdę”. Nie zrobiło to na Kubiaku żadnego wrażenia. Czego miał się bać? Pieniędzy chyba nie odbiorą?

Spotkali Clarka. We trójkę udali się do hotelu. Inne niż ten, w którym mieszkali.

— Nawet nie wiedziałbym, że to hotel, ale na dole była recepcja — wyjaśnia. — Weszliśmy do windy. Pojechaliśmy na górę, potem, nie wysiadając z niej, zjechaliśmy na dół i z powrotem chyba na drugie piętro. Korytarz długi, mnóstwo pokoi. Weszliśmy do jednego z nich. Duży, wyraźnie hotelowy. Pod oknem posłane dwa łóżka. Umywalka. W ścianie drzwi do drugiego pokoju. Na środku stół, krzesła. Nikogo tam nie było. Zdjęliśmy płaszcze. Clark wszedł do drugiego pokoju. Usłyszałem rozmowę w języku angielskim. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd tłumacz i oświadczył, że będę badany. Będzie mi stawiał pytania, mam odpowiadać...

Oto jak Kubiak opisuje przebieg tego badania (protokół przesłuchania z 17 stycznia 1969 roku):

„Badanie to odbywało się za pomocą jakiegoś

urządzenia, które wyglądało na pudło lub walizkę. Ja tego urządzenia nie widziałem dokładnie, bo mężczyzna, który je przyniósł z drugiego pokoju, postawił pudło za moimi plecami na małym stoliku. Było ono otwarte i ustawione tak, że gdybym nawet chciał zobaczyć, co jest w środku, to oglądając się, widziałbym tylko wieko. Następnie tenże mężczyzna do serdecznych palców rąk i do palców nóg oraz do uszu poprzączczał mi, za pomocą szczypiec, kable połączone z tym pudłem. Gdy to uczynił, tłumacz, a nie Rychliński, zadawał mi pytania, które czytał z kartki. Odpowiadałem »tak« lub »nie«. Pytania były krótkie i ogólne. Dotyczyły mojego życiorysu. Jedno z nich odnosiło się do Rychlińskiego. Brzmiało: »Czy zna pan Rychlińskiego?« Odpowiedziałem »tak«, ale pomyślałem sobie »o tyle o ile«. Clark, jak zwykle, coś sobie notował.

Po badaniu, które trwało może z dziesięć minut, pozdziejowano mi szczypce i mężczyzna zabrał pudło do drugiego pokoju. Tam przeszli wszyscy i długo się naradzali. Wrócili i wtedy tłumacz powiedział mi, że wszystko jest w porządku, że teraz wszystkie sprawy będę załatwiał z Rychlińskim, do którego mam również napisać, że szczęśliwie wróciłem do kraju. Potem z Clarkiem i Rychlińskim wyszliśmy z hotelu. Clark nas pożegnał na ulicy. Poszliśmy na obiad. Po drodze Rychliński mówił mi, że jedna z odpowiedzi wypadła źle. Była to odpowiedź na pytanie, czy go znam”.

Po powrocie do Lens Kubiak przebywał nadal u Cichego, który wiedział, że byli z Rychlińskim w Paryżu, ale o nic nie pytał. Nawet o wrażenia.

Już przed samym wyjazdem do Polski Rychliński przypomniał Kubiakowi, że po powrocie do kraju powinien mu przysłać kartkę z pozdrowieniami. Poza tym ma interesować się tym wszystkim, o co był pytany, i czekać na dalsze wskazówki. „Wtedy — powiedział — dowiesz się, dla jakiego wywiadu pracujesz”. Uzgodnili też hasło pozwalające zidentyfikować osobę upoważnioną przez Rychlińskiego do kontaktowania się z Kubiakiem.

„Z Rychlińskim umówilem się przed wyjazdem do Polski, że będę z nim utrzymywał kontakt korespondencyjny, a już na pewno dam mu znać, że do kraju wróciłem szczęśliwie. Nie dotrzymałem słowa. Nie napisałem ani do niego, ani do żadnej z osób goszczących mnie we Francji. Uważałem, że jeśli napiszę do Rychlińskiego, to on uzna, że ja chcę współpracować z obcym wywiadem i czekam na dyrektywy. A ja od samego początku nie chciałem z nimi utrzymywać kontaktu i do końca nie pisałem do nikogo we Francji. Wiedziałem, że Rychliński zna się z tymi wszystkimi, u których gościłem, i gdybym napisał do nich, a nie do niego, wówczas zastanawiałby się, dlaczego go pominąłem. Od żadnej z tych osób, łącznie z Rychlińskim, nie otrzymałem również żadnej korespondencji. Pi-



sał do mnie tylko niekiedy Cichy, ale wyłącznie w sprawach wycieczek... Po moim powrocie z Francji, czyli w 1963 roku, kiedy spotkałem się z Cichym w Poznaniu, zdrowo ustawiał mnie, dlaczego nie piszę do Rychlińskiego i nie podziękuję tym, którzy mnie gościli. Później jeszcze kilkanaście razy przypominał mi o tym. Było mi bardzo głupio i nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć... W 1968 roku Rychliński poprzez Cichego przesłał mi w prezencie młynek do kawy. Cichy prosił mnie długo, bym do niego napisał i podziękował. Pomyślałem sobie: »dobrze, dobrze, ale do Rychlińskiego nie napiszę«... Sądziłem wówczas, że Rychliński go atakuje, a on mi o tym mówi dlatego, żeby mu tamten dał wreszcie spokój". (Protokół przesłuchania z 22 stycznia 1969 roku).

Kubiak już od dłuższego czasu współpracował z Cichym, otrzymywał poprzez niego pozdrowienia od Rychlińskiego, jednak kartki do Francji nie wysłał. Dlaczego? Czego się bał? To, co było dla niego rzekomo najgorsze — podjęcie współpracy szpiegowskiej — miał już za sobą. Nie czuł się nawet z tego powodu nieszczęśliwy. Nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Z zadań wywiązywał się rzetelnie. Honoraria za współpracę przyjmował.

Po długich miesiącach śledztwa, dzięki konfrontowaniu wyjaśnień obu podejrzanych, przebieg tej współpracy został chyba zrekonstruowany wiernie.

Cichy każdorazowo przywoził do Poznania, prócz listów, odzież, lekarstwa, cygara, koniak, farby do włosów, lakiery do paznokci, przybory toaletowe i biurowe. Część tych przedmiotów pakował sam i — podobnie jak listy — nadawał na pocztę osobiście, część zaś — z czasem coraz więcej — przekazywał Kubiakowi z poleceniem wysłania pod załączone adresy. Przesyłki te szły do różnych miejscowości w kraju. Kubiak nie zostawiał sobie żadnych dowodów ich nadania. W sumie, w ciągu kilku lat współpracy, zebrano się ich kilkaset. Ile z nich zawierało coś więcej niż czekoladę czy lakier do paznokci?

Z polecenia Cichego Kubiak wysyłał także różnym ludziom pieniądze. Pełnił w tym przypadku rolę jak gdyby filii Pekao. Otrzymywał na konto franki, pobierał złotówki i rozsyłał je według zleceń. Nasuwa się znowu pytanie: czy nie za dużo miał obowiązków, czy nie wykorzystywano go zbyt ryzykownie? Na to pytanie trudno dać pełną odpowiedź. Wydaje się prawdopodobne, że przynajmniej pewna część tych zleceń wypływała z istotnie niewinnych pobudek — Cichy w ten sposób wyświadczał przysługi Polakom zamieszkałym we Francji. Ale pozostałe? Nie można wykluczyć, że Cichy stosując tę metodę pewne osoby od siebie uzależniał. Dnia 26 lutego 1969 roku Kubiak wyjaśnia: „W latach 1966—1968 Cichy spowodował, że na moje konto w Banku Pekao w Warszawie wpła-

cona została trzykrotnie przez obywateli francuskich waluta obca, za którą otrzymałem złote polskie. Zgodnie z poleceniem Cichego pieniądze te wypłaciłem turystom z Francji, którzy się do mnie po nie zgłaszali”.

Jak to się odbywało? Do domu Kubiaka przybywał nie znany mu Francuz, okazywał karteczkę z treścią: „Felus — okazicielowi tyle a tyle”. „Felus” płacił, „okaziciel” kwitował na odwrocie karteczki, którą przy najbliższej okazji Cichy otrzymywał z powrotem.

Cichy uzgadniając z Kubiakiem zasady i formy tego pośrednictwa obiecał, że nie będzie to działalność bezinteresowna, że każdy turysta francuski „odpali mu na pewno jakąś dolę”. Kubiak chętnie na to przystał.

Pierwsza transakcja nastąpiła latem 1966 roku. Cichy podczas pobytu w Poznaniu poinformował swego pomagiera, że na jego konto w Pekao zostanie wpłacona obca waluta, a jej równowartość w polskich złotych winien on przekazać turyście francuskiemu, który przyjedzie do niego własnym samochodem. Żadnych szczegółów o tym turyście nie podawał.

Upłynęło zaledwie kilka dni od tej rozmowy i Kubiak otrzymał z Banku Pekao w Warszawie zawiadomienie, że na jego konto wpłynęła z Francji określona suma franków. Cichy zatem postawił Kubiaka przed faktem dokonanym. Rozmowa na ten temat była tylko formalnością,



ponieważ pieniądze te musiały być wpłacone wcześniej. W zawiadomieniu tym poinformowano jednocześnie właściciela konta, że w zamian za franki Państwowe Przedsiębiorstwo „Moda Polska” w Warszawie prześle mu należność w złotych polskich, a gdyby sobie tego nie życzył, winien bank zawiadomić, w jaki sposób zamierza wykorzystać obcą walutę. Zgodnie z umową z Cichym Kubiak żadnych życzeń nie zgłaszał. Czekał na nadejście złotych. Po pewnym czasie otrzymał pocztą 13 000 złotych, które pokwitował na przekazie wystawionym przez PP „Moda Polska”.

W końcu lipca 1966 roku przed domem Kubiaka zatrzymał się samochód z francuskimi numerami rejestracyjnymi. Obok kierowcy siedziała kobieta z dzieckiem. Kierowca wszedł do mieszkania, spytał po polsku, czy „tu mieszka pan Kubiak”, a następnie dodał: „jestem od pana Gerarda”. Pokazał kartkę z nadrukiem biura Gralli i odręcznie wypisanym przez Cichego zleceniem wypłaty okazicielowi kwoty 13 000 złotych. Na odwrocie wspomnianej kartki pokwitował odbiór pieniędzy nieczytelnym podpisem, wręczył Kubiakowi 500 złotych, podziękował, pożegnał się i odjechał. Cała operacja trwała zaledwie kilka minut.

Odtwarzając w śledztwie tę i następne operacje finansowe Kubiak nie wykluczał, że na zleceniach Cichego mogły być nazwiska, a przy odbiorze pieniędzy odbiorcy okazywali swój pa-

szport. Nie przywiązywał jednak do tego żadnej wagi i bliższych danych nie pamiętał.

Z jego wyjaśnień wynikało, że nie tylko wypłacał pieniądze skierowanym do niego turystom, ale niejednokrotnie wysyłał je pod wskazane adresy pocztą. Bywało, że na polecenie Cichego pisał na przekazie na przykład: „z polecenia Alfreda” bądź „na zlecenie Stefana”. Cichy nie informował go, kto i co się kryje za tymi manipulacjami, sam — jak to podkreślaliśmy — nie wnikał w te sprawy. Pewnego razu nieopatrznie spytał Cichego, kim jest ta osoba, do której ma wysłać pieniądze. Otrzymał wówczas pouczającą odpowiedź: „Feluś, co cię to obchodzi, wszystkiego wiedzieć nie możesz” (protokół przesłuchania z 16 IV 1969).

Łatwo sobie wyobrazić, jak żmudne musiało być w tych warunkach śledztwo. Przy obu podejrzanych zakwestionowano strzępy notatek, kolumny cyfr, setki adresów i nazwisk. Wszystko wymagało wyjaśnienia, sprawdzenia. Każdy taki „drobiazg” mógł przecież naprowadzić na ślad następnych „Kubiaków”, dopełnić obrazu działalności osób podejrzanych.

Na uwagę zasługuje stanowcze twierdzenie Kubiaka, że we wrześniu lub październiku 1968 roku Cichy poinformował go, że „ostatnio” był w Belgii i widział się tam z pracownikiem wywiadu amerykańskiego — Carlem-Clarkiem (protokół przesłuchania z 25 lutego 1969 roku). Wprawdzie żadnych bliższych szczegółów doty-

czących tego spotkania oraz rozmowy z Carlem nie ujawnił, jednak już sam fakt napomknięcia o utrzymywaniu bieżącego kontaktu z wywiadem jest bardzo wymowny i kto wie, czy nie oznaczał, iż mocodawcy „naszych przyjaciół” zamierzają reaktywować przerwana od pewnego czasu działalność.

Cichy nie zdążył już powrócić do tego tematu. Następny jego przyjazd do Poznania był zarazem jego ostatnią podróżą do Polski. Nie wiadomo, czy miał przekazać Kubiakowi jakieś nowe zadania, bo zasadniczej rozmowy nie zdążył z nim przeprowadzić.

Cichy nie przyznał się do tego, że wspominał Kubiakowi o Clarku. I nikogo nie może to dziwić. Potwierdzenie, że w dalszym ciągu utrzymuje kontakty z pracownikami wywiadu musiałoby doprowadzić do dalszych wyjaśnień, których po prostu chciał uniknąć. Zresztą przez cały czas śledztwa Cichy twierdził, że w okresie współpracy z Kubiakiem nie stykał się z Amerykanami. Jego kontakty z pracownikami DIA skończyły się po podpisaniu zobowiązania dostarczonego mu przez francuski kontrwywiad. Od tej pory wszystko załatwiał z Rychlińskim. Jego też obciążał, jego winił.

Z czego to wynikało? Cichy zdawał sobie sprawę, że zdradził Polonię, że splamił jej imię, że został zdemaskowany jako szpieg działający przeciwko własnej ojczyźnie — Polsce. Co mu zostało? Została mu ta druga ojczyzna. Tam,



we Francji, przebywała jego żona i syn. Tam, we Francji, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, pozostało jego uroczyste zobowiązanie, że nie nawiąże żadnych kontaktów z ludźmi nie upoważnionymi do tego przez francuską służbę bezpieczeństwa. Cichy nie dotrzymał słowa. Z tego też zdawał sobie sprawę. A zatem jego działalność na rzecz DIA była zdradą nie tylko interesów Polski, była też zdradą interesów Francji, która mu tego zabroniła.

\*

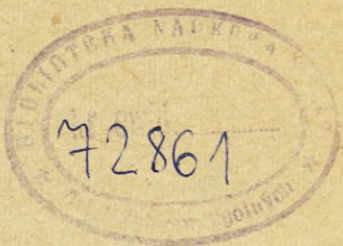
Cichy i Kubiak zasiedli na ławie oskarżonych przed Sądem Śląskiego Okręgu Wojskowego. Oba procesy odbyły się na sesji wyjazdowej w Poznaniu.

Feliks Kubiak został skazany we wrześniu 1969 roku na 8 lat pozbawienia wolności oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres 4 lat.

Gerard Cichy sądzony był w styczniu 1970 roku. Został skazany na 12 lat pozbawienia wolności.

Wśród licznych świadków oraz obserwatorów procesów przeciwko agentom DIA znaleźli się między innymi stateczny, pracowity i skromny polski rzemieślnik, Kazimierz N., i jego dzielnicowy, sierżant J.G., którzy skutecznie skontrolowali wrogie zamierzenia Agencji Wywiadowczej Obrony USA wobec naszego kraju, pomogli zde-

maskować i skompromitować jego oficerów, naganiaczy i agentów, a tym samym uchronić wielu współobywateli przed grożącym im niebezpieczeństwem. Nie spotkałem natomiast na tych procesach oficera kontrwywiadu, wówczas już kapitana K. Czyżby dla niego sprawa nie była jeszcze zamknięta?



## Spis treści

|                                     |     |
|-------------------------------------|-----|
| Upadek idola . . . . .              | 5   |
| Ci od Gehlena . . . . .             | 67  |
| Sprawa pana T. . . . .              | 87  |
| Szpieg za bulajem . . . . .         | 115 |
| Naganiacz . . . . .                 | 125 |
| Z tamtej strony złudzeń . . . . .   | 145 |
| Dzielnicowy MO contra DIA . . . . . | 216 |



Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej  
Warszawa 1983 r. Wydanie I

Nakład 150 000+250 egz. Objętość 10.89 ark. wyd.,  
9,75 ark. druk Papier gazetowy 50 g, z roli  
63 cm z Zakładów Papierniczych w Szczecinie-  
Skolwinie. Oddano do składania w październiku  
1982 r. Druk ukończono w marcu 1983 r. Woj-  
skowe Zakłady Graficzne w Warszawie Zam.  
nr 4191.

---

Cena zł 40.—

M-28

BIBLIOTEKA

**ASG**

NAUKOWA

3778



ISBN 83-11-06896-8